

ATLAS



Mirosław Maik

*„Każde terytorium opisane w tym Atlasie istnieje.
Nie zawsze na zewnątrz.”*

SPIS TREŚCI

PROWINCJA BIAŁYCH ŚCIAN	4
DOLINA OŚLEPIONYCH	11
PRZEDMIEŚCIA ODWRÓCONYCH OKIEN	21
REPUBLIKA WIDZIALNOŚCI.....	29
PLATEAU SZCZĘŚLIWYCH KOŃCÓW.....	35
STAŁOWE MIASTO	42
WIELKI STADION OFIAR.....	49
KOMORA GRZECZNYCH LUDZI	55
PIEKARNIA CODZIENNYCH ZŁUDZEŃ.....	61
FABRYKA JUTRZEJSZYCH LUDZI	66
OGRÓD ZAMIENNYCH CIAŁ.....	72
INSTYTUT PIĘKNYCH INTENCJI.....	78
CENTRUM PREDYKCJI PRAGNIEŃ.....	84
ARCHIPELAG PRYWATNYCH PRAWD	90
KAPSUŁY SAMOWYSTARCZALNYCH	95
LATARNIA WYGASŁYCH SENSÓW	101
CMENTARZ NIEZADANYCH PYTAŃ.....	108
BANK POŻYCZONYCH DNI.....	114
DEKLARACJA WYJŚCIA	120

PROWINCJA BIAŁYCH ŚCIAN

Biel w tym miejscu nie jest kolorem. To kategoria ontologiczna, agresywny rodzaj ciszy, który działa metodycznie i bez cienia pośpiechu — milimetr po milimetrze pożera wszystko, co kiedykolwiek definiowało czyjeś istnienie. Inne kolory przynajmniej mają w sobie jakiś zamiar, jakiś ukryty ładunek emocjonalny: czerwień pragnie i krwawi, czerń zapomina, szarość nieustannie negocjuje warunki kapitulacji. Biel nie pragnie, nie zapomina, nie negocjuje. Biel po prostu pochłania. Wystarczy spojrzeć na te ściany o czwartej rano, kiedy korytarz jest jeszcze martwy, a za oknem niebo próbuje niezdarnie obudzić się do jakiegoś odcienia — i rozumiesz, że biel jest tutaj nie tłem, lecz substancją. To gęsta, wiskozowa materia, plazma, która szczelnie wypełnia przestrzeń między meblami, między wypowiedzianymi szeptem słowami, między płytkami oddechami. Gdybyś ją dotknął, zostawiłaby tłusty, zimny ślad na opuszkach palców. Gdybyś ją powąchał, pachniałaby chlorem, zjełczalym plastikiem i poddaniem — tym specyficznym, cierpkim aromatem miejsc, w których ludzkie ciało przestało być nośnikiem ducha, a stało się wyłącznie problemem logistycznym do rozwiązania.

Filozofowie, bezpieczni w swoich gabinetach, zapytaliby: co czyni biel białą, jeśli nie kontrast z tym, co nie jest bielą? Odpowiedź przychodzi z samego środka terytorium, gdzie nie ma żadnego kontrastu, gdzie nawet cienie są tylko nieco

chłodniejszymi, bladziej odmianami tej samej nieskończonej pustyni. Biel staje się absolutna właśnie wtedy, gdy pochłonie wszystko inne. To jest biel dokonana.

Biel doskonała w swojej łagodnej tyranii. Biel jako projekt architektoniczny, wyrysowany przez kogoś, kto dawno temu zrozumiał, że najskuteczniejszą formą kontroli umysłu nie są żelazne kraty ani skomplikowane zamki w drzwiach, lecz całkowita eliminacja punktów odniesienia. Nie możesz przecież uciec od miejsca, którego fizyczne granice zlewają się z niebem.

Ta biel trawi biografię jak kwas solny. Nie dosłownie — ale trawi metaforycznie, a metafory w Prowincji mają tę osobliwą, groźną właściwość, że z czasem stają się obiektywnymi faktami. Stanowiska pracy, dyplomy, numery referencyjne, z trudem budowane siatki kontaktów — wszystko to rozpuszcza się w tutejszej bieli jak kostka cukru we wrzątku. Był ktoś, kto posiadał nienaganną historię kredytową. Był ktoś, kto z powagą podpisywał wiążące umowy i odpowiadał na maile, nie przekraczając regulaminowych dwudziestu czterech godzin. Był ktoś, kto potrafił dobrać właściwy krawat na właściwe spotkanie, traktując ten akt jak zbrojenie się do bitwy.

Prowincja Białych Ścian nie uznaje jednak żadnej z tych powierzchownych tożsamości. Na granicy tego terytorium następuje konfiskata społecznego ego. Każdy przybywa tutaj jako numer przypisany do stalowej ramy łóżka, zbiór kodów z międzynarodowej klasyfikacji chorób, zestaw niepożądanych objawów do rygorystycznego monitorowania. Staje się nagim, biologicznym faktem. Jednostką węglową, którą instytucja musi utrzymać przy życiu. Nie dlatego, że to życie ma jakąś immanentną, humanistyczną wartość, lecz dlatego, że domaga się tego algorytm procedury. Śmierć w Prowincji to nie dramat filozoficzny; to błąd w papierach.

Prowincja Białych Ścian to terytorium ściśle graniczne. Nie znajdziesz jej na żadnej komercyjnej mapie świata, choć posiada swój kod pocztowy, adres i numer telefonu. To ten sam numer, pod który dzwonią bliscy w niedzielne popołudnia, żeby z udawaną swobodą zapytać, jak się czujesz, by po chwili z ulgą wysłuchać wyuczonej odpowiedzi: że dobrze, że piszą nowe tabletki, że zobaczymy, czas pokaże. Prowincja to zawieszenie w sterylnej próżni między życiem a śmiercią, ale odarte z jakiegokolwiek dramatyzmu, który mógłby nadać tej egzystencji tragiczną głębię rodem z greckiego antyku. Tu nie ma tragedii. Tragedia wymaga światła reflektorów, wymaga widowni łaknącej katharsis, wymaga chóru, który zapłacze, gdy opadnie ciężka, welurowa kurtyna. Prowincja jest miejscem z innej epoki teatru — tutaj kurtyna nigdy nie opada, ponieważ spektakl formalnie nigdy się nie rozpoczął.

Przez lata każdy z tych, którzy tu docierają, był aktorem na pełny etat. Grał w sztuce, której scenariusza nie rozumiał, ale nadrabiał to żarliwą dykcją. Grał osobę,

która ma w sobie pasję do spraw z perspektywy kosmosu pozbawionych jakiegokolwiek znaczenia.

Osobę, która z entuzjazmem odpowiada na trywialne pytania rekruterów o pięcioletnie plany zawodowe. Kogoś, kto potrafi z pełnym przekonaniem wpleść słowo „synergia” w środek zdania i nie poczuć przy tym, że jego dusza właśnie dławi się własną krwią. Wcielał się w bystrzaka zainteresowanego kursem obcych walut, fluktuacją rynkowych trendów, wynikami geopolitycznych wyborów w krajach, których nigdy w życiu nie odwiedzi. Odgrywał rolę widza cudzych życiorysów — kogoś, kto hojnie rozdaje wirtualne serca pod zdjęciami z cudzych wakacji i składa mechaniczne życzenia urodzinowe znajomym, z którymi od dekady nie zamienił nawet jednego prawdziwego słowa, traktując rozmowy o pogodzie jako bezpieczny substytut relacji. Teatrzyk codzienności był jego molochem. Przychodził na scenę punktualnie, schodził długo po oklaskach, nigdy nie prosząc o dublera. Był wzorowym, niezawodnym aktorem drugoplanowym we własnym, rzekomo jedynym życiu.

Pewnego poranka spektakl zostaje odwołany. Obywa się bez szumu. Nie ma dramatycznego zerwania kontraktu z rzucaniem scenariuszem o ścianę, trzaskiem rzeźbionych drzwi i dźwiękiem tłuczonych talerzy. Nie. Po prostu otwierasz oczy i czujesz w kościach, że mięśnie twarzy odmawiają współpracy. Nie masz już fizycznej siły, by założyć maskę. Wysuwa ci się z dłoni i ląduje na zimnej podłodze. Patrzysz na nią z odległości kilku metrów jak na upiorny, znaleziony na ulicy przedmiot, skorupę, która musiała kiedyś należeć do kogoś zupełnie innego. I w tej samej mikrosekundzie, w której dociera do ciebie absurdalność tej gumowej twarzy, w której ostatecznie rozumiesz, że nie możesz już dłużej grać — pojmujesz coś jeszcze. Rozumiesz, że ta paraliżująca niemożność jest pierwszą, kryształowo czystą i autentyczną rzeczą, jaka przydarzyła ci się od bardzo, bardzo dawna.

Brak roli staje się jedyną rolą, której nie da się zasymulować.

Nikt nie chce tu być. To twardy aksjomat, fundamentalna i niepodważalna prawda założycielska Prowincji. A jednocześnie — i w tym punkcie rodzi się najbardziej przewrotna filozofia tego miejsca — nikt nie ma w sobie siły, by stąd wyjechać.

Ten paraliż nie wynika z faktu, że zamki w drzwiach są wybitnie solidne, a strażnicy wyposażeni w czujne oko. Nie. Nie wyjeżdżasz, ponieważ przekroczenie tej granicy w drugą stronę oznaczałoby powrót do obowiązku bycia „kimś”. A bycie „kimś” wymaga gigantycznych zasobów energetycznych, których całkowite, do cna wypalone wyczerpanie jest przecież jedynym powodem, dla którego w ogóle się tu znalazłeś. Jesteśmy uchodźcami z rzeczywistości, która nie potrafiła wcisnąć nas w

ramy swojej jaskrawej układanki. Jesteśmy wybrakowanymi elementami z innych zestawów — tymi tekturowymi puzzlami, które na pierwszy rzut oka wyglądają, jakby idealnie pasowały do uśmiechniętego obrazka na pudełku. Jednak po złączeniu brzegów okazuje się, że nie pasujemy nigdzie. Że obraz na pudełku był kłamstwem, a może — co bardziej prawdopodobne — że żadnego obrazu na dnie w ogóle nie ma.

Obywatele Prowincji rzadko angażują się w słowne interakcje. Obowiązuje tu wprowadzie oficjalny język urzędowy — gęsty od wielosylabowych, łacińskich nazw, hermetycznych kodów i technicznej nowomowy stosowanej z lubością przez Bogów w kitlach — ale dla mieszkańców jest to język całkowicie martwy. Język obcy, wtłoczony w usta tych, którzy go nie wybierali i nie rozumieją. Tu komunikują się zgoła inaczej. Jedynym dialektem jest cisza. I jest to jedyny dialekt pod tą szerokością geograficzną, który nigdy nie kłamie. Nie kłamie, bo jest pozbawiony ambicji — nie próbuje niczego tłumaczyć świata, nie stara się żałośnie upchnąć gigantycznego, bezkształtnego cierpienia w ramy zdania ułożonego zgodnie z zasadami poprawnej gramatyki.

Ten dialekt widać codziennie przy stole w jadalni. W oczach mężczyzny z numerem na drzwiach. Nikt nigdy nie zamienił z nim nawet sylaby, ale kiedy po obiedzie on wychodzi z pogniecionym papierosem na dozwolony, rygorystycznie wymierzony spacer po spacerniaku i przystaje bez ruchu przy wysokiej, ceglastej ścianie, odwracając twarz od wszystkiego, co żyje — rozumiesz go z przerażającą ostrością. Rozumiesz też tę drobną kobietę o siwych włosach, która przez dwanaście godzin na dobę przemierza korytarz w tym samym niezmiennym, obsesyjnym rytmie.

Ten obsesyjny ruch jest dla niej ostatnią z możliwych form sprawowania jakiegokolwiek kontroli nad przestrzenią, która systemowo pozbawiła ją wszelkiej innej władzy. Rozumiecie się bezgłośnie, bo w trzewiach każdego zagnieździła się dokładnie ta sama pustka. Ale uwaga: to nie jest pustka nihilistyczna w modnym, popkulturowym wydaniu. To nie jest pustka noszona z dumą jako intelektualny projekt obracający się wokół rozpacz. To pustka pierwotna, manifestująca się jako dojmujący, fizyczny wręcz brak smaku świata. Nic w ustach nie smakuje. Nic nie pachnie tak głęboko, jak jeszcze wczoraj powinno. Wszystkie kolory stały się o dwa tony za blade. Nawet dochodzące z ulicy dźwięki syren wydają się spóźnione, jakby świat rzeczywisty nadawał z przesunięciem czasowym.

Ale ta cisza z każdym kolejnym dniem pobytu staje się coraz głośniejsza, coraz bardziej gęsta. Zaczyna pulsować w skroniach jak histeryczny krzyk, jak chory utwór zagrany wyłącznie na odwróconych, piskliwych częstotliwościach. Po kilku

tygodniach zaczynasz słyszeć rzeczy, na które w tamtym, głośnym świecie byłeś całkowicie głuchy. Słyszysz skrzypienie drewnianego stropu, pracującego gdzieś za dwiema ścianami nośnymi. Wyłapujesz świszczący oddech śpiącego, obcego sąsiada, przenikający przez tanio postawioną, gipsową przegrodę. Słyszysz wreszcie własne serce bijące w klatce piersiowej o czwartej rano — to głuche, rytmiczne, mechaniczne uderzanie mięśnia o kość, uderzanie absolutnie i do bólu obojętne na twoje wewnętrzne dramaty. Pompa, która pracuje w najlepsze bez pytania cię o zgodę na przydział krwi, całkowicie niezainteresowana faktem, że ty sam właśnie wystawiłeś negatywną ocenę własnej egzystencji.

Wielu ludzi stąd ostatecznie wychodzi, by nigdy już nie wrócić. Ale mylą się ci, którzy wierzą, że dzieje się tak dlatego, że zostali oni pomyślnie „naprawieni”.

Owo niefortunne słowo — „naprawiony” — stosowane z biurokratyczną swobodą wobec skomplikowanego, ludzkiego bytu, uchodzi za jedno z najbardziej wyrafinowanych i osobliwych okrucieństw słownika psychiatrycznego. Implikuje ono bowiem absurdalne założenie, że gdzieś w archiwach wszechświata istnieje jakiś mityczny oryginał, idealny, wzorcowy model człowieka, względem którego można by liniijką odmierzyć stopień twojego odchylenia. Ci ludzie nie wychodzą z Prowincji naprawieni. Wychodzą, ponieważ farmakologia perfekcyjnie wykonała powierzone jej zadanie. Coś w ich głowach — chemia, o której Bogowie w kitlach rozprawiają z nabożną precyzją, jakby rozumieli jej działanie lepiej niż ona sama — z bezwzględą siłą wyłączyło ostatni pulsujący bezpiecznik, jaki utrzymywał ich przy starym porządku rzeczy. Tym bezpiecznikiem był strach przed śmiercią.

Należy zrozumieć jedno: strach przed śmiercią jest betonowym fundamentem, na którym opiera się cała nasza cywilizacyjna nadbudowa. Na nim wyrosła kultura, kapitalistyczna ekonomia, religijna moralność i cała skomplikowana architektura społeczna. To on zmusza do brania kredytów, rodzenia dzieci i budowania zamków w drzwiach. Kiedy zaś ten rdzenny lęk zostaje sztucznie wycięty — i to wcale nie w wyniku jakiegoś mistycznego olśnienia, nagłego wybuchu odwagi czy starożytnej mądrości, lecz z powodu systematycznego podawania psychotropów o ściśle wyznaczonych porach — człowiek zostaje sam na sam z czystym, wypreparowanym, obezwładniającym pytaniem: „Co teraz?”. Przestrzeń wyłaniająca się z tego pytania jest tak przepastna, tak kosmicznie pozbawiona jakichkolwiek barier ochronnych, że większość nie jest w stanie w niej oddychać nawet przez sekundę.

Obywatele Prowincji — wbrew temu głośnemu, powszechnemu dogmatowi, w jaki świecie wierzy upupiony świat za oknem — wcale nie pragną umierać. To chyba najpodlejsze z kłamstw, jakie Prowincja przez dekady zdołała wytworzyć jako

zasłone dymną, jako obronną mgłę chroniącą ją przed wzrokiem gapiów. Świat myśli, że za tymi murami snują się zjawy, dla których jedynym marzeniem jest niebyt. Że to swoisty azyl dla zblazowanych i zmęczonych wstawaniem z łóżka.

Bzdura. Obywatele zdeponowani w tym miejscu pragną żyć, i to pragną tego rozpaczliwie, pazurami drapiąc po ścianach. Rzecz w tym, że trafili do jedynego miejsca na mapie, w którym brutalnie uzmysławiają sobie, że życie jest jedyną profesją, której nie da się nauczyć z żadnego podręcznika z instrukcjami. Nie da się napisać urzędowej procedury regulującej „bycie żywym”. Nie istnieje wskaźnik KPI potrafiący zmierzyć wielkość tęsknoty za sensem. Bogowie w kitlach nie wynaleźli jeszcze takiego kodu choroby, pod który mogliby wpisać ten pożerający głód autentyczności. A to przecież ten właśnie potworny, wilczy głód prawdy sprowadził na ten korytarz każdego z nich.

Wróćmy do bieli. Do tej konkretnej, fizycznej, obezwładniającej bieli ściany, w którą wpatruje się wędrowiec przez wąskie okno na korytarzu. Jest świt. Niebo przecina coraz więcej rozcieńczonych odcieni szarości, a bezlitosna biel muru przez ułamek sekundy staje się brudnożółta, niemal ludzka.

Ta biel nie jest przypadkiem. Jest potężną architekturą zamysłu. Jakiś bezimienny twórca Systemu z pełną premedytacją zdecydował kiedyś, że to miejsce musi ociekać bielą. Nie podyktowały tego prawa estetyki. Nie wymusił tego banalny wymóg utrzymania sterylnej czystości.

Zaprojektowano to w ten sposób dlatego, że tylko absolutna biel potrafi być tak doskonale neutralna i obojętna wobec każdej tożsamości z zewnątrz. Biel nie faworyzuje młodych, bogatych czy wykształconych. Biel nigdy nie osądza twoich grzechów ani życiowych potknięć. Biel z nieskończoną obojętnością, bez zmrużenia oka przyjmuje dokładnie każdą formę wrzuconego w nią cierpienia. Kryje się w tym jej niepojęte okrucieństwo, a zarazem — największa i niespodziewana łaska.

Po kilku tygodniach bycia powoli przeżuwanych przez te mury, zaczyna się tej bieli ufać. Ufać, ponieważ biel, w przeciwieństwie do ludzi z tamtego świata, nie krzyczy, że trzeba być bardziej produktywnym. Biel nie wywiera presji, nie wymaga odpowiedzi na pytania o plany na kolejny kwartał. Biel w ogóle nie wyraża rozczarowania brakiem postępów w „leczeniu”. Biel po prostu i nieodwołalnie tutaj jest. Dokładnie tak samo jak każdy, kto tu trafił — po prostu tutaj jest.

I dociera do niego, że to banalne „po prostu” — to zredukowane do atomów minimum, ta огоłocona z kłamstw, niczym nieusprawiedliwiona przed światem obecność w tym konkretnym punkcie we wszechświecie — w jakiś chory, niezrozumiały sposób zaczyna wystarczać. Nie jest to olśnienie. Nie jest to nawet

ulga. To raczej ciche zdumienie ciała, które odkrywa, że wciąż oddycha. Gdy ten koślawy, blady prostokąt porannego światła pełźnie po podłodze, przekształcając na moment agresywną białą ścianę w coś niemal oddychającego, pojawia się ukłucie. Coś, co być może nie zasługuje jeszcze na pompatyczne i wielkie słowo z poezji, ale co nie ulega najmniejszej wątpliwości: cichy, niesamowicie zdumiony fakt, że po prostu jest.

I może — powtarzane cicho, jak zakłęcie, powoli, absolutnie bez pośpiechu i bez śladu tego fałszywego entuzjazmu, jakiego każdego dnia wymagał teatrzyk codzienności — może to wystarczy. Może to огоłocone, brudne i przerażone „jestem” to jest właśnie to, od czego wszystko można zacząć.

DOLINA OŚLEPIONYCH

Kartografia ludzkich złudzeń posiada swój ściśle określony, ostateczny brzeg.

Większość map — niezależnie od tego, przez jak wybitnych nawigatorów życia zostały wykreślone i jakimi ideologiami podszyte — kończy się właśnie tutaj. Na terytorium, które ludzkość z uporem, dziedzicznym z pokolenia na pokolenie niczym oporny defekt genetyczny, ogłasza swoim absolutnym, bezdyskusyjnym domem.

Nazywają to miejscem docelowym. Ja, kreśląc te słowa, nazywam to Doliną Oślepiionych.

Dolina leży w głębokiej, egzystencjalnej depresji, całkowicie odcięta od mroźnych, ożywiających wiatrów autentycznego życia. Jest nieustannie skąpana w wiecznym, sztucznym, drażniącym siatkówkę różowym świetle. To nie jest miękki, obiecujący blask wschodzącego słońca, w którym można wziąć głęboki oddech. To natrętne, jarzeniowe promieniowanie. Gdybyś stanął w centrum Doliny i zamknął oczy, usłyszałbyś ciche, elektryczne buczenie tego światła — niską, wibrującą częstotliwość przypominającą pracę starych transformatorów albo chłodni w całodobowych rzeźniach. Z tą różnicą, że to konkretne światło zostało zabarwione na kolor taniej, popkulturowej obietnicy i pachnie jak rozgrzany plastik mieszający się z watą cukrową. Światło to ma jedną, zabójczą właściwość: nie rzuca cieni. W Dolinie Oślepiionych cienie uchodzą za herezję. Każda rysa na twarzy, każdy mrok zalegający

pod oczami po nieprzespanej nocy i każda niewypowiedziana wątpliwość muszą zostać natychmiast wyprasowane, zneutralizowane przez bezlitosną jasność wymuszonego szczęścia.

Kraina ta jest zamieszkała przez miliony wędrowców, którzy desperacko i z własnej, nieprzymuszonej woli uwierzyli, że odnaleźli wreszcie uniwersalny klucz do zagadki wszechświata. Że ostatecznym, uświęconym celem ludzkiej podróży jest po prostu przestać wędrować, o ile znajdzie się kogoś, z kim można w tym bezruchu skamienieć. Zastygają więc obok siebie, w kadrach paraliżującej codzienności. Patrzą na nich w moich wspomnieniach: siedzą w dusznych restauracjach o ósmej wieczorem, a jedynym dźwiękiem, jaki między nimi krąży, jest rytmiczne, metaliczne stukanie widelców o porcelanę. Przypominają idealnie odlane woskowe figury uwięzione w gorączkowym, panicznym uścisku. Trzymają się za ręce w miejskich parkach, z siłą, która bieli im knykcie, jedzą naprzeciwko siebie milczące, wtorkowe kolacje składające się z odgrzewanego makaronu, kupują ubezpieczenia na życie na dwóch właścicieli, składając podpisy na sztywnych umowach jednakowymi długopisami. Ale jeśli zrobisz krok w przód, jeśli podejdziesz na odległość niesłyszalnego szeptu i spojrzysz im prosto w źrenice, dostrzeżesz, że ich szeroki, lśniący uśmiech to w rzeczywistości precyzyjnie wymodelowany skurcz. Skorupa, pod którą tętni cichy, dławiący terror. Terror wynikający z pulsującego w skroniach przecucia, że to wszystko, ten cały monumentalny, rozpisany na lata wysiłek bycia „razem”, w gruncie rzeczy niczego nie załatwia. Odkurzacze nadal buczy tak samo smutno, a noc nadal jest czarna i obojętna.

W Dolinie panuje brutalna, choć nigdy nieprzepisana na żaden formalny dokument umowa społeczna, której złamanie grozi natychmiastowym ostracyzmem. Jej treść jest prosta: musisz bezwarunkowo wierzyć, że bycie kochanym uleczy twoją strukturę. Wątpliwość jest tu zbrodnią o najwyższym ciężarze gatunkowym. Skoro znalazłeś drugą osobę, skoro sypiacie pod jedną kołdrą z pierza i dzielicie rachunki za prąd, nie masz już najmniejszego prawa odczuwać pierwotnej pustki.

Jeśli pustka wraca — a wraca zawsze, czołgając się po podłodze sypialni nad ranem — system mówi ci, że jesteś zepsuty, niewdzięczny, albo że niewłaściwie kochasz.

Ja również tam byłem. Zszedłem w ten lepki, różowy neon z własnej woli, porzucając po drodze na poboczu wszelkie narzędzia krytycznego myślenia, jak wyrzuca się niepotrzebny balast z tonącego balonu. Niosłem w sobie pustkę — potężny, stary ubytek w samej architekturze duszy, pionowe pęknięcie w fundamentach mojego własnego „ja”, przez które od lat, kropla po kropli, uciekało ze

mnie życie, zostawiając tylko posmak żelaza na języku. I naiwnie, z obrzydliwą prostotą godną średniowiecznego chłopca płacącego za odpusty, założyłem, że to wielkie, mityczne uczucie wreszcie ten ubytek zaspachluje.

Pragnąłem alchemii. Chciałem na własnej skórze dowiedzieć się, jak to jest być dla kogoś fizycznym powodem, dla którego rano w ogóle otwiera się oczy i stawia bosc stopy na zimnych panelach. Chciałem, by cudze spojrzenie zadziało jak dłuto rzeźbiarza — by nadało mi kształt, gęstość i kontur, których sam od dawna nie potrafiłem sobie ulepić przed lustrem w łazience. Miłość jawiła mi się nie jako dojrzała relacja dwóch wolnych podmiotów, lecz jako darmowy azyl. Jako sanatorium z pełnym wyżywieniem, w którym wreszcie ktoś zdejmie z moich pleców ten miazdzący kręgi obowiązek nadawania sensu własnemu istnieniu.

Szybko jednak, z precyzją rzeźnickiego noża tnącego martwą tkankę, odkryłem wielkie, założycielskie kłamstwo tego miejsca. Fundamentalnym błędem poznawczym Doliny jest kulturowe przekonanie, że jej obywatele w ogóle patrzą na drugiego człowieka. To czysta, optyczna iluzja, majstersztyk samozachowawczej neurozy. W rzeczywistości obiektywnego bytu niezwykle rzadko widzimy partnera. Zdecydowanie częściej, z porażającą konsekwencją, traktujemy jego mokre od łez oczy i ciepłe dłonie wyłącznie jako wypolerowane lustro.

Pomyśl o tym, opierając czoło o szybę. Szukamy w drugim człowieku nie jego unikalnej odrębności, nie jego własnych, ukrytych w trzewiach lęków czy koślawych snów, lecz idealnie gładkiej powierzchni, w której możemy przejrzeć się sami, z fascynacją i drżeniem rąk. Zaglądamy w jego źrenice nie po to, by dostrzec dno jego zmęczonej duszy, lecz by odnaleźć w nich własne odbicie, tylko w znacznie korzystniejszym oświetleniu. Łakniemy twardego, fizycznego dowodu na naszą upragnioną, zatajoną przed światem wyjątkowość. Chcemy, by ta druga osoba była dożywotnim notariuszem naszej wartości. By jej płytki oddech na naszej szyi, jej zachwyt i jej oddanie stanowiły woskową pieczęć potwierdzającą, że nasz ból ma jakiegokolwiek znaczenie, że nasze często grafomańskie słowa są mądre, że wbrew temu, co sami o sobie myślimy podczas bezsennych, przepełnionych nocy — jesteśmy jednak godni ocalenia przed ostatecznym rozkładem. Owo legendarne „kocham cię”, wypowiedane przez kogoś w półmroku pokoju, to w istocie zaszyfrowany komunikat, który nasz chory układ nerwowy dekoduje jako: „widzę cię, a to oznacza, że naprawdę istniejesz i masz prawo zajmować tu miejsce”.

Zjawisko zakochania ujawnia się w tym ostrym świetle jako akt głęboko, rdzennie narcystyczny, przebrany jedynie w uszyte na miarę, eleganckie szaty altruizmu i poświęcenia. Wszyscy ci mieszkańcy Doliny, wiecznie podtruwani przez żółć

zazdrości, podejrzliwości i niepewności, sprawdzający ukradkiem telefony swoich partnerów o trzeciej nad ranem, tak naprawdę wcale nie boją się fizycznej utraty drugiego człowieka. Odszedł, to odszedł — statystyka zna miliony takich przypadków, to tylko przetasowanie ciał w przestrzeni. Gdyby jednak zdobyli się na intelektualną uczciwość, stojąc nad zlewem pełnym brudnych naczyń, przyznaliby, że boją się czegoś znacznie mroczniejszego i bardziej druzgoczącego. Boją się utraty tego wyidealizowanego, nasyconego barwami obrazu samych siebie, który partner tak uprzejmie, choć nieświadomie, podtrzymywał swoją fizyczną obecnością w przedpokoju. Cierpią na obsesyjny, chroniczny lęk przed dźwiękiem tłuczonego szkła. Udają dożywotnie szczęście, pieczołowicie kurcząc się w klatkach własnych mieszkań i spłacając wspólne raty, ponieważ ostateczne przyznanie się do rozczarowania relacją oznaczałoby głośne wyznanie, że lustro pękło. A gdy lustro pęka, zostajesz odarty ze świetlistego hologramu i znowu lądujesz sam w pustym pokoju, sam na sam ze swoją własną, nieznośnie obiektywną przeciętnością.

Przed zejściem do Doliny żyłem w matematycznym micie. Świecie i niewzruszenie wierzyłem, że wielkie uczucie to zawsze proces dodawania. Że miłość to uświęcona arytmetyka obfitości. W moim wyobrażeniu dwa niekompletne, wyszczerbione byty łączyły się, by stworzyć strukturę wznioślejszą, większą i potężniejszą niż suma jej wybrakowanych elementów. Że $1+1$ da nam co najmniej tętniącą tlenem trójkę.

Jakże ślepy musi być człowiek zmarznięty do kości, w swojej zwierzęcej potrzebie ogrzania się o cudzy puls. Szybko pojąłem, że matematyka w tym dusznym ekosystemie funkcjonuje na zgoła odmiennych, rzeźnickich zasadach. Kiedy dwie niekompletne, okaleczone przez świat jednostki, posiadające gigantyczne, zięjące chłodem braki w systemie własnej wartości, próbują za wszelką cenę stopić się w jedno, wynik takiego równania nigdy nie jest dodatni. Celem tego stopienia nie jest bowiem radosna eksploracja, twórczość ani rozwój. Celem jest paniczna ucieczka przed chłodem wolności. Ucieczka przed przerażającą świadomością, że w tym rozszerzającym się, czarnym kosmosie nie ma dla nas żadnego odgórnego planu.

Wynik tego równania — miłości zbiegów z własnego życia — brzmi okrutnie, chłodno i ostatecznie: $1+1=0$.

Przez krótką, euforyczną chwilę u progu mojej relacji wydawało mi się, że odnalazłem uniwersalną, świetlistą odpowiedź na każde dręczące pytanie, jakie zadawałem sobie we wczesnych dekadach życia. Ale to nie była odpowiedź. To była systematyczna, przeprowadzana za obopólną zgodą, cicha anihilacja. Stopniowo, niezauważalnie, zniknąłem „ja”. Zniknęła granica mojej skóry, zniknął ostry kontur

mojego gustu, zatarł się mój niezależny rytm oddychania. Moje książki na półce zaczęły ustępować miejsca obcym przedmiotom. Wszystko to zostało zepchnięte w kąt, by zrobić miejsce na to monstrualne, żarłoczne zjawisko o nazwie „My”.

Owo uświęcone „My” jest w Dolinie traktowane z nabożną czcią, jako najwyższe bóstwo, któremu buduje się ołtarze ze wspólnych kredytów hipotecznych na trzydzieści lat, wspólnych profili w mediach, wspólnych znajomych i zestawów idealnie pasujących do siebie ręczników z grubego frotte. W istocie jednak „My” jest drapieżnym pasożytem o lepkich mackach. Zjawiskiem, które bezwzględnie pożera wszystko poza sobą samym — pożera resztki prywatności za zamkniętymi drzwiami łazienki, indywidualne, dziwaczne pasje, niezależną myśl błędzącą przed snem, pożera w końcu sam tlen w przedpokoju. „My” nie znosi odrębności, reaguje na nią jak na alergen. Wymaga nieustannych, codziennych ofiar z osobistego terytorium. Zaczynamy z czasem patrzeć na siebie jak na dwa okaleczone zwierzęta zamknięte w klatce symbiotycznej wdzięczności, bojąc się wykonać gwałtowniejszy ruch, by nie urazić drugiego cienia. W takim układzie dwie niepełne połówki nie tworzą żadnej pełni; tworzą jedynie szczelnie zespawany obwód zamknięty, w którym te same neurozy, mroki, fobie i wady krążą w nieskończoność, odbijając się od ścian bez najmniejszej możliwości ujścia. Związek przestaje być podróżą do nieznanego lądu, a staje się wyrafinowaną, kulturowo akceptowaną formą abdykacji z samego siebie. Złożeniem broni u stóp drugiego człowieka.

Byłem w tym miejscu niebezpiecznie, do szpiku kości zakochany. Obiektem mojego dobrowolnego upadku, ciężką, kutą kotwicą, z którą z radosnym uśmiechem chciałem pójść na piaszczyste dno, była istota, którą na potrzeby tego sterylnego, analitycznego zapisu będę określał po prostu literą „S”. Musiałem obedrzyć „S” z płci, z twarzy, z imienia, by zredukować je do bezpiecznej, klinicznej zmiennej.

Zmienna w równaniu nie ma bowiem oczu, w które musiałbym spojrzeć, i nie ma głosu, którego brzmienie mogłoby mnie znowu złamać. Jest tylko obojętnym, matematycznym znakiem.

Zrezygnowałem dla „S” ze wszystkiego, co znajdowało się za fizyczną linią horyzontu naszej sypialni. „S” zamknęło mój świat w sposób tak miękki, posuwisty i subtelny — zapachem kawy o poranku, ciepłem stóp pod kołdrą, cichym śmiechem w kuchni — że pomyliłem tę utratę terytorium z odnalezieniem jedyne sensownego centrum grawitacji we wszechświecie. „S” było stworzeniem niesłychanie kruchym.

Miało cienką jak pergamin skórę, na wskroś nadwrażliwą, niemal transparentną dla każdego bodźca i bólu tego świata. Widziałem, jak drży od dźwięków z ulicy.

Podobnie jak ja, „S” błąkało się od lat po bezkresach życia, desperacko szukając jakiegoś trwałego, oświeconego punktu odniesienia. Szukało łądu, na którym można postawić stopę bez zapadania się w muł. I tak wpadliśmy na siebie na środku oceanu — dwoje tonących, którzy zamiast, zgodnie z zasadami ratownictwa, rzucić sobie pomarańczowe koła ratunkowe, postanowili chwycić się nawzajem za szyje z żarliwym, psychotycznym wręcz przeświadczeniem, że ten właśnie uścisk powstrzyma ich przed pójściem na dno.

„S” znało mnie z przerażającą dokładnością. Przez miesiące, z niemal archeologiczną, milczącą cierpliwością, palec po palcu, badało układ moich wewnętrznych ruin. Poznało na wylot siatkę moich pęknięć, zawila, czerwoną mapę starych blizn, niewypowiedzianych ojcowskich żali i mroków, które budziły mnie w środku nocy z przyspieszonym tętnem i zimnym potem na karku. I to właśnie przez tę przekłętą, niezdrowo głęboką znajomość — przez to obdarcie się przed sobą z absolutnie wszystkich warstw, z resztek ochronnej tajemnicy — „S” z czasem zaczęło odczuwać coś niewybaczalnego. Poczucie odpowiedzialności. Uwierzyło, patrząc, jak siedzę godzinami bez ruchu na kanapie wpatrzony w kurz wirujący w smudze światła, że staje się w pełni, życiowo odpowiedzialne za to, czy rano w ogóle wstanę z materaca. Uwierzyło, że jeśli puści moją rękę idąc ulicą, z hukiem rozsypię się w proch na chodniku.

W literaturze romantycznej, w taniej poezji i kinie, czynienie z kogoś swojego jedyne, absolutnego „sensu życia” uchodzi za komplement najwyższej, najczystszej próby. Za akt całkowitego oddania, będący rzekomo szczytem ludzkiej egzystencji, pod który podkłada się dramatyczną muzykę smyczkową. W istocie jest to nic innego jak wydanie na kogoś wyroku śmierci. Wyroku, który wręczamy drugiemu człowiekowi w białych rękawiczkach, z bukietem kwiatów. Jest to akt wyrafinowanej, nieświadomej, psychologicznej przemocy. Nie miałem najmniejszego moralnego ani logicznego prawa wymagać, by „S” dźwigało moją ciężką, niestrawną, pękniętą egzystencję na swoich wątłych barkach. Ustanowienie drugiego, równie porysowanego przez życie człowieka swoim osobistym mesjaszem to najcięższa i najbardziej podstępna forma ubezwłasnowolnienia. Obarczasz go zadaniem, do którego ewolucyjnie nie został powołany żaden zbiór komórek: zadaniem naprawienia obcego oprogramowania.

Zrobienia z ciebie kogoś, kto chce żyć.

Pamiętam jedną z takich nocy, absolutną, fizyczną kwintesencję naszego powolnego upadku. Była dokładnie trzecia zero zero. W sypialni panował gęsty, duszny mrok, rozcinany jedynie agresywnym, krwistoczerwonym blaskiem cyfrowego

budzika, który rzucał na przeciwległą ścianę poświatę przypominającą światło ostrzegawcze w maszynowni. „S” spało obok, ciężko opierając głowę na moim ramieniu. Rytmiczny, gorący oddech owiewał moją szyję, a ja leżałem z otwartymi oczami, wpatrzony w te pulsujące czerwone cyfry. Moja lewa ręka, uwięziona pod ciężarem cudzego snu, powoli, systematycznie martwiała. Najpierw zniknęło czucie w opuszkach palców, potem mrowienie objęło dłoń, aż w końcu całe przedramię zmieniło się w obcy, bezwładny kloc mięsa. Wystarczyłby jeden minimalny ruch, lekkie szarpnięcie barkiem, by uwolnić zablokowany obieg krwi, ale nie zrobiłem tego. Leżałem w absolutnym, panicznym bezruchu, wstrzymując własny oddech, całkowicie sparaliżowany strachem, że ten jeden gest wybudzi „S” i zburzy tę kruchą, rozpaczliwą iluzję spokoju. Wolałem pozwolić własnemu ciału obumierać, komórka po komórce, niż zmierzyć się z czarną wyrwą, która otworzyłaby się w pokoju, gdybyśmy znów musieli zacząć rozmawiać. Ta martwiejąca o trzeciej w nocy ręka była naszą relacją w pigułce. Najczystsza, fizyczną manifestacją naszej patologii: powolnym, dobrowolnym odcinaniem krążenia we własnym ciele, byle tylko utrzymać przy życiu to mityczne „My”.

To ciśnienie wzajemnych, niewypowiedzianych na głos oczekiwań z każdym dniem coraz mocniej miażdżyło nam płuca, tak że zwykłe wzięcie oddechu wymagało wysiłku. Być powodem czyjegoś istnienia to tonaż, pod którym łamią się nawet najtwardsze kręgosłupy. Ale Dolina Oślepionych działa jak najcięższy, nielegalny opiat. Kiedy raz poczujesz na nagiej skórze tę narkotyczną, obezwładniającą bliskość, to gorące ciepło cudzego uda przy twoim, które choć przez godzinę w nocy stanowi twardą tarczę przed przerażającą obojętnością czarnego, zimnego kosmosu za oknem — godzisz się na wszystko. Godzisz się na tę martwiejącą rękę i na uduszenie. Byle tylko nie musieć podjąć tej tytanicznej decyzji o kupieniu kartonów i pakowaniu walizek. Byle tylko nie musieć wracać na mroźne, wietrzne pustkowie autentyczności, w którym znów musiałbyś stanąć na środku pustego pokoju, spojrzeć w lustro i odpowiedzieć na wbijające w ziemię pytanie: kim w ogóle jestem, kiedy nikt na mnie nie patrzy?

Zatem tkwiliśmy w tym bezruchu, powoli gnijąc od środka. Aż w końcu prawo entropii i fizyki upomniało się o swoje. Napięcie liny musiało ulec zerwaniu. W końcu „S” odeszło. Przecięło tę naprężoną do granic, zardzewiałą linę nośną, posługując się chłodnym, uniwersalnym, do bólu wyświechtanym przez obywateli Doliny zdaniem, które musiało wybrzmieć. „S” stało w progu, jedną ręką trzymając torbę, patrząc niewidzącym wzrokiem gdzieś w szparę w panelach, i wypuściło z ust te obłe, gładkie słowa o tym, że tak będzie po prostu lepiej dla nas obojga.

W jednej, ostrej jak brzytwa mikrosekundzie, w której zazębiły się tryby zamka w zamykanych przez „S” drzwiach, z głośnym, metalicznym trzaskiem, wszystkie nasze wielkie, patetyczne deklaracje o wieczności rozpadły się na atomy. Przestały istnieć, wyparowały jak woda rzucona na rozgrzaną blachę. Wszystkie te magiczne zaklęcia, wypowiedane drżącym szeptem w ciemności ze splecionymi palcami, w które z takim trudem zmuszaliśmy się wierzyć, zrównały się z ziemią, stając się bezwartościowym kurzem osiadającym w kątach. Ten dźwięk zatraskiwanych drzwi obnażył największy, najbardziej przerażający paradoks Doliny, o którym nikt nie raczy wspominać w trzyminutowych piosenkach o miłości puszcanych w radiu: otóż samo, czyste uczucie wcale nie wystarcza do przetrwania. Miłość to fizycznie za mało, by ocalić związek dwojga uszkodzonych ludzi, dokładnie tak samo, jak jedna kropla deszczu to za mało, by zatrzymać szalejący pożar suchego lasu. To jest to wielkie, założycielskie kłamstwo, wmawiane nam systemowo od poziomu szkolnej ławki, by utrzymać nas w ślepej wierności i obywatelskim posłuszeństwie wobec rygorystycznego, społecznego imperatywu dobierania się w równe pary.

Czy „S” mnie kochało w momencie, w którym niosło torby do taksówki? Tak, z całą żarliwą, pulsującą we krwi pewnością. Wiedziałem o tym, czułem to napięcie na odległość. Czy ja kochałem „S”? Tak, do całkowitej, fizycznej utraty tchu, do całkowitego, patologicznego zatarcia granic mojej własnej tożsamości. A jednak, pomimo istnienia tej gargantuicznej ilości uczucia uwięzionego na pięćdziesięciu metrach kwadratowych, rozdzieliliśmy się, poddając się nieubłaganej matematyce rozpadu. Oboje, bez słowa, zagłosowaliśmy za śmiercią relacji dla czysto teoretycznego przetrwania nas samych. Byliśmy dla siebie nawzajem tak potężnym, radioaktywnym zagrożeniem, nasza więź stała się z czasem tak nieodwracalnie toksycznym, mięsnym zrostem, obarczonym tak chorą dozą wzajemnego bycia swoim bogiem od sensu, że jedynym ratunkiem stała się krwawa amputacja. Wykonana bez znieczulenia, w biały dzień. Musieliśmy wyrwać sobie nawzajem serca, musieliśmy przestać patrzeć sobie w twarz, żeby w ogóle móc nabrać powietrza z ulicy do własnych płuc.

Leżąc długimi godzinami na podłodze tamtego pustego już mieszkania, czując chłód lakierowanego drewna na policzku i gapiąc się bezmyślnie w cienką jak włos rysę na suficie, zrozumiałem z morderczą, lodowatą jasnością umysłu twarde zasady gry. Zrozumiałem, że ludzkie relacje, te wszystkie wielkie uniesienia i obietnice składane nad kubkiem z herbatą, wcale nie są domeną magii, eterycznej poezji czy metafizyki. Są twardą, bezwzględną, zimną ekonomią strat i zysków. Najczystszy kapitalizm dusz. Podlegają surowemu rynkowi operacji emocjonalnych.

Zainwestowałem w „S” potężny, życiowy kapitał obrotowy, którego nigdy, żadnym pozwem, nie da się odzyskać od wszechświata: ogrom bezpowrotnie spalonego czasu, najcenniejsze, najgłębsze złoża moich surowych emocji, setki nocy z wydartym snem i resztki mojego, i tak już drastycznie nadwątłego układu nerwowego. Zapłaciłem najwyższą możliwą rynkową cenę, rzuciłem na stół każdy, nawet najdrobniejszy, ukryty w kieszeni żeton mojej indywidualności, po to tylko, by w ostatecznym rozrachunku stać się absolutnym, zrównanym z ziemią bankrutem. By obudzić się we wrogiej, sterylnej przestrzeni, z pustymi rękami, bogatszy zaledwie o jedną, okrutną, wżartą głęboko w szpik kostny wiedzę: jak bardzo, jako ten wysoko rozwinięty, rzekomo myślący gatunek, w gruncie rzeczy nie potrafimy ocalić samych siebie poprzez prymitywne użycie drugiego człowieka jako tarczy.

Obserwuję stąd roje kolejnych wędrowców, którzy z gorączkowym, radosnym obłędem w oczach wkraczają do Doliny, święcie wierząc, mijając się na ruchomych schodach i w kawiarniach, że oni jedni — wybrani przez los — pokonają matematykę, oszukają algorytm i ich 1+1 da wynik wyższy niż zero. Nie potrafię przestać zadawać pytań, na które nikt tam, w dole, zakotwiczony na wspólnej kanapie, nie ma odwagi w ogóle usłyszeć, a co dopiero próbować ułożyć odpowiedź.

Czy nasze krzyczące z każdego pora skóry pragnienie bycia kochanym to w swej rdzennej istocie pragnienie poznania i głębokiego zrozumienia drugiego człowieka? Czy to autentyczna ciekawość obcej galaktyki? Czy może to po prostu bezkresna, desperacka, łkająca i żałosna potrzeba bycia w końcu zauważonym w obojętnym, pędzącym przez ulice ślepym tłumie? Czy w ogóle pragniemy kochać kogoś innego, czy łakniemy jedynie tego, by cudzy wzrok nadał nam ostateczny certyfikat istnienia?

Zastanawiam się, gdzie fizycznie leży ta niewidzialna, śmiertelnie cienka linia demarkacyjna, za którą szlachetne oddanie transformuje się w wulgarny, duszący wampiryzm. W którym konkretnym ułamku sekundy, przy którym wspólnym obiedzie, bezwarunkowa opieka przestaje być miękkim wsparciem, a staje się nieznosnym, paraliżującym obowiązkiem? Obowiązkiem obarczającym partnera zadaniem utrzymywania nas przy życiu, z którym nie poradziłaby sobie nawet najdoskonalsza technologia medyczna? Jak bardzo musisz zbliżyć się do ciała drugiego człowieka, centymetr po centymetrze, by nagle, bez ostrzeżenia, zamienić jego dotleniony świat w czystą próżnię?

Zastanawiam się: jeśli ostatecznym, arytmetycznym wynikiem połączenia dwóch egzystencjalnych braków zawsze pozostanie zimne i okrutne zero, to czy jedynym uczciwym, pozbawionym przemocy modelem relacji jest spotkanie dwóch w pełni

uksztaltowanych, okutych w stal samotności? Spotkanie dwojga sterylnych bytów, które w żaden, absolutnie żaden biologiczny ani psychologiczny sposób nie potrzebują się nawzajem, by oddychać, opłacać rachunki i funkcjonować, ale z dziwnego, niezrozumiałego dla wszechświata kaprysu decydują się przez jakiś czas iść równolegle obok siebie, ramię w ramię, rygorystycznie pilnując, by nigdy, nawet przez przypadek, nie przeciąć i nie splątać swoich orbit? Czy miłość jest fizycznie możliwa i bezpieczna tylko wtedy, kiedy w żadnym wymiarze nie jest formą rzucanego koła ratunkowego?

I wreszcie — to pytanie piecze w krtań najboleśniej, niczym połknięty kwas, na samo wspomnienie ostrego dźwięku taśmy pakowej, którą „S” oklejało swoje kartony w przedpokoju: czy podjęta w upiornym, martwym spokoju, wyliczona na chłodno decyzja o rozstaniu, argumentowana rzekomą dorosłą troską — rozstanie „z szacunku i z resztek uczucia” — jest rzeczywiście dowodem naszej najwyższej, cywilizacyjnej dojrzałości emocjonalnej? Czy może, jeśli obedrzemy to z ładnego, terapeutycznego żargonu wyczytanego w modnych książkach, jest to tylko ostateczne, spektakularne, bezdenne tchórzostwo? Ucieczka ewakuacyjna przed nieuchronnym i rdzennie wpisanym w ludzką biologię bólem, który jest nierozłączną ceną odważnego, upartego stania przy kimś w pokoju, kiedy cały świat na zewnątrz wali się w gruzy?

Nie mam pojęcia. Dolina nie udziela odpowiedzi. Dolina trwa w najlepsze, różowa i bucząca, połykając kolejnych wędrowców, którzy wkraczają do niej z tym samym zaklęciem na ustach i wychodzą z tym samym smakiem żelaza na języku.

PRZEDMIEŚCIA ODWRÓCONYCH OKIEN

Zaparłem się obiema dłońmi o krawędź ciężkiego, dębowego blatu i z całej siły spróbowałem odepchnąć krzesło. Cel był banalny, niemal fizjologicznie prosty — chciałem jedynie obrócić siedzisko o dziewięćdziesiąt stopni w prawo, w stronę ogromnego, zakurzonego okna przydrożnej kawiarni, by po prostu wyjrzeć na zewnątrz. Zamiast gładkiego ślizgu drewna po podłodze, poczułem w ramionach twardy, wibrujący w kościach opór, a po sali rozniósł się krótki, przeraźliwie tępy zgrzyt naprężanego metalu. Spojrzałem w dół. Masywne nogi mojego krzesła, podobnie jak nogi każdego innego mebla w tym dusznym, pachnącym starym tłuszczem i zwietrzałą kawą pomieszczeniu, były przemysłowo, na chłodno przyśrubowane do betonowej posadzki potężnymi, stalowymi kotwami. Wszystkie bez wyjątku skierowano frontem do ściany, tyłem do szyby.

Na dźwięk tego szarpnięcia zza kontuaru natychmiast wyskoczył kelner. Miał na sobie białą, sztywną od krochmalu koszulę, ale jego oczy były rozbiegane, wilgotne od paniki. Podszedł do mnie szybkim, niemal wojskowym krokiem, z nałożonym na twarz wyćwiczonym, martwym uśmiechem, który w ogóle nie angażował mięśni wokół oczu. Nie powiedział ani słowa. Zamiast tego zaczął gwałtownie, z obsesyjną

dokładnością wycierać i tak już sterylnie czysty fragment blatu tuż przed moją twarzą, rzucając mi tylko jedno, krótkie, ostrzegawcze spojrzenie.

Spojrzenie, które w uniwersalnym języku tutejszych mieszkańców oznaczało: „Błagam, nie patrz tam. Złamałeś pakt”.

Ignorując to nieme błaganie, wykręciłem szyję, opierając policzek o szorstkie oparcie krzesła, i spojrzałem przez brudną szybę. Tam, na samym krańcu płaskiego, spalonego słońcem horyzontu, widniała ona. Granica Bez Przejścia.

Nie była to rzeka obiecująca przeprawę ani pasmo górskie, za którym mogłaby kryć się kolejna, zielona dolina. Granica w moim Atlasie nie posiada trójwymiarowej głębi. To kategoria czysto wizualna, ontologiczna anomalia wpisana w tkanę przestrzeni — ostra, wibrująca, nieludzko czarna linia rozcinająca powietrze, w której nagle, bez żadnego fizycznego wytłumaczenia, kończy się jakakolwiek geometria, a zaczyna obezwładniająca, doskonała próżnia. Niezależnie od tego, w jakiej prowincji, w jakim mieście i na jakiej szerokości geograficznej się znajdujesz, jeśli tylko wyjdiesz na otwarty teren i wyteżysz wzrok, zawsze dostrzeżesz ten ciemny, absolutny kontur.

Znalazłem się w Przedmieściach Odwróconych Okien — gigantycznej, architektonicznej aglomeracji, która rozrosła się na przedpolu tej ostatecznej krawędzi. To tutaj, pijąc tę stygnącą, gorzką kawę z pękniętej filiżanki, w pełni zrozumiałem, na czym polega najpotężniejszy architektoniczny i psychologiczny projekt ludzkiej cywilizacji. Całe to miasto, każdy jego ceglany mur, każdy żelbetowy fundament, każda latarnia uliczna, zostały zaprojektowane i wzniesione tyłem do horyzontu.

Kiedy wychodzisz na ulice Przedmieść, uderza cię nienaturalna klaustrofobia tej przestrzeni. Budynki mieszkalne układają się w zamknięte, ślepe czworokąty. Okna wszystkich mieszkań wychodzą wyłącznie do wewnątrz, na zacienione podwórka-studnie, gdzie na sznurkach suszy się pościel, a dzieci grają w piłkę na popękanej trylince, uderzając nią w ściany. Zewnętrzne, tylne fasady bloków — te, które fizycznie są zwrócone w stronę czarnej linii Granicy — to wyłącznie kilkudziesięciometrowe, ślepe ściany nośne, w których z premedytacją nie wykuto ani jednego otworu wielkości dłoni. Są jak gigantyczne, odwrócone plecy przestraszonego giganta. Cała nasza cywilizacja okazuje się zorganizowanym, zabetonowanym w prawie budowlanym paktem milczenia. Zgadza się wspólnie, solidarnie i bez dyskusji wpatrywać w piasek pod własnymi stopami, w ekrany telefonów, w cudze twarze i w mury naprzeciwko, aby tylko, za żadne skarby świata,

nie musieć obiektywnie przyznać, że ścieżka, którą tak namiętnie depczemy, urywa się na horyzoncie z lodowatą, beznamiętną stanowczością.

Dookoła przedpoła Granicy, w cieniu tej narzuconej ślepoty, wyrósł z czasem cały, niewyobrażalnie skomplikowany przemysł zaprzeczenia. Zrozumiałem to, mijając wielki, sterylny kompleks tutejszych zakładów opóźniania — monumentalny budynek szpitala klinicznego, z którego kominów unosił się zapach lizolu, gotowanej o świetle pościeli i czystego, chemicznego lęku. Zbrojne ramię cywilizacji nie zostało powołane do likwidacji Granicy. Nawet najwięksi fantaści w sterylnie białych kitlach wiedzą, że wymazanie czarnej linii z horyzontu leży całkowicie poza możliwościami białka. Ich prawdziwym, ukrytym zadaniem jest jej odsuwanie. Rozpaczliwe, heroiczne, milimetrowe odsuwanie, niezależnie od moralnych, fizycznych i godnościowych kosztów.

Zajrzałem tam kiedyś przez uchylone drzwi na parterze. Widziałem człowieka zredukowanego do roli statywu na chemię. Leżał w płataninie półprzezroczystych, silikonowych rurek, które wchodziły w jego nadgarstki, nos i gardło z brutalnością wiertła. Jego klatka piersiowa unosiła się nie pod wpływem woli życia, lecz dzięki miarowej, mechanicznej pracy tłoka ukrytego w błyszczącej, plastikowej skrzynce przy łóżku, wydającej z siebie miarowe, elektroniczne piknięcia. Skóra na jego rękach, usiana fioletowymi i żółtymi wybroczynami, przypominała stary, zużyty pergamin, przez który prześwitywała chłodna obojętność biologii. Pozbawiono go możliwości mówienia, decydowania o własnej fizjologii, pozbawiono go najdrobniejszych resztek człowieczego sprawstwa, a wszystko to na ołtarzu jednej, fundamentalnej procedury: zakazu przekroczenia Granicy w tym konkretnym kwartale roku. Oczy tego człowieka, wpatrzone w pulsującą świetlówkę na suficie, były puste. Medycyna w Przedmieściach Odwróconych Okien to wyrafinowana sztuka konfiskaty godności w zamian za wykupienie kilku dodatkowych tygodni wdychania zdezynfekowanego powietrza tyłem do horyzontu.

Jednak medycy to tylko jedna strona medalu w tej wielkiej ekonomii strachu.

Przemierzając duszne, zatłoczone place Przedmieść, napotkałem tych drugich — Handlarzy Iluzją. Wąskie, brukowane uliczki były gęsto usiane jaskrawymi, blaszanymi straganami, które rzeziły na wietrze. Ubrani w ciężkie, wyszywane złotą nicią szaty kapłani, metafizycy, spirytualiści i domokrażcy wyższej świadomości wykrzykiwali swoje oferty przez zardzewiałe megafony. To oni obsługiwali tę bardziej miękką, duchową gałąź przemysłu lęku.

Zatrzymałem się przy jednym z takich straganów, którego zadaszenie rzucało ukośny, poszarpany cień na chodnik. Na wyblakłym, rozgrzanym słońcem kawałku

tektury rozłożone były mapy. Plastikowe, wydrukowane na tanim PVC schematy krain, które rzekomo leżały po tamtej stronie Granicy. Handlarz, człowiek o żółtych, przegniłych zębach i gorączkowym błysku w oku, złapał mnie za rękaw płaszcza i zaczął wciskać mi w dłoń lśniący folder. Na mapie widniały jaskrawe, pastelowe ogrody, złote miasta bez cieni, geometrycznie doskonałe rzeki o lazurowym kolorze. Wszystko to było namalowane kreską tak naiwną i krzykliwą, jakby celowano w aparat poznawczy pięcioletniego dziecka, zdesperowanego utratą ulubionej zabawki. Kolory na tych mapach, wystawione miesiącami na działanie bezlitosnych promieni UV, łuszczyły się i blakły, odsłaniając pod spodem szary, matowy tani plastik.

Uśmiechnąłem się z gorzką, piekącą w gardle litością. Ci kapłani nie oferowali wiedzy; oferowali znieczulenie z epoki brązu. Ich chlebem powszednim jest sprzedaż rzekomej, detalicznej topografii zaświatów. Przekonują tłumy, spocone z przerażenia i zgromadzone wokół ołtarzy, że czarna linia rozcinająca powietrze to nie jest twardy, nieubłagany koniec, lecz zaledwie niedogodny punkt celny, rodzaj bramki na lotnisku. Obie te wielkie siły — nauka pompująca tlen w gnijące płuca i religia wciskająca w spocone dłonie wyblakłe mapy utopii — operują dokładnie na tym samym, rdzennym kapitale. Żerują na ludzkim przerażeniu. My, wędrowcy Atlasu, jesteśmy tak chorobliwie zaangażowani w techniczne opóźnianie spotkania z Granicą albo w fantazjowanie, że zdołamy ją jakoś przechytryć, oszukać i przejść suchą stopą, że nikt z nas nie potrafi po prostu stanąć, przestać nerwowo wycierać blat i z otwartymi oczami spojrzeć w ciemność.

Zostawiłem za sobą targowisko, uciekając od zapachu taniego kadzidła i zgnilizny. Usiadłem na żeliwnej ławce w jednym z tych betonowych, zamkniętych w sobie skwerów. Zrobiłem to, co każdy człowiek, w którym rośnie dławiące uczucie egzystencjalnej izolacji: zacząłem obserwować obcych.

Mój wzrok padł na chłopaka siedzącego kilkanaście metrów dalej. Miał rozpiętą kurtkę, w uchu słuchawkę, i był żywym, pulsującym ucieleśnieniem hiperinflacji czasu. Opierał się plecami o chłodny beton, rytmicznie i z wyraźnym znużeniem kopiąc obcasem w zardzewiały słupek pobliskiego śmietnika. Jego twarz, oświetlona trupim, niebieskim blaskiem ekranu smartfona, była całkowicie wyzbyta wyrazu. Przewijał kolejne obrazy z tępą, mechaniczną furią, fizycznie nie rejestrując niczego, co przesunęło się pod jego kciukiem. Żuł gumę z otwartymi ustami, głośno wzdychając. On dosłownie i brutalnie zabijał czas.

Rzucał swoimi sekundami do rynsztoka jak garścią zaśniedziałych, bezwartościowych miedziaków. Traktował to wtorkowe popołudnie jak brudną wodę, z którą nie ma co zrobić, więc wylewa się ją na chodnik. Dla niego, ukrytego głęboko

w trzewiach Przedmieść i zapatrzonego w piksele, ostateczny horyzont po prostu nie istniał. Głęboko w trzewiach wierzył, że posiada przed sobą Nielimitowaną, mierzalną w bilionach lat pulę podobnych wtorków. Z tego właśnie powodu dusił się z nudów własną egzystencją — czas był dla niego walutą tak pozbawioną pokrycia, tak absurdalnie powszechną, że nie miał absolutnie żadnego powodu, by podjąć wysiłek zbudowania z nim czegokolwiek trwałego.

A zaledwie dwie ławki dalej wzdłuż tego samego, krzywego chodnika, siedział ktoś z zupełnie innej strony kosmosu. Mężczyzna w średnim wieku, ubrany w nienagannie skrojony, popielaty garnitur. W jego postawie nie było śladu tej rozlanej, leniwej nudy, którą emanował chłopak z telefonem. Mężczyzna trzymał w drżących, zaciśniętych dłoniach małą, białą kopertę z nadrukiem pobliskiej kliniki.

Przedarł ją nieporadnie. Wyciągnął pojedynczą kartkę papieru, przebiegł wzrokiem po kilku krzywych rubrykach maszynopisu, a potem całe jego ciało, centymetr po centymetrze, zapadło się w siebie, jakby ktoś wyciągnął mu z kręgosłupa główną śrubę nośną. Nagle, w spazmatycznym, panicznym odruchu, zaczął gwałtownie potrząsać lewym nadgarstkiem, zrywając z niego ciężki, drogi szwajcarski zegarek. Wpatrywał się w przesuwającą się, lśniąca sekundową wskazówkę z tak fizycznym, zwierzęcym przerażeniem, jakby ten cicho tykający mechanizm ważył nagle tonę i dociskał go do ziemi. On, w odróżnieniu od chłopaka ze smartfonem, właśnie po raz pierwszy obiektywnie zobaczył czarną linię. Zrozumiał, z chirurgiczną jasnością, że jego bankowe konto czasu zostało wyzerowane.

I to właśnie w tym bolesnym zderzeniu dwóch ciał z przedmiejskiego skweru objawiła mi się najgłębsza, najbrutalniejsza ekonomia sensu. Oskarżamy Granicę w swoich wierszach i modlitwach o to, że jest przekleństwem obrabowującym nas z wartości, obracającym każdy nasz wysiłek w pył. Tymczasem prawda jest geometrycznie odwrotna. To właśnie ta czarna, wszechobecna linia powołuje jakąkolwiek wartość do życia. Gdybyśmy naprawdę wymazali Granicę, przedłużając każdą autostradę w nieskończoność, stalibyśmy się po prostu plemieniem śliniących się z nudów bogów wpatrzonych w ekrany. Nie potrafilibyśmy kochać.

W miłości — tej autentycznej, nasyconej krwią i troską — zawiera się bowiem twarda, zmuszająca do wysiłku świadomość straty. Kocham tę konkretną, delikatną linię zuchwy „S”, z którą zasypiałem i z którą się dusiłem, dokładnie i wyłącznie dlatego, że podskórnie, biologicznie czułem, iż pewnego dnia ona ostatecznie zniknie. Stanie się zimnym popiołem, a więc jej krucha obecność tutaj była obiektywnym cudem, dla którego warto było narazić się na roztrzaskanie serca.

Granica nas nie okrada — ona jest bezlitosnym urzędem celnym, który wmusza w nas konieczność nadania życiu sensu pod rygorem zmarnowania jedynej krótkiej, miedzianej monety, jaką nam wręczono.

Mimo że prawda o tej transakcji, pulsująca na ławkach tutejszych skwerów, jest tak przejrzysta, zmowa milczenia trwa w najlepsze, obejmując każdą warstwę naszego społecznego bytu. To zdumiewające zjawisko, że jedyna absolutnie pewna, żelazna i stoprocentowo gwarantowana rzecz w całym ludzkim doświadczeniu stała się punktem, wokół którego nasz dumny, giętki i bogaty język gwałtownie się załamuje, paraliżuje i karleje.

Język mieszkańców Atlasu w pobliżu Granicy staje się żalosnym zbiorem protokołów uniku. Kiedy ktoś dotyka czarnej linii i zapada się w próżnię, nigdy nie używamy czasowników dokonanych, stawiających sprawę jasno. Ludzie zgromadzeni wokół trumien, ukryci pod swoimi solidnymi, czarnymi parasolami, patrząc na bryły mokrej, ciężkiej ziemi spadające na gładkie deski jesionu, odchrząkują cicho i poprawiają ciasne kołnierzyki. Używają słabych, wyświechtanych eufemizmów, mówiąc szeptem zbołałym, sztucznym tonem. Mówią, że on „od nas odszedł”. Że „zasnął na zawsze”. Że „został powołany do innej służby”. Nigdy nie mówią, patrząc sobie w oczy, że ten człowiek w całości zniknął, zamknął obieg i uległ organicznemu rozpadowi. Zachowujemy się przy tym z takim bezbrzeżnym zdumieniem, z takim nieszczerem, histerycznym zaskoczeniem, zupełnie jakbyśmy padli ofiarą nagłego, brutalnego rozboju w ciemnym zaułku, a nie poddali się najstarszemu, nieodwołalnemu i precyzyjnie wpisanemu w umowę prawu fizyki. Traktujemy każde spotkanie bliskiej osoby z Granicą jak złośliwy błąd w systemie operacyjnym, pomyłkę algorytmu, odmawiając jej statusu tego, czym faktycznie jest — jedyne w pełni prawnego, naturalnego i nieuchronnego zwieńczenia całej ludzkiej krzątaniny. Złościmy się na śmierć, jakby była podstępny włamywaczem, ignorując fakt, że jest zaledwie cierpliwym komornikiem, który po wielu latach przyszedł zainkasować dawno ustalony, nieunikniony dług.

Opuściłem betonowy skwer. Chłodny, bezlitosny wiatr przetaczał się przez ślepe podwórka, wzbijając tumany szarego pyłu i starych, skasowanych biletów autobusowych. Przeszedłem przez puste miasto, mijając zamknięte zakłady pogrzebowe o dyskretnie przysłoniętych, welurowych witrynach. Ich design subtelnie sugerował, że śmierć to jedynie uciążliwy, niestosowny skandal, który trzeba jak najszybciej i jak najciszej zapakować w mahoń, by nie raził wzroku przechodniów spożywających właśnie lancz. Zmierzchało. Na tle granatowego nieba Przedmieścia Odwróconych Okien wyglądały jeszcze bardziej groteskowo. Tysiące

betonowych klocków uparcie ignorujących to, co znajdowało się za ich plecami, świecących ciepłym, żółtym światłem wyłącznie do środka, niczym małe, wystraszone słońca pod kocem.

Wróciłem do tej samej, taniej kawiarni przy wylotowej drodze z aglomeracji.

Wnętrze nadal pachniało zjełczałym masłem i cichą rezygnacją. Szyba była wciąż brudna, poznaczona wymiętymi smugami od nieudolnego przecierania mokrą ścierką.

Podszedłem do stolika w kącie. Dębowe krzesło z opornymi, grubymi nogami, wciąż stało niewzruszone, pancerne i żelaznymi śrubami połączone z fundamentem budynku, rygorystycznie odwrócone tyłem do okna. Wyciągnąłem ręce i położyłem dłonie na szorstkim, zimnym oparciu. Przełknąłem ślinę. Mój oddech stał się płytki, serce zaczęło wystukiwać pod żebrami szybki, ostrzegawczy rytm. Aparat przetrwania był w mojej głowie czerwoną, histeryczną syreną, domagając się, bym odwrócił wzrok, zajął się trywialną kłótnią polityczną, przejrzał notowania walut, kupił nową koszulę — czymkolwiek, co bezpieczne, byle tylko utrzymać gałki oczne na poziomie znajomej, pokrytej kurzem podłogi.

Odrzuciłem ten instynkt. Nie próbowałem już na siłę wyrwać krzesła z kotew.

Rozumiałem z lodowatym spokojem, że infrastruktury całego świata nie da się zmienić fizycznie — śruby milczenia zostały zapuszczone zbyt głęboko w nasz węgiel i kod genetyczny. Zamiast tego zignorowałem mebel uwieczony w swojej własnej uległości. Oparłem kolano o siedzisko, podciągnąłem się do góry, przeskoczyłem nad masywnym, drewnianym oparciem i ze skrzyżowanymi nogami usiadłem na blacie stolika. Butami strąciłem na podłogę kryształową popielniczkę, która rozbiła się na dziesiątki ostrych kawałków z suchym, wibrującym trzaskiem.

Kelner na zapleczu wypuścił z rąk wyparzaną filiżankę, ale zamarł w pół kroku, nie mając w sobie dość odwagi, by wyjść na salę i podnieść wzrok.

Siedząc na stole, obróciłem całe swoje ciało w stronę brudnej szyby. I po raz pierwszy od bardzo, bardzo długiego czasu — po prostu na nią spojrzałem.

Czarna, niepojęta linia wibrowała na horyzoncie z mroczną, matematyczną wręcz potęgą. Była ostateczna, skończona i obiektywna. Nie obiecywała mi absolutnie niczego, nie negocjowała kontraktu, nie miała rzes do mrugania i nie posiadała sumienia, z którego musiałaby się rozliczać po zachodzie słońca. Patrzyłem, jak powoli, z każdą kolejną uderzającą o ciemną szybę kroplą deszczu, absorbuje w próżnię ostatnie resztki rozcieńczonego fioletowego światła. I w tej samej milisekundzie, w której moje tętno ostatecznie wyrównało się z jej grobową,

lodowatą obojętnością, poczułem, jak spada ze mnie żelazna obręcz, która miażdżyła mi klatkę piersiową od dekad.

Zrozumiałem w przeblasku ciszy, że być może największa, jedyna dostępna wolność, jaką fizycznie można osiągnąć w tym koślawym, absurdalnym wymiarze, wcale nie polega na kupowaniu biletów w przeciwną stronę i ciągłej ucieczce. Nie polega na ukrywaniu się w zamkniętych, ubezpieczonych na życie pokojach, zagłuszaniu tykających wskazówek zegarów w przedpokoju, ani na histerycznym wydłużaniu każdej płytkiej sekundy.

Największa, obdarta ze złudzeń, autentyczna wolność polega na tym, by wbrew wrzeszczącej architekturze cywilizacji znaleźć w sobie dość złości, by odwrócić się przodem do przepaści. Spojrzeć w tę ostateczną, geometryczną ciemność z szeroko otwartymi, niezasłoniętymi dłońmi oczami. A potem, z pełną i twardą świadomością, że cała ta głośna gra i tak skończy się twardym uderzeniem w ten nieubłagany mur, po prostu i bezczelnie zeskoczyć z blatu, strzepać kurz ze spodni i pójść zamówić sobie następną kawę, która — dokładnie i wyłącznie dlatego, że na pewno będzie kiedyś naszą ostatnią — będzie pachniała jak najczystsze ocalenie.

REPUBLIKA WIDZIALNOŚCI

Powietrze w tym ciasnym, ślepym pokoju na obrzeżach terytorium miało fakturę brudnej, nagrzanej waty. Było gęste, nieprzewietrzone od wielu dób i nasycone kwaśnym, wdzierającym się w nozdrza zapachem organicznego rozkładu. Stałem oparty o chłodną, pokrytą łuszczącą się tapetą ścianę, obserwując chłopaka, który siedział zaledwie dwa metry ode mnie. Nie zwracał na moją fizyczną obecność najmniejszej uwagi, ponieważ w przestrzeni, w której aktualnie operowała jego świadomość, nie miałem własnego adresu. Pokój tonął w gęstym półmroku, rozcinanym wyłącznie przez pojedyncze, agresywne źródło światła — potężny, sterylny pierścień lampy typu ring-light. Emitował on zimny, laboratoryjny blask, który tworzył wokół głowy chłopaka rodzaj syntetycznej, bezlitosnej aureoli i precyzyjnie odbijał się w jego całkowicie suchych, wpatrzonych w martwy punkt oczach. Nie mrugał. Mruganie to strata ostrości, mikrosekunda fizycznej słabości.

Na małym, porysowanym blacie przed nim spoczywał porcelanowy talerzyk, a na nim wpół zeschnięty, obiektywnie smutny kawałek ciasta z taniej cukierni. Chłopak trzymał w smukłych, wyblakłych palcach metalową pęsetę. Z jubilerską, wstrzymującą oddech precyzją, drżąc z napięcia, układał na pękniętym lukrze lśniąca, wykonaną z wysokiej jakości plastiku truskawkę. Układał ją tak, by padające z pierścienia światło wydobyło z polimeru idealną, zroszoną iluzję świeżości. Ułamki milimetrów decydowały o być albo nie być całego kadru. Tuż obok, przy jego nagiej,

opuszczonej na podłogę stopie, stał przepełniony, pęknięty kosz na śmieci. Wyciekał z niego brunatny płyn, a zapach fermentujących resztek gryzł w gardło jak opary amoniaku. On jednak tego nie czuł. Fizyczny wymiar rzeczywistości został w jego układzie nerwowym całkowicie znieczulony i odcięty. Liczył się wyłącznie ten perfekcyjnie oświetlony prostokąt, ta mała, wypreparowana ze smrodu wysepka doskonałości. Kiedy plastikowa truskawka spoczęła pod idealnym kątem, chłopak dotknął ekranu telefonu. Dźwięk cyfrowej migawki, ostry i metaliczny, przeciął duszną ciszę pokoju. Był to jedyny dźwięk w tym miejscu, który z powodzeniem symulował bicie ludzkiego serca.

Przekraczając granice Republiki Widzialności, wędrowiec musi natychmiast wyrzucić klasyczne mapy i porzucić wszelkie ewolucyjne przyzwyczajenia. To państwo nie posiada architektury w tradycyjnym, trójwymiarowym sensie. Nie ma tu rynków, na których ludzie mieszają się w zapachu przypraw i potu, nie ma gwarnych tawern ani cichych bibliotek. Republika jest zbudowana niemal wyłącznie z zimnego światła emitowanego przez miliony szklanych ekranów. Każdy obywatel tego terytorium zmuszony jest prowadzić symultaniczną, schizofreniczną wręcz, podwójną egzystencję.

Pierwsza warstwa to świat fizyczny. To ten ciemny, organiczny backstage, przedpokój istnienia. Stanowią go wyizolowane, zagrożone pokoje, w których na obrotowych fotelach lub zmiętych pościelach tkwią nieruchome, blade ciała. Mają zapadnięte klatki piersiowe, skrzywione odcinki szyjne kręgosłupów i skórę o odcieniu niedoświetlonej piwnicy. Te ciała nie żyją w pełnym znaczeniu tego słowa. Pełnią funkcję zaledwie biologiczną, mechaniczną. Są tanimi w utrzymaniu maszynownikami, płataniną żył i pomp, których jedynym zadaniem jest dostarczanie tlenu i glukozy do mózgu, by ten mógł nieprzerwanie obsługiwać oprogramowanie.

Właściwa warstwa istnienia — to pulsujące, nasycone barwami, jedyne uznawane za obiektywne centrum wszechświata — znajduje się na gładkiej powierzchni szkła.

Tam żyją ich awatary. Byty głośnie, nieskazitelne w swoich proporcjach, bystre w mgnieniu oka, dowcipne na zawołanie i wiecznie, bezlitośnie aktywne.

Najpoważniejszym dramatem tego miejsca, tragedią odbywającą się przy pełnym, stadionowym oświetleniu i radosnym aplauzie tłumów, nie jest jednak samo rozszczepienie tożsamości. Pęknięcia w ludzkiej psychice zdarzały się we wszystkich epokach, od starożytnego Rzymu po rewolucję przemysłową. Prawdziwą zgrozą Republiki jest zjawisko systemowego kanibalizmu doświadczeń. Przebywając na tutejszych ulicach, obserwowałem z lodowatym przerażeniem, jak relacja między

twórcą a jego dziełem, między ciałem a jego cyfrowym odbiciem, ulega stopniowemu, patologicznemu odwróceniu. Obywatele tracą bazową orientację.

Gdzieś w połowie drogi, w gąszczu powiadomień i algorytmów, całkowicie zapominają, która z tych warstw była oryginalną tkanką, a która stanowiła jedynie jej ulotne echo.

To odwrócenie wartości najjaskrawiej widać w stosunku do samego fenomenu przeżywania czasu. W starym świecie doświadczanie przestrzeni posiadało swoją immanentną, zamkniętą w sobie wartość. Wypicie gorącej kawy w mroźny poranek było celem. Złamanie serca było celem. Zapach wilgotnej ziemi po burzy był faktem, który kończył się na granicach twojego układu nerwowego. W Republice Widzialności doświadczenie fizyczne zostało ostatecznie i brutalnie zdegradowane. Ciało i jego codzienne zderzenia ze światem sprowadzono do roli kopalni odkrywkowej. Życie przestało być celem samym w sobie, a stało się darmowym, surowym węglem, z którego wydobywa się materiał, by po szybkiej, chemicznej obróbce wyeksportować go na lśniąca powierzchnię ekranu.

Widziałem to na własne oczy u zbiegu dwóch głównych alej Republiki. Ostre, wczesne popołudnie. Dźwięk pękającej z potężnym trzaskiem blachy, po którym nastąpił przeraźliwy, przeciągły pisk hamujących opon i zapach palonej, tartej o asfalt gumy, przypominający zapach rozgrzanych kabli. Samochód osobowy uderzył w betonowy filar z taką siłą, że przód pojazdu zapadł się w sobie niczym zgnieciona w pięści aluminiowa puszka. Powietrze natychmiast wypełniło się metalicznym zapachem płynów eksploatacyjnych, gryzącym pyłem z wystrzelonych poduszek powietrznych i tępą, wibrującą w trzewiach ciszą, która zawsze następuje w ułamku sekundy po katastrofie. Zobaczyłem w zniekształconym wnętrzu uwięzioną kobietę. Jej czoło opierało się o pękniętą, utkaną w pajęczynę pęknięć szybę, a z łuku brwiowego powoli, kropla po kropli, spływała na tapicerkę gęsta, ciemna krew.

Moim pierwszym, zwierzęcym odruchem był skurcz mięśni łydek, by rzucić się w stronę dymiącego wraku. Szybko jednak zamarłem, oblewając się zimnym potem. Stałem i patrzyłem. Mój kciuk nie tknął klawiszy telefonu, nie wybił żadnego numeru alarmowego. Tę konkretną, niewygodną prawdę nosiłem w sobie jeszcze długo po tym, gdy zrobiłem to, co następnie zaobserwowałem u innych.

Zobaczyłem coś, co ostatecznie obnażyło naturę tego terytorium. Tłum świadków — zgodnie z oklepanym, kulturowym stereotypem — oczywiście wyciągnął telefony. Ale najstraszniejszy wcale nie był obojętny tłum gapiów. Najstraszniejsza była sama ofiara. Kobieta we wraku, uwięziona, w szoku, dławiąca się własną krwią, nie wołała o pomoc. Jej prawa, wolna od zakleszczenia ręka nerwowo, po omacku przeszukiwała

wnętrze torebki na fotelu pasażera. Kiedy w końcu wydobyła stamtąd roztrzaskany telefon, podniosła go w górę, w stronę zakrwawionej twarzy. Jej kciuk z gorączkową, instynktowną zaciętością włączył kamerę. Nie zadzwoniła na pogotowie. Nagrywała siebie, filmując własną krwawiącą ranę i wgniecioną blachę, upewniając się, że twarz jest we właściwym kadrze. Ta kobieta udowodniła najbardziej ponurą prawdę Republiki: we własnym mniemaniu ona nie uległa wypadkowi. Doświadczenie fizycznego bólu i groźby śmierci po prostu nie miało prawa zaistnieć, dopóki nie zostało schwytane przez obiektyw, rzucone na pożarcie publiczności i zweryfikowane w postaci współczujących emotikonów. Jej tragedia stała się surowcem, którego bała się zmarnować pod nieobecność widowni.

Drzewo przewróciło się w lesie i uznało, że by wydać dźwięk, musi samo to nagrać.

Pobyt w tej krainie oduczył mnie szybkiego i aroganckiego rzucania oskarżeń.

Intuicyjnie, z perspektywy starych filozofów i literatów, obrońców ludzkiego ducha, pragniemy przecież natychmiast potępić ten cyfrowy awatar jako pospolite, bezwstydne kłamstwo. Chcemy w nim widzieć zaledwie płytką maskę z pikseli, która ukrywa mroczną, szarą i często bolesną ludzką prawdę. Ale wystarczy usiąść na krawężniku Republiki, zamknąć na chwilę usta i zacząć uważnie analizować ten ekosystem, by do umysłu zaczął pukać wniosek znacznie bardziej niepokojący, wywrotowy i w swej istocie uderzający w samo jądro naszej egzystencji.

Zastanów się głęboko, patrząc obiektywnie na to biologiczne, posklejane z węglowodanów, połamanych kości i kwasów żołądkowych ciało, które w dowodzie osobistym nosi twoje nazwisko. Ile tak naprawdę jest w nim ciebie? Twojej świadomej woli? Narodziłeś się w zupełnie przypadkowym miejscu na mapie politycznej. Wylosowałeś w loterii ewolucyjnej zestaw genów, na który nie miałeś absolutnie najmniejszego wpływu. Otrzymałeś w pakiecie konkretny kształt nosa, skłonność do zakoli na głowie, określoną strukturę chemiczną mózgu podatną na melancholię, nagłe wybuchy złości lub stany lękowe. Fizyczne ciało to w gruncie rzeczy rzucony ci z góry wyrok, ciasny, psujący się i wiecznie niewygodny kombinezon, w którym zmagasz się od dekad z biologią. Z punktu widzenia wolnej woli, to biologia jest fałszem i więzieniem.

A teraz spójrz na awatar. Ten świetlisty, gładki, wirtualny golem jest przecież tworem całkowicie, w stu procentach intencjonalnym. Każdy, absolutnie każdy detal jego istnienia to wynik twojej bezwzględnej, autorskiej i suwerennej decyzji. Awatar nie dziedziczy genów, on jest rzeźbiony na żywo. Obywatel Republiki z chirurgiczną precyzją wycina w nim jedne cechy, a radykalnie podbija inne. W tym

gargantuicznym procesie wyłania się wniosek, przed którym bronimy się rękami i nogami: czy aby na pewno ten cyfrowy twór jest oszustwem? Czy prezentując światu tę rzekomo fałszywą, wyidealizowaną wersję, nie obnażasz w rzeczywistości najprawdziwszej mapy swojego układu nerwowego?

Może to twoje brudne i wiecznie zmęczone ciało jest zaledwie brudnopisem. Może awatar, w którym zamykasz i formatujesz swoje lęki, swoje deficyty miłości, swój przeraźliwy głód zachwyty — jest najczystszy wyrażeniem siebie? On powstał w całości z twojej świadomości. To twoje wibrujące pod skórą kompleksy ulepiły te zdjęcia. Awatar krzyczy głośniejsze struny głosowe: „taki właśnie rozpaczliwie pragnę być, za to mnie pokochajcie”. Przewrotną prawdą jest to, że nienawidzimy awatarów u obcych ludzi nie dlatego, że są kłamstwem. Nienawidzimy ich, ponieważ w swojej nieznośnej jaskrawości i sztuczności bezlitośnie obnażają głęboką, wstydliwą kondycję nas samych — ukrytą, skomlącą pod drzwiami potrzebę bycia idealnym bogiem w oczach obcego tłumu. Z tego punktu widzenia piksel na ekranie nosi w sobie więcej ludzkiej duszy niż kawałek przypadkowego białka w prawym przedramieniu.

Jednak za tę próbę ucieczki od biologicznej ułomności w stronę cyfrowego stwórcy płaci się w Republice walutą najwyższą. Kulturę tego terytorium napędza od spodu jeden potężny fundament: zwierzęcy, paraliżujący strach przed wyparowaniem w nicość. Obywatele wierzą, że poprzez nieustanne eksponowanie siebie pieczętują prawo do istnienia. Z tego przekonania rodzi się Paradoks Zanikania, prawo fizyki kwantowej tego państwa, które działa z bezwzględnością prasy hydraulicznej: im więcej gęstości siebie rozdajesz światu, w tym bardziej pustą rurę się przemieniasz.

Zrozumiałem to, obserwując przez szybę młodą dziewczynę w jednej z bocznych alei. Było koło południa. Siedziała przy stoliku restauracyjnym naprzeciwko mężczyzny, wibrując z ekscytacji, opowiadając mu o najdrobniejszych szczegółach swojego dnia. Mówiła o lęku, pasjach, potknięciach. Problem w tym, że w ogóle na niego nie patrzyła. Mówiła wyłącznie do ustawionego na statywie przed nią, pionowego telefonu. Rozdawała w obiektyw — do setek tysięcy niewidzialnych świadków — całą prywatną strukturę własnych myśli i intymności. Z każdym wyartykułowanym zdaniem, fizycznie i dosłownie kurczyła się na krześle.

Stawała się coraz lżejsza. Mężczyzna siedzący obok pił w milczeniu zimną kawę, wiedząc, że dla niego nie ma tu ani jednego wolnego atomu jej obecności.

Rozdzielając własną, z natury kruchą tożsamość na tysiące wyrwanych z kontekstu relacji i publicznych wyznań z każdego przeżutego uczucia, obywatel staje

się z czasem własnością publiczną komunalną. Jeśli milion obcych oczu weźmie sobie część twojego bólu, fragment uśmiechu z twojej kanapy i róg twojego intymnego milczenia, to w końcu tracisz swoje gęste, ciemne, nieprzeniknione centrum.

Tracisz tę milczącą, świętą przestrzeń we wnętrzu głowy, do której nikt nie ma wstępu i w której dawniej człowiek składował samego siebie. Wyprzedając się doszczętnie z każdej formy tajemnicy, stajesz się jedynie zbiorem rozproszonych na łączach punktów bez masy własnej. Powstaje holograficzna skorupa — perfekcyjnie doświetlona na zewnątrz, ale pusta i rżęząca wiatrem od środka.

Wielkie, bolesne pytania wiszą w tym niebieskim, jarzeniowym powietrzu Republiki jak drobinki toksycznego smogu. Nie sposób się od nich opędzić.

Kiedy cała ta misterna budowla naszego „ja” zostaje w całości przeniesiona z bezpiecznego schronienia kości i czaszki w domenę cyfrową i do dyspozycji obcego wzroku — co w zasadzie powstrzymuje nas od całkowitego, ontologicznego zniknięcia w ułamku sekundy, w którym bezlitosna bateria spada z 1% do zera?

Czy ta obłędna potrzeba transparentności rzeczywiście chroni nas od samotności w wielkim kosmosie? A może jest to zaledwie bardziej dopracowana, samobójcza ucieczka we wrzeszczącą izolację — ukrytą za plastikiem iluzję plemienia, w której nikt nie ma zielonego pojęcia, do kogo należy wirtualny odlew po przeciwnej stronie ekranu.

Wynoszę z Republiki te pytania na zewnątrz, gdzie czeka mnie nieodwracalne zderzenie z tym, co fizyczne — z żelazną twardością przedmiotów, które nie podlegają edycji. Zegar rżęzi bezceremonialnie, cienie uderzają w posadzkę, a biała ściana naprzeciwko patrzy z beznamiętnym dystansem. Na stoliku leży odwrócony czarnym, matowym ekranem do dołu telefon komórkowy. Bateria w nim jest całkowicie wyładowana, co w Republice zostałoby uznane za ekwiwalent zatrzymania krążenia. A jednak — wpatruję się w to małe cmentarzysko technologii i czuję, jak powietrze o trzeciej rano wypełnia moje osłabione, biologiczne płuca — i dociera do mnie z cichą ulgą, że brak połączenia ze światem nie jest wyrokiem zniknięcia. Wręcz przeciwnie: to wreszcie jest moment, w którym przestają błyszczeć w cudzych oczach, a zaczynam na nowo, z trudnością oddychać we własnym ciele.

PLATEAU SZCZĘŚLIWYCH KOŃCÓW

Dźwięk był przeraźliwie wręcz perfekcyjny. Ciężki, rżnięty ołów z domieszką szkła, z którego uformowano mój kieliszek, zetknął się z idealnie wypolerowaną, gładką taflą marmurowego blatu w nienagannie oświetlonym salonie. Nie było w tym dźwięku żadnego zgrzytu, żadnego wahania, żadnego błędu w kącie nachylenia dłoni. Zwykle, głucho, drogie stuknięcie, które w każdym innym miejscu na Ziemi zwiastowałoby ostateczny triumf i zasłużony relaks. A jednak, gdy tylko cofnąłem palce od zimnego kryształu, poczułem, jak po moim kręgosłupie spływa absolutnie lodowata, pierwotna struga najczystszej przerażenia.

Powietrze w tym przestronnym, pachnącym naturalnym drzewem sandałowym i kosztowną, usypiającą neutralnością pomieszczeniu było tak precyzyjnie, z nieludzką wręcz dokładnością dostrojone do temperatury mojej własnej skóry, że w ułamku sekundy całkowicie straciłem czucie fizycznych granic własnego ciała. Moje przedramię, opierające się o krawędź wyspy kuchennej, przestało wysyłać do układu nerwowego sygnały o tym, gdzie kończy się moja tkanka, a gdzie zaczyna się otoczenie. Zlałem się z tym sterylnym, luksusowym eterem w jedną, pozbawioną krawędzi masę. Wziąłem kolejny łyk wina — rocznika, na który w tamtym głośnym, brudnym świecie na dole musiałbym pracować przez miesiąc, odmawiając sobie snu i godności. Przetoczyłem ciemnoczerwony płyn po języku. Zamiast obiecanej symfonii garbników, cierpkości i dębowych nut, poczułem w ustach obezwładniający, mdły

smak ciepłej śliny wymieszanej z kurzem. Bez uprzedniego kontrastu skrajnego zmęczenia, bez chłodu w kościach, bez dławiącego pragnienia wywołanego wielodniową wędrówką, ten doskonały, legendarny trunek był w istocie gorszy od kałuży zatrutej deszczówki. Był ontologicznym zerem. Czystą wodą destylowaną przepuszczoną przez drogie filtry z iluzji.

Wtedy ostatecznie zrozumiałem, gdzie fizycznie stoję i jak potworną, perfidną pułapką architektoniczną jest to miejsce. Znalazłem się na Plateau Szczęśliwych Końców.

To terytorium jest ostateczną obietnicą naszej cywilizacji, monumentalnym kłamstwem sprzedawanym każdemu z nas w nienagannym opakowaniu od poziomu noworodkowej kołyski. To tutaj w prostej linii prowadzą wszystkie baśnie, które urywają się w oklepanym, leniwym zdaniu „i żyli długo i szczęśliwie”, zostawiając naiwnego czytelnika z twardym przeświadczeniem, że to, co następuje po tym zdaniu, jest radosnym, skąpanym w wiecznym słońcu bezkresem spokoju. Plateau to miejsce docelowe każdego trenera rozwoju osobistego, każdego algorytmu dobierającego idealne ubezpieczenie na życie, każdej wieloletniej terapii i każdego morderczego, nadgodzinnego maratonu w szklanych wieżowcach korporacji. Wejście na ten płaskowyż jest szeroko otwarte, jaskrawo, medycznie oświetlone i precyzyjnie obwarowane drogowskazami z obietnicą braku jakiegokolwiek cierpienia.

Krajobraz Plateau jest do wyrzygania łagodny. Kiedy wyszedłem na zewnątrz, uderzyła mnie przerażająca, symetryczna krzywizna wszystkiego, co znajdowało się w zasięgu wzroku. Z bezwzględną premedytacją, na etapie jakiegoś obłądnego, utopijnego planowania urbanistycznego, wyeliminowano stąd absolutnie każdą ostrą krawędź. Krawężniki płynnie przechodziły w trawniki o rygorystycznie kontrolowanej wysokości źdźbeł, klamki w mahoniowych drzwiach były miękkie i obłe, a horyzont układał się w senną, pastelową falę. Nie było tu ryzyka. Nie było gwałtownych podmuchów wiatru, które zmuszałyby mnie do mrużenia powiek i podnoszenia kołnierza płaszcza. Nie istniało tu żadne fizyczne tarcie, które mogłoby zedrzeć naskórek i przypomnieć o tym, że materia stawia opór.

Szybko jednak zauważyłem pewną biologiczną anomalię. Coś było fundamentalnie, organicznie zepsute w samej strukturze tutejszego czasu. Powietrze gęstniało z każdą minutą. Płytkie sekundy, całkowicie pozbawione jakiegokolwiek ciężaru oczekiwania czy pośpiechu, robiły się nagle lepkie jak rozlany na podłodze syrop. Z każdym kolejnym dniem mojego pobytu zwalniały niemiłosiernie. Krok po kroku, uderzenie serca po uderzeniu serca, czas w tym miejscu stawał w miejscu całkowicie. Zrozumiałem dlaczego: w przestrzeni, w której niczego już nie brakuje, w

której nie ma żadnego deficytu, do którego można by aspirować — czas fizycznie traci swoje punkty odniesienia. Zastyga w żywicy spełnienia. Czułem, jak powoli zmieniam się w doskonale zakonserwowanego insekta, uwięzionego w złocistym, sterylnym bursztynie, z którego nie ma ucieczki.

Aby zgłębić tę martwość, przyjąłem zaproszenie na kolację do jednego z okolicznych domów. Mój gospodarz był obywatelem Plateau w stopniu absolutnym. Mężczyzna w wieku niemożliwym do określenia, z twarzą całkowicie i bezpowrotnie wygładzoną przez dekady braku stresu i lęku o przetrwanie. Zaprosił mnie do swojej kuchni — olśniewającej, wyłożonej lśniącem kwarcem świątyni kulinarnych technologii. Stałem oparty o blat, obserwując, jak przygotowuje posiłek. Na ciężkiej, drewnianej desce leżał kawałek ciemnego, obłędnie drogiego mięsa. Gospodarz ujął w dłoń potężny, lśniący nóż ze stali damasceńskiej. Zaczął kroić, opowiadając mi przy tym monotonnie o tym, jak wspaniale ułożył swój portfel inwestycyjny i jak idealnie przewidywalne jest zdrowie jego dzieci.

W pewnym momencie jego głos zadrżał. Zaciął się w połowie zdania. Spojrzałem na jego dłonie. Nóż wymsknął się z perfekcyjnie wyprofilowanej rękojeści i z całą siłą, napędzaną masą jego ciała, uderzył ostrzem prosto w jego lewy palec wskazujący. Czekałem na krzyk, czekałem na nagły trysk szkarłatnej krwi, na odruch paniki, który natychmiast połączyłby nas w ludzkim dramacie. Nic takiego się nie wydarzyło.

W ułamku sekundy mikrosensory wbudowane w inteligentną stal rozpoznały strukturę ludzkiego naskórka. Ostrze uległo błyskawicznej, mechanicznej tępotcie. Nóż ześlizgnął się po palcu, zostawiając na skórze jedynie płytkie, białe, bezkrwawe wgniecenie, które po chwili zniknęło, nie pozostawiając najmniejszego śladu.

Gospodarz zamarł. Wypuścił nóż z dłoni; narzędzie upadło na podłogę z cichym, amortyzowanym brzękiem. Mężczyzna opadł na kolana tuż obok niego. Jego idealna, pozbawiona porów twarz wykrzywiła się w grymasie tak głębokiego i rozdzierającego udręczenia, że na moment odwróciłem wzrok. Podniósł nóż z powrotem. Zaczął gorączkowo, z obłędem w oczach, niemal zwierzęco piłować własną dłoń. Uderzał ostrzem raz za razem w nadgarstek, w przedramię, w kolano, z cichym, zduszonym skowytym uwięzionym w gardle. System bezpieczeństwa Plateau pozostawał jednak nieugięty, neutralizując każde uderzenie, każdy akt agresji, zmieniając twardą stal w bezużyteczny, bezpieczny plastik. Gospodarz uderzył w końcu pięścią w podłogę, a po jego policzkach popłynęły absolutnie suche łzy. Spojrzał na mnie, wciąż klęcząc w tej obłędnie czystej, lśniącej kuchni.

— Nie mogę nawet zacząć krwawić — szepnął, a w jego głosie usłyszałem całą zgniliznę tego terytorium. — Od dekady nic mnie nie zraniło. Zapomniałem, czy w środku w ogóle mam jeszcze jakieś wnętrzości, czy tylko sterylne kable.

To w tej właśnie kuchni zderzyłem się z potężnym, wywrotowym i heretyckim pytaniem, którego żaden z tutejszych mieszkańców nie miał odwagi wyartykułować na głos przed urzędnikami: czy szczęście, definiowane społecznie jako permanentny stan docelowy, jako pozbawiona jakichkolwiek braków oaza, jest w ogóle ludzką, biologiczną kategorią?

Zimna neurochemia i ewolucyjna mechanika ludzkiego ciała brutalnie, z siłą uderzenia obuchem w tył głowy, obnażają to wielkie, kulturowe kłamstwo. Człowiek nigdy, w żadnym punkcie swojego wielomilionowego formowania się z błota i strachu, nie został zaprojektowany jako bierne naczynie do posiadania. Jesteśmy wysoce zoptymalizowanymi maszynami przeznaczonymi wyłącznie do dążenia. Jesteśmy drapieżnikami sensu, wygłodniałymi myśliwymi ścigającymi deficyt. Archaiczny, rzeźnicki kompas ukryty pod czaszką nigdy nie nagradza nas za to, że ostatecznie zdobyliśmy i posiadamy cel. On nagradza nas wyłącznie za to, że cel wciąż majaczy na horyzoncie, że musimy napiąć łydki, zaryzykować bolesny upadek, poczuć zapach własnego potu i z zimną krwią skalkulować ewentualną stratę. Cała nasza chemia to waluta drogi. Nie jest i nigdy nie była walutą mety.

Osiągnięcie absolutnie wszystkiego, czego się pragnęło, domknięcie każdego braku w swojej egzystencjalnej układance, obnaża na Plateau swój prawdziwy, cmentarny kształt. Spełnienie na tym poziomie nie jest radosnym triumfem pod rześzystymi światłami reflektorów. Spełnienie to wyrafinowany rodzaj śmierci za życia. To całkowite zaprzestanie fizycznego i duchowego ruchu. A w bezlitosnych, lodowatych prawach termodynamiki zaprzestanie ruchu zawsze i bezwzględnie oznacza początek organicznego rozkładu.

Z tego martwego punktu rodzi się najbardziej toksyczny i dławiący z tutejszych paradoksów. Widziałem to każdego wieczoru. Kiedy nad Plateau zapadał sztuczny, bezcieniowy, litościwy zmrok, z twarzy mieszkańców błyskawicznie znikwały uśmiechy. Tubylcy, uwięzieni we własnym sukcesie, stawali przy swoich wielkich, panoramicznych oknach i tępo, z głębokim, nienasyconym głodem patrzyli w dół. Wpatrywali się w oddalone, spowite czarnym smogiem przedmieścia niższych krain. Patrzyli w stronę rozedrganego, brudnego chaosu, w którym wciąż zdarzały się wypadki, w którym serce wciąż potrafiło z przerażenia podskoczyć do krtani, a każdy wtorkowy poranek niósł ze sobą realne ryzyko bankructwa, zdrady lub odrzucenia.

Podskórnice, w trzewiach, każdy z nich wiedział to samo co gospodarz z tępych nożem. Permanentne szczęście to błąd w oprogramowaniu. Krótki, głośny strzał neuroprzekazników, który fizycznie nie ma najmniejszego prawa przetrwać ułamka sekundy po zdobyciu nagrody. A jednak z morderczym, wykrzywiającym usta wysiłkiem grali w tym mdłym teatrze wieczności, udając przed równie zepsutymi sąsiadami, że ten bezwietrzny stan to autentyczne spełnienie.

Z tej rzekomej perfekcji rodziło się pełzające po ciele, niszczące od środka poczucie winy. Bo skoro stałeś na samym szczycie góry, nie miałeś już kredytu, żadnej usterki do naprawienia, żadnego wroga do pokonania, a w twoim gardle wciąż beczelnie rosła czarna, stara pustka — system operacyjny Plateau gładko orzekał, że jesteś po prostu radykalnie niewdzięczny. Nie wolno odczuwać rozpaczki komuś, kto posiada absolutnie wszystko. To zakłóca symetrię podwórka.

Odkryłem tam zjawisko ukryte głęboko przed okiem kamer, strefę zrzutu, o której oficjalne broszury turystyczne milczały jak grób. Instynkt po incydencie z nożem zaprowadził mnie na peryferie, gdzie perfekcyjne żywopłoty ukrywały żeliwny właz w ziemi. Zszedłem po stromych, wilgotnych, betonowych schodach. Powietrze uderzyło mnie w twarz twardym, autentycznym zapachem zbutwiałego betonu, ludzkiego potu, kwaśnego lęku i grzyba na ścianach. Oddychałem tym z absolutną ulgą.

Znalazłem się na podziemnym czarnym rynku. Ale nie był to bazar złodziei czy dilerów narkotykowych. To była giełda, na której luksusowi uchodźcy z góry handlowali brutalnym, organicznym deficytem.

Stałem w cieniu brudnego filaru i patrzyłem na drobną, ubraną w kaszmirowy płaszcz kobietę o siwych włosach. Podała zwitek grubej gotówki zakapturzonemu strażnikowi, by wejść do ciasnej komórki wyłożonej szorstkim papierem ściernym. Widziałem przez uchylone drzwi, po co przyszła. Weszła w absolutną ciemność i z impetem, z pełną premedytacją uderzyła gołą stopą o ukrytą w mroku, zardzewiałą, stalową rurę wyrastającą z posadzki. Usłyszałem mokry trzask pękającego paznokcia. Kobieta zwinęła się na ziemi, łapiąc się za stopę, i zaczęła histerycznie, z najprawdziwszą ulgą wyć z bólu. Ten nagły, palący nerwy ból był dla niej twardym, obiektywnym dowodem na istnienie jej ciała, którego na powierzchni od lat już nie czuła.

Kawałek dalej, pod migoczącą, żółtą świetlówką, widziałem mężczyznę płaczącego ze szczęścia po tym, jak handlarz za grube pieniądze wstrzyknął mu w ramię mętną, gorącą substancję. Sprzedawano tam czysty, niezmutowany wirus ostrej grypy. Ten prezes gigantycznej korporacji, którego zdrowie było monitorowane

przez satelity i algorytmy zapobiegające katarowi, kupił sobie prawo do tego, by przez najbliższy tydzień leżeć w przepoconej pościeli, w gorączkowych dreszczach i bólach mięśni, i by poczuć fizycznie, że jego system immunologiczny w ogóle podejmuje walkę.

Wreszcie — widziałem młodego chłopaka, który kupował od fałszerzy spreparowane dokumenty o nieuchronnej, finansowej katastrofie. Wynajmował oprychów, by włamali się na jego konta, wyzerowali mu oszczędności, zniszczyli reputację i wyrzucili go na wycieraczkę. Pragnął, by ktokolwiek, w losowym, niezapowiedzianym momencie, odebrał mu bezpieczeństwo. Potrzebował zasnąć w strachu, by rano obudzenie się nabrało jakiegokolwiek ciężaru gatunkowego.

Na tym mrocznym, wilgotnym rynku tarcia i błędy kosztowały więcej niż platyna, ponieważ to właśnie przeszkoda i konflikt są rdzennym paliwem napędowym ludzkiego ducha. Pozbawiony zmagania umysł natychmiast zapada się w siebie. Z braku realnego wroga na zewnątrz, nasycony i chroniony w każdym aspekcie człowiek zaczyna z prawdziwym oblędem w spojrzeniu zjadać samego siebie, kreując urojone demony i paranoje na tle idealnie ułożonych sztuców w jadalni. Człowiek pozbawiony prawdziwych problemów z dziką przyjemnością wygeneruje sobie własne, tylko po to, by ocalić poczucie bycia potrzebnym.

Opuściłem podziemia, wracając na te bezgłośnie, skąpane w sztucznym różu ulice. Szedłem w stronę obrzeży, a mój umysł odrzucał gwałtownie każdą popkulturową doktrynę, z którą tu przybyłem. Z każdym gładkim krokiem na tym absurdalnie miękkim chodniku tutejszy brak braku wysysał ze mnie resztki żywotności.

Zrozumiałem, opierając się o ostatnią latarnię w tym mieście, że ludzka biografia nie jest i nie może być epiką z klasycznie zarysowanym, satysfakcjonującym finałem. Nasze życie domaga się napięcia liny. Żeby cokolwiek w naszych oczach zachowało duszę i gęstość, musi istnieć dławiąca, pęknięta luka między tym, kim fizycznie jesteśmy teraz, a tym, do czego nocą tęsknimy. Ta luka to otwarte okno, przez które wpada do naszej klatki piersiowej jakiejkolwiek powietrze.

Kiedy całkowicie domykasz tę szczelinę, kiedy docierasz na płaskowyż — dławisz się. Stajesz się głębinowym nurkiem, któremu nagle, w akcie litości, odcięto dopływ azotu i wtłoczono do skafandra czysty, medyczny tlen. Zamiast głęboko oddychać, ulegasz euforycznemu zatruciu, płuca płoną, a ty umierasz z radosnym, plastikowym uśmiechem na ustach.

Szybkim krokiem dotarłem na sam skraj terytorium. Linia brzegowa Plateau była jedynym miejscem, gdzie ten zbrodniczo perfekcyjny trawnik urywał się nagle, ustępując miejsca twardej, poszarpanej i surowej skale. Pode mną, tysiące metrów

niżej, kotłowały się brudne chmury reszty świata. Szorstki, zacinający wiatr z dołu uderzył mnie w policzek. Pachniał tanimi spalinami, ludzkim strachem, złością i psującym się jedzeniem. Pachniał jak najprawdziwsze, ułomne życie.

Stałem nad przepaścią, wbijając wzrok w ciemność w dole. Jeśli pozostanie na tym wypolerowanym płaskowyzu, w cieplarnianych warunkach całkowitego spełnienia, wymagało ode mnie dobrowolnej lobotomii własnego ducha, jeśli musiałem odciąć główny układ napędowy i udawać radosnego manekina w sterylnej witrynie — to stanowczo i ostatecznie odmówiłem. Wyidealizowany raj przy bliższym spojrzeniu okazał się najdroższą, najbardziej wyrafinowaną i najlepiej strzeżoną poczekalnią przed prosektorium. Grała tu cicho wiedeńska muzyka, a wszyscy wokół uprzejmie udawali, że nie czują smrodu gnijących pod kaszmirowymi swetrami własnych ambicji.

Wziąłem głęboki, urywany wdech, aż kłuło mnie w żebrach. Odwróciłem się do symetrycznych ulic tyłem i bez cienia żalu, bez jednego zawahnięcia, zrobiłem twardy krok w dół. Skoczyłem z powrotem w mroczny, rozedrgany chaos, z powrotem w objęcia okrutnego, biologicznego braku, który — jak się boleśnie przekonałem — jest ostatecznie moim jedynym, zardzewiałym gwarantem tego, że serce pod żebrami będzie w ogóle miało powód, by uderzyć ponownie.

STALOWE MIASTO

Lądowanie było brutalne. Kiedy gruz pod stopami zastąpił miękką trawę Plateau, upadłem na kolana i przez chwilę leżałem nieruchomo, z ustami pełnymi kamiennego pyłu. Kiedy wstałem i otrzepałem spodnie, byłem już gdzie indziej.

Stalowe Miasto przywitało mnie grawitacją. Wkroczyłem przez bramę i natychmiast poczułem pod butami kąt nachylenia — miasto nie posiadało ani jednej płaskiej ulicy. Kulilem się pod ciężarem tej architektonicznej tyranii przez całe kilka minut, zanim mój wzrok w ogóle zdołał się zaadaptować do jednorodnej szarości kamienia i stali. Kiedy w końcu wyprostowałem kręgosłup, dostrzegłem na chodniku przede mną mężczyznę próbującego niezdarnie kucnąć i usłyszałem — wibrujący w korzeniach zębów, przeciągły pisk nienaoliwionych, rdzewiejących zawiasów, wydobywający się z wnętrza jego potężnego pancerza. Upuścił ciężką, stalową rękawicę. Zmagając się z grawitacją i własnym usztywnionym ciałem, sapał ciężko, a w powietrzu wokół niego natychmiast zawisł gryzący, gęsty zapach opiłków żelaza, zaschniętego, zimnego potu i taniej, podłej wódki. Ta specyficzna, chemiczna mieszanka od pokoleń służyła tu wyłącznie jednemu celowi — maskowaniu przerażającej, grobowej ciszy między nim a stojącym obok małym chłopcem, jego synem. Kiedy mężczyzna w końcu chwycił rękawicę, usłyszałem głuchy, metaliczny zgrzyt stawów.

Topografia tego miejsca to architektoniczny manifest bezwzględności. Wkroczenie do miasta oznaczało natychmiastowe, brutalne odcięcie od jakiejkolwiek organiki. Nie było tu ani jednego skrawka obnażonej ziemi, ani jednego drzewa zrzucającego miękkie liście, ani nawet kępy mchu przebijającej się przez pęknięcia. Stalowe Miasto zostało w całości, z obsesyjną rygorystycznością, odlane z betonu i wykute z matowego żelaza. Jediną dozwoloną formą architektoniczną były tu strzeliste, zębate wieże i potężne, nieprzeniknione mury bez okien na parterze. Co najgorsze — i to stanowiło najczystszy fizyczny wyraz tutejszej filozofii — wszystkie, absolutnie wszystkie ulice prowadziły pod górę. Cała przestrzeń została zaprojektowana tak, by wymuszać nieustanny, wyczerpujący wysiłek. Samo przemieszczanie się było walką z grawitacją, bo w kulturze tego terytorium brak oporu utożsamiano z hańbą.

Mieszkańcy tego surowego dystopijnego poligonu — mężczyźni w każdym wieku, od wczesnej młodości po zaawansowaną starość — poruszali się po tych pochyłych ulicach zamknięci w ciężkich, płytowych zbrojach. Ich pancerze nie były jednak seryjnym produktem fabrycznym, rozdawanym przez system przy bramie. Każda zbroja była unikalna, nosiła ślady amatorskiego kucia, nierównych spawów i wgnieceń.

Zrozumiałem dlaczego, gdy na jednym z betonowych placów przypominających dziedziniec więzienny zaobserwowałem makabryczny, rytualny proces ich powstawania. Widziałem małych, kilkuletnich chłopców o miękkiej, delikatnej skórze, którym ojcowie w milczeniu wręczali ciężkie kowalskie młoty. Ci chłopcy, z szeroko otwartymi, ufnyimi oczami, byli zmuszani do wykuwania własnych pancerzy, zanim jeszcze w ogóle zrozumieli, czym jest świat i przed jakimi ciosami ta stal ma ich rzekomo chronić. Uczono ich naginać rozgrzany metal, formować napierśniki i zakuwać nity z taką samą oczywistością, z jaką w innych krainach uczy się dzieci wiązać sznurówki. Wmawiano im, że to jedyny sposób na przetrwanie. Że świat to wielkie, mordercze kowadło, a biologia wyposażyła ich w ciało zbyt miękkie, by mogło znieść uderzenia.

Nikt w Stalowym Mieście nie pamiętał już, który zapomniany bóg, król czy dyktator wydał przed wiekami pierwszy rozkaz zamykania się w tych klatkach. Prawo to oderwało się od swojego twórcy i stało się obiektywnym prawem fizyki. Każdy bez wyjątku wiedział jednak z absolutną, paraliżującą pewnością, że publiczne zdjęcie choćby jednego elementu pancerza — obnażenie szyi, ramienia czy klatki piersiowej — to wyrok. To ostateczna egzekucja społeczna, natychmiastowe wykluczenie z plemienia i naznaczenie piętnem słabości, gorszym niż trąd.

Obserwując mijające mnie zakute w stal sylwetki, z których wiele poruszało się z asymetrycznym, bolesnym chodem, zrozumiałem, że jestem świadkiem jednego z najbardziej przemilczanych okrucieństw ludzkiej cywilizacji. Uderzało tu coś głęboko nieoczywistego. Nie widziałem zbrodni wyrządzanych przez tutejszych mężczyzn komukolwiek na zewnątrz — ta historia została już opowiedziana tysiące razy na każdym kontynencie. Widziałem coś znacznie mroczniejszego w swojej kameralności: widziałem systemową, tytaniczną krzywdę wyrządzaną mężczyznom przez samą kulturę męskości. Byli jednocześnie strażnikami i więźniami we własnych, noszonych na plecach zakładach karnych.

Zbroja, która w naiwnym założeniu miała ich chronić przed zranieniem, przed zdradą i przed upokorzeniem ze strony świata, z czasem stała się ich pierwszą, najgłębszą i wiecznie ropiejącą raną. Stal, noszona latami bezpośrednio na gołej skórze, zrastała się z tkanką. Ograniczała pojemność płuc, miażdżyła obojczyki i wymuszała nienaturalną postawę, która z czasem deformowała cały kręgosłup. Ci ludzie dławili się w środku, pozbawieni jakiejkolwiek wentylacji dla swoich lęków i żalów.

Znalazłem się w jednej z tutejszych pijalni, usytuowanej w ciemnej, betonowej wnęce wbudowanej w zbocze stromej ulicy. Wnętrze rozświetlało jedynie rżące, zimne światło jarzeniówek. Było tam tłoczno, ale panowała przerażająca cisza, przerywana jedynie brzękiem szkła uderzającego o stalowe rękawice i ciężkimi oddechami. Mężczyźni pili tu alkohol nie dla zabawy, nie w poszukiwaniu dionizyjskiej ekstazy, w której rozwiązują się języki i rodzą przyjaźnie. Ich picie miało charakter czysto techniczny, przemysłowy. Wlewali w siebie rzeki ostrego, taniego spirytusu, traktując go jako chemiczny rozpuszczalnik. Łudzili się, że alkohol zadziała jak smar, że wyżre choć odrobinę rdzy zalegającej na zawiasach ich pancerzy, wokół krtani i na wysokości serca, pozwalając im wykonać chociaż jeden swobodniejszy wdech. Ale wódka jedynie potęgowała korozję.

Siedziałem w kącie, wpatrując się w plecy gigantycznego, barczystego mężczyzny, który od godziny metodycznie opróżniał kolejne kieliszki, ani razu nie odwracając głowy. Zastanawiałem się nad twardymi, bezlitosnymi statystykami, o których wszyscy tutaj szeptali, ale nikt nie miał odwagi wpisać ich do oficjalnych kronik. Mężczyźni w Stalowym Mieście umierali drastycznie wcześniej niż kobiety z sąsiednich prowincji. Ich serca, zamknięte w zbyt ciasnych, żelaznych klatkach piersiowych, poddawały się z wycieńczenia. Pili więcej, tracąc wzrok i wątroby. I co najbardziej wstrząsające — zabijali się bez porównania częściej, bezszelestnie wieszając się w swoich ciemnych, betonowych piwnicach. A mimo to, z obrzydliwą,

zaciętą dumą, wciąż nazywani byli przez świat na zewnątrz i przez samych siebie „silniejszą płcią”.

Patrząc na nich, zgromadzonych w tym betonowym grobowcu udającym bar, stawiałem sobie fundamentalne pytanie, na którym opiera się cały mit zachodniej cywilizacji: czy mężczyzna, którego od siódmego roku życia uczono nie płakać, którego zmuszono do chirurgicznego wycięcia ze swojego słownika słów takich jak „boję się”, „nie wiem” czy „potrzebuję pomocy” — czy ten mężczyzna naprawdę kontroluje swój ból? Intuicja podpowiadała mi coś dokładnie odwrotnego. To nie on kontrolował ból. To ból, zepchnięty w najciemniejsze zakamarki nieświadomości, zamieniony w bezimienne widmo, całkowicie kontrolował jego. Ból panował nad nim poprzez swoją wymuszoną nieobecność. Kontrolował to, jak ten człowiek sztywno stawia kroki, jak nerwowo zaciska szczęki przez sen krusząc szkliwo zębów, jak patologicznie boi się bliskości, widząc w niej zagrożenie rozszczelnienia swojego pancerza. Niewyrażone cierpienie nie paruje. Ono zamienia się w cynizm, w agresję drogową, w chorobę wieńcową i w nagłe wybuchy zwierzęcej wściekłości, gdy ktoś niechcący potrąci go na chodniku. Absolutna niewrażliwość nie jest dowodem potęgi. Jest jedynie powolnym, rozciągniętym na dekady samobójstwem.

Najbardziej rozdzierający i kameralny w swoim okrucieństwie spektakl tego wyparcia rozegrał się na moich oczach nieco później, gdy wyszedłem z pijalni i stanąłem na żeliwnym moście spinającym dwa betonowe brzegi wykopu. Słońce powoli zachodziło, rzucając długie, rdzawe cienie. Na środku mostu stał mężczyzna z chłopcem — tym samym, którego widziałem na początku z upuszczoną rękawicą. Prawdopodobnie właśnie się żegnali. Syn, może dziesięcioletni, miał na sobie dopiero co przekuty, zbyt duży, lśniący nowością napierśnik. Jego mała twarz, ukryta pod ciężkim hełmem, wydawała się zagubiona i zmarznięta.

Ojciec stał naprzeciwko niego. Pomiedzy nimi wibrowało coś gęstego, potężnego, coś, co domagało się natychmiastowego ujścia. Widziałem po mikro-skurczach mięśni szyi ojca, po drobnym drzeniu jego palców, że walczy. Ten dorosły, potężny chłop w zardzewiałej zbroi chciał zrobić rzecz absolutnie fundamentalną, zapisaną w kodzie genetycznym każdego ssaka — chciał przytulić swojego syna. Chciał objąć go mocno, by zapach potu i szamponu z jego włosów wypełnił mu płuca, chciał położyć mu dłoń na potylicy i powiedzieć to jedno, proste, trywialne zdanie, które ustawiłoby pion w życiu tego małego człowieka: „Kocham cię i zawsze możesz do mnie wrócić”.

Ojciec drgnął i uniósł ramię. Ale wtedy wydarzyło się to, co w Stalowym Mieście wydarza się zawsze. Jego gigantyczny, wykuty z grubej blachy naramiennik z głośnym, tępym trzaskiem zablokował się o napierśnik. Fizyka pancerza brutalnie

uniemożliwiła mu zamknięcie ramion w krąg. Kąt wychylenia stawów został z góry, architektonicznie ograniczony, by uniemożliwić gesty otwartości i obnażenia torsu. Stalowa rękawica ojca, gruba i pozbawiona jakiegokolwiek czucia, zawisała w powietrzu, zaledwie kilka centymetrów od policzka chłopca. Mężczyzna nie mógł go dotknąć, bo gdyby to zrobił, lodowaty, chropowaty metal jedynie podrapałby delikatną skórę dziecka.

Ojciec zawahał się. Jego oczy, widoczne przez wąską szczelinę wizjera, przez ułamek sekundy lśniły paniką. Ale zbroja zdążyła już wrosnąć w jego struny głosowe. Mężczyzna wychowany w reżimie chłodu nie potrafił wyartykułować emocji, której sam nigdy w życiu nie usłyszał od swojego ojca. Nie miał na nią pojęć w swoim słowniku. Słowa uwięzły mu w gardle jak połykany żwir. Ostatecznie, ratując resztki swojej twardej godności przed spojrzeniami ewentualnych gapiów zza żelaznych bram, zmienił trajektorię ruchu. Zamiast czułego dotyku, opuścił zaciśniętą, stalową pięść na zbroję chłopca. Uderzył go twardo w ramię, wydobywając z metalu głośny, dudniący dźwięk dzwonu.

— Trzymaj gardę — warknął chropowatym, martwym głosem.

Zastąpił miłość surowością, zastąpił wyznanie wojskową instrukcją przetrwania, bo tylko w ten sposób system pozwalał mu okazać troskę bez popełniania społecznego samobójstwa. Chłopiec skinął głową, a dźwięk tego uderzenia echem rozszedł się po betonowym kanionie. W tym jednym głuchym huku zapisała się sztafeta wielopokoleniowej, dziedziczonej traumy. Ojciec właśnie własnoręcznie dospawał swojemu synowi kolejną warstwę blachy do serca.

Wystarczyło posłuchać tego huku. Kultura Stalowego Miasta, wykuwając wizję silnego, niezniszczalnego samca-żywiciela, wyhodowała miliony ojców, którzy potrafili zbudować dom z cegieł, obronić granicę przed najeźdźcą, wziąć na barki trzy zmiany w hucie, ale całkowicie padali na kolana przed zadaniem wzięcia płaczącego dziecka na kolana.

Spacerowałem długo wzdłuż tych niekończących się wzniesień, nasłuchując zgrzytu ciał idących obok. To tutaj, u zbiegu dwóch betonowych ślepych ścian, stałem się świadkiem ostatecznej kapitulacji.

Idący kilka metrów przede mną mężczyzna nagle się zatrzymał. Jego zbroja była wyjątkowo masywna, poczerniała od brudu, usiana setkami blizn po ciosach i wgłębieniami od przepracowanych lat. Nagle, bez żadnego ostrzeżenia ze strony otoczenia, bez ciosu z zewnątrz, rozległ się potworny, przeciągły trzask, jakby pękał główny filar nośny wiaduktu. Stawy pancerza tego człowieka po prostu,

mechanicznie i nieodwołalnie rdzewiały, aż rdza skleiała wszystko w jeden, sztywny blok żeliwa.

Mężczyzna zachwiał się, stracił środek ciężkości na stromym chodniku i runął na kolana. Potem z głuchym, wibrującym w betonie łomotem upadł na twarz. Uderzenie było tak potężne, że aż zadrżała mi podeszwa buta.

Przez chwilę leżał nieruchomo. Następnie zaczął się szamotać. Próbował się podnieść, wbijając okute palce w szczeliny w chodniku. Ale fizyka nie miała litości. Zbroja, którą latami sam na siebie nakładał, by chronić się przed światem, stała się ostatecznie trumną, pod której ciężarem przestały funkcjonować jego własne mięśnie. Ciało pozbawione ruchu ulega atrofii, a serce zamknięte w klatce traci siłę pompującą. On fizycznie nie mógł już wstać pod masą wypartego, ukrytego w rdzewiejącym żelazie bólu.

A tłum wokół? Inni zakłuci w stal mężczyźni mijali go szybkim, mechanicznym krokiem. Niektórzy odwracali głowy z wyrazem skrajnego obrzydzenia, inni prychnęli cicho na jego rzekomą słabość. Nikt, absolutnie nikt nie wyciągnął do niego ręki, by pomóc mu wstać. Zrozumiałem ich paraliż. Aby pomóc leżącemu, zrzucić z niego ciężar, musieliby sami rozszczelnić własne zbroje, zdjąć rękawice, narazić się na dotyk, zaryzykować obnażenie faktu, że pod tą stalą wszyscy są dokładnie tak samo słabi, krusi i przerażeni. Woleli pozwolić mu umrzeć na ulicy, zgniecionemu przez własny pancerz, niż dopuścić do dekonstrukcji założycielskiego mitu swojego istnienia. Mijali go, uciekając w panice, bo w jego upadku widzieli swoją własną, nieuchronną przyszłość.

Widok tego mężczyzny, przygniecione go na ziemi przez to samo narzędzie, w którym pokładał całą swoją ewolucyjną nadzieję, na zawsze wypalił się w mojej pamięci. Uświadomił mi w pełni, do jak potwornego wynaturzenia pojęcia „siły” doprowadziła ta obłędna infrastruktura.

Odwrociłem się tyłem do ślepego zaułka. Opuściłem Stalowe Miasto. Przekroczyłem ostatnią linię betonowego muru, a stromy, morderczy kąt nachylenia ulicy wreszcie się wypłaszczył. Otworzyła się przede mną rześka, szeleszcząca wiatrem i pachnąca wilgotną ziemią przestrzeń innej prowincji. Wziąłem pierwszy od wielu godzin pełny, głęboki oddech i poczułem, jak moje wolne od ciężaru blachy płuca rozszerzają się, sprawiając mi uwalniający, fizyczny ból autentyczności.

Zatrzymałem się i wpatrzyłem w sylwetki miotające się w mroku na murach za moimi plecami, rozprawiając się ostatecznie z tym największym semantycznym oszustwem, jakie wtłoczono nam do głów. Zastanawiałem się, co w tym absurdalnym, skomplikowanym teatrze życia było w istocie silniejsze: człowiek, który z

zaciśniętymi zębami i naderwanymi ścięgnami do samego końca ułudnie dźwigał ciężar, powoli zapadając się pod nim pod ziemię — czy człowiek, który stanął na środku drogi i z otwartą przyłbicą po prostu przyznał, że nie uniesie ani grama więcej?

Mitologia uczyła nas podziwiać tych zaciśniętych. Ja jednak nie miałem najmniejszych wątpliwości, że jedyną formą odwagi w tym pękniętym świecie nie było budowanie grubszych murów. Prawdziwa i najbardziej rygorystyczna twardość polegała na tym, by zrzucić skorupę, wyjść na zewnątrz w zupełnie nagiej skórze, z miękkim brzuchem i odsłoniętą tętnicą szyjną, i powiedzieć do pędzącego z dzidami, brutalnego świata: „Tak, możecie mnie zranić, możecie roztrzaskać mnie na atomy, ponieważ z natury jestem kruchy. Ale mimo to nie pozwolę, by wasz lęk uwięził mnie w żelazie”. Siłą nie była niepodatność na ból. Siłą była absolutna i suwerenna zgoda na to, by ból przez ciebie przeszedł, nie czyniąc z ciebie kamienia.

WIELKI STADION OFIAR

Wyszedłem z chłodnego, mrocznego tunelu wejściowego prosto pod mordercze światło milionów stadionowych reflektorów. Przez chwilę stałem całkowicie oślepiiony — rozbielony bezkształt pochłonał całe pole widzenia. Zanim oczy zdołały się zaadaptować, uderzyło mnie powietrze: lepkie, gorące, nasycone gryzącym zapachem rozgrzanego w słońcu kurzu, starego, przetrawionego potu, rozlanego taniego piwa i słodkich przekąsek z glutaminianem sodu. Dopiero w następnej kolejności usłyszałem tłum: ogłuszający, nieludzki warkot setek tysięcy podeszew uderzających rytmicznie o betonowe trybuny, połączony z niskim, narastającym, gardłowym rykiem gigantycznego tłumu. Była to czysta, jarmarczna, zwierzęca woń uświęconego linczu. Znalazłem się wewnątrz Wielkiego Stadionu Ofiar.

Jego skala przeczyła wszelkim ewolucyjnym instynktom, które domagają się od człowieka przebywania w przestrzeniach dających się objąć wzrokiem. Amfiteatr był potężną, betonową niecką pozbawioną zadaszenia, wyciętą w samej tkance ziemi. Trybuny wznosiły się pod ostrym kątem aż po horyzont, gubiąc się gdzieś w smogu zanieczyszczonego powietrza. Nie było tu ani odrobiny finezji, żadnych zdobień, rzeźb czy złocen łagodzących architekturę. Wyłącznie lity, szorstki, zbrojony beton i niekończące się rzędy wyblakłych, plastikowych krzesełek. Konstrukcja Stadionu pozwalała mu pomieścić całą populację tego terytorium jednocześnie. Nie istniały tu obszary peryferyjne, nie było domów, w których można by się ukryć. Wszyscy

znajdowali się tutaj, podzieleni rygorystycznie, w ramach bezlitosnej geometrii, na dwie wykluczające się grupy: ogromną większość stłoczoną na trybunach i nieliczną mniejszość rzuconą na dno wyżwirowanej areny.

Zająłem wolne miejsce w jednym z wyższych sektorów, zmuszony precyzyjnie się przez zbitą masę krzyczących, uderzających o barierki ciał. Spojrzałem w dół. Centrum areny, płaski, posypany białym piaskiem okrąg, było oświetlone z tak farmakologiczną, nieludzką precyzją, że stojący tam ludzie w ogóle nie rzucali cieni. Światło wypalało najdrobniejszą skazę na ich twarzach, czyniąc ich całkowicie transparentnymi i bezbronnymi wobec miliona par oczu z góry. Na arenie sterczała zaledwie garstka osób. Wyglądali na przerażonych, zasłaniali twarze przed obiektywami i lecącymi z góry odpadkami. Byli celem. Zgromadziwszy się w małe, drżące skupisko, znosili to, co było fundamentalnym zjawiskiem, a zarazem jedyną religią tego terytorium: absolutną, nieskrępowaną nienawiść tłumu.

Obserwowałem mężczyznę, który siedział zaledwie dwa krzeselka ode mnie. Miał szarą, ziemistą cerę, podkrążone oczy i zapadniętą klatkę piersiową, zdradzającą lata przewlekłego stresu i bycia miażdżonym przez mechanizmy ekonomii. Znałem ten typ postawy; to był człowiek, który w normalnych warunkach przemyskał pod ścianami, bał się dzwonka do drzwi, nie potrafił odzyskać długu od sąsiada i czuł się we własnym, ciasnym życiu permanentnym intruzem. A jednak tutaj, w półmroku trybun Wielkiego Stadionu, działał się z nim coś niewiarygodnego. Kiedy wstawał, chwycił oburącz zardzewiałą siatkę ogradzającą sektor i zdzierał gardło, wykrzykując pod adresem ludzi na dole najobrzydliwsze, najbardziej rynsztokowe obelgi, jego twarz dosłownie młodniała. Oczy nabierały wilgotnego, nasyconego blasku, żyłki na szyi pulsowały zdrową, szybką krwią, a jego kręgosłup prostował się w dumnej, niemal boskiej pozie sprawiedliwego sędziego.

Uderzyła mnie wtedy z niespotykaną brutalnością prawda, o której rzadko piszą filozofowie moralności, ponieważ jest politycznie i humanistycznie nieoczywista. Zrozumiałem, patrząc na twarze tysięcy jemu podobnych wokół, że nienawiść do obcego, innego lub słabszego wcale nie jest w ludzkim systemie operacyjnym patologiczną aberracją. Nie jest anomalią, którą trzeba leczyć. Nienawiść jawiła mi się tu jako najgłębsze, fabryczne ustawienie człowieka, najdoskonalszy na świecie mechanizm wyrównawczy.

Nienawiść jest potwornie wręcz wygodna. Człowiek przepełniony jadem w stosunku do konkretnej grupy czy jednostki zepchniętej na dół areny, paradoksalnie jest wewnętrznie o wiele spokojniejszy niż człowiek pozbawiony wroga. Nienawiść jest gigantycznym, intelektualnym uproszczeniem skomplikowanego, przerażającego

wszechświata. Ten sfrustrowany mężczyzna obok mnie cierpiał. Jego życie było ruiną pełną złych wyborów, losowych tragedii i cichych upokorzeń. Ale kiedy rzucał w dół wyzwiska, zyskiwał twardą, uwalniającą od myślenia odpowiedź na absolutnie każde ze swoich pytań. Dlaczego nie ma pieniędzy? Przez nich. Dlaczego jego serce bije w arytmii? Przez nich. Dlaczego świat w niczym nie przypomina sprawiedliwego porządku? Odpowiedź stała w świetle halogenów na arenie. Znalezienie kozła ofiarnego było dla tego tłumu aktem najwyższej, ontologicznej ulgi. Dopóki cała populacja, z wybałuszonymi oczami, wpatrywała się z pasją w kogoś na dole i wściekle wskazywała go palcem, nikt, ani jeden człowiek na tych trybunach, nie musiał choćby przez sekundę spojrzeć we własne ręce, przeanalizować własnego sumienia, ani zajrzeć do swojego rozpadającego się, milczącego domu. Wspólny wróg to najskuteczniejszy psychotrop cywilizacji.

Prawdziwa mechanika Wielkiego Stadionu objawiła się jednak dopiero po upływie dłuższego czasu, gdy słońce zaczęło powoli chylić się ku betonowym krawężnikom budowli. Z ukrytych pod ziemią głośników rozległ się nagle ryczący, niski i przeciągły dźwięk syreny, przypominający alarm przeciwlotniczy. W ułamku sekundy cała furia na trybunach ustała, zastąpiona głośnieym echem przesuwania się milionów ludzi na plastikowych krzeselkach. Rozpoczęła się Rotacja.

Zasada funkcjonowania tego terytorium nie opierała się na istnieniu jednej, wiecznej, przeklętej kasty ofiar i jednej, bezkarnej kasty oprawców. Rotacja była absolutnie płynna i do bólu demokratyczna. Część barierek odgródzeniowych na trybunach opadła z metalicznym szcękaniem. Mężczyźni w żółtych kamizelkach technicznych, używając długich, elektrycznych tyczek, zaczęli spychać wyznaczone na ten moment grupy ze środkowych rzędów wprost do mrocznego tunelu prowadzącego na płytę areny. Z kolei potężne, pancerne drzwi u dołu otworzyły się, wypuszczając wczorajsze ofiary — te same, na które tłum opluwał i rzucał kamieniami przez ostatnie dni — z powrotem na bezpieczne trybuny schodkowe.

Zaparłem dłonie o chropowate oparcie krzesła przed sobą, wpatrując się z chłodnym przerażeniem w to, co działo się z wczorajszymi ofiarami, które właśnie odzyskiwały status widzów. Zgodnie z literackim, naiwnym mitem i romantycznymi baśniami o szlachetnym cierpieniu, ktoś, kto zaznał głębokiego upokorzenia, bezbronności i przerażenia na własnej skórze, powinien wydobyć z siebie ocean empatii. Powinien zrozumieć, że mechanizm przemocy jest zły u samych podstaw. Cierpienie miało w końcu uszlachetniać, prawda?

Na Wielkim Stadionie Ofiar przekonałem się, jak wielkim, obrzydliwym kłamstwem jest to przekonanie.

Ludzie, którzy jeszcze kilkanaście minut temu kulili się w pyłe areny, drżąc o własne życie i płacząc pod naporem nienawiści, po znalezieniu swojego miejsca na trybunie nie poczuli empatii w stosunku do nowych ofiar wrzuconych właśnie na piach. Ich oczy były czarne i obłądnie puste, wypełnione wyłącznie żarłocznym, biologicznym pragnieniem rewanzu. Rzucili się do barierek szybciej i z większą furią niż ci, którzy siedzieli na trybunach od dawna. Wypluwali z siebie najgorsze, najbardziej wymyślne obelgi, rzucali w dół oderwanymi kawałkami plastiku.

To tu odsłaniał się najczarniejszy z tutejszych paradoksów: bycie ofiarą nikogo nie uszlachetniało, ono rodziło wyłącznie patologiczny głód bycia oprawcą dla kogoś innego. Im bardziej byłeś na dole upokorzony, tym chętniej i szybciej po wejściu na bezpieczne terytorium szukałeś kogoś jeszcze słabszego, na kogo mogłeś scedować ten nieznośny, mentalny ciężar własnej krzywdy. Odkryłem, że poczucie bycia skrzywdzonym jest najpotężniejszym i najmniej kwestionowanym w tym społeczeństwie certyfikatem bezkarności. Skoro cierpiałem, skoro wyrządzono mi niewyobrażalne zło, to z automatu przyznawałem sobie nieograniczone, niepodlegające żadnej moralnej ocenie prawo do zadawania bólu tym, którzy teraz potknęli się w świetle reflektorów. Ofiara i oprawca na tym stadionie nie byli swoimi aksjologicznymi przeciwieństwami, stojącymi po dwóch stronach moralnej barykady. Byli dokładnie tym samym organizmem, uwięzionym jedynie na różnych etapach tego samego, nieskończonego cyklu życiowego.

Zrozumiałem, słuchając tego potężnego, zgodnego krzyku wydobywającego się z setek tysięcy płuc wokół, że gatunki społeczne wcale nie spajają się poprzez ideę miłości. Miłość, choć tak wychwalana na sztandarach, w swej naturze jest głęboko prywatna, izolująca. Dzieli wielkie grupy na małe, hermetyczne komórki, na pary zamykające się w domach, odwrócone tyłem do plemienia. To nienawiść jest ostatecznym, najtrwalszym klejem. Sprawia, że jednostki całkowicie pozbawione punktów styecznych — ludzie o innej przeszłości, innym kapitale, innych gustach i innej samotności — na czas trwania linczu tworzą zintegrowaną, bijącą jednym rygorystycznym tętnem, radosną wspólnotę. Stadion dlatego zresztą nigdy, od stuleci, nie opustoszał, i chętnych nigdy na nim nie brakowało w żadnym z sektorów. Bycie w tłumie z zaciśniętą, gotową do ciosu pięścią to jedyne na świecie terytorium, gdzie współczesny człowiek nie czuje chłodu swojej egzystencjalnej izolacji.

W pewnym momencie tłum falował tak gwałtownie, że i ja zostałem zepchnięty o rząd niżej, prosto na metalową barierkę oddzielającą trybuny od potężnego spadku ku arenie. Czułem fizyczny nacisk mokrych ciał z tyłu, czułem zapach potu i przyspieszonych oddechów. Spojrzałem w dół. Nowa grupa wyrzutków stała na

jasnym piasku, kurcząc się pod strumieniem inwektyw. Ktoś z tyłu, jakiś starszy, zdyszany człowiek o obłąkanym spojrzeniu, wepchnął w moją prawą dłoń twardy, ostry kawałek wyłupanego betonu wielkości pięści. Wskazał palcem na dół, krzycząc do mojego ucha coś niezrozumiałego w ogólnym hałasie, zachęcając do rzutu.

Zważyłem beton w dłoni. I wtedy poczułem to z przerażającą ostrością. Zrozumiałem ten potworny, magnetyczny ciąg. Zrozumiałem logikę tych tysięcy ludzi na trybunach. Skurcz w moim prawym przedramieniu rósł, domagając się ucisku, domagając się wyrzutu. Wystarczyłoby tylko podnieść ramię, wziąć krótki zamach i uwolnić kamień w stronę oświetlonego centrum, a natychmiast stałbym się jednym z Nich. Stałbym się częścią Wielkiego, Prawego My. Posiadłbym odpowiedź. Zrzuciłbym z siebie cały ten ciężki, skomplikowany garb wolności, każdą swoją nierozwiązaną porażkę, swoje własne dławiące tęsknoty, winy i błędy — scedowałbym je za pomocą praw fizyki na anonimowe plecy człowieka na dole. Zapomnienie i rozgrzeszenie ukryte w agresji. Poczułem mdły smak pokusy na języku. Uderz, a zostaniesz uzdrowiony. Ukarz kogoś, a twoje winy nie miały najmniejszego znaczenia. Zrozumiałem, dlaczego tak trudno wyjść z tej krwawej areny.

Rozluźniłem palce. Ostry, szary kawałek betonu wyslizgnął się z mojej dłoni i z głuchym uderzeniem upadł na zardzewiałą kratę pomostu tuż pod moimi butami. Mężczyzna obok wydał z siebie wściekły syk niezadowolenia, traktując mój gest jako zdradę całego sektora, ale ja nie odwróciłem nawet głowy w jego stronę. Odwróciłem się plecami do jaskrawego, pożerającego tożsamość światła, opuściłem gardę i zacząłem w milczeniu przepychać się w stronę wyjścia, pod ostry prąd wchodzącego, dyszącego nienawiścią tłumu. Uderzali mnie ramionami, deptali po butach, nie zwracając uwagi na jednostkę, która właśnie wypisała się ze zbiorowego sakramentu uspokojenia.

Przecisnąłem się z trudem przez zardzewiałe, zgrzytające obrotowe bramki wejściowe. Ostre, mechaniczne kliknięcie licznika osób ostatecznie odcięło mnie od struktury Stadionu. Wyszedłem na rozległy, wyludniony i pogrążony w mroku parking przed amfiteatrem. Zimne, nocne powietrze, nagle uwolnione od zapachu strachu i adrenaliny, ochłodziło moją twarz, przynosząc natychmiastową, rzeźbiącą ulgę płucom. Przystanąłem przy betonowym pylonie, daleko poza zasięgiem głośników. Z oddali docierał do mnie jedynie przytłumiony, miarowy ryk dziesiątek tysięcy gardeł — dźwięk przypominający regularne, powolne tętno wielkiego, głuchego drapieżnika trawiącego właśnie posiłek.

Zastanowiłem się w ciszy nocnego horyzontu, oświetlanego tylko tępym blaskiem sodowych latarni, czym fizycznie i emocjonalnie stał się obdarty ze swoich złudzeń człowiek, gdy zabrakło mu kogoś do nienawidzenia. Czym stał się ten obłąkany, wyścigowy gatunek, jeśli odcięto mu dostęp do twardego, jednoznacznego wroga, który z litościwą precyzją tłumił wszelkie osobiste wątpliwości?

Zrozumienie tej architektury pozwoliło mi wreszcie spojrzeć prawdzie w oczy, bez osłony romantycznych mitów, którymi karmimy się na szkolnych apelach. Prawdziwe, najbardziej krwawe bohaterstwo w tym dziwacznym świecie wcale nie polegało na wyciągnięciu miecza i stanięciu do walki z monstrualnym wrogiem rzuconym nam na środek areny. Walka z kimś, kto był powszechnie uznany za oprawcę, bywała łatwa, bo tłum bił przy tym brawo. Najwyższa, cicha, łamiąca kości odwaga objawiała się wtedy, gdy rezygnowało się z bezpiecznego miejsca na trybunach. Kiedy decydowałem się stanąć sam na środku własnego, całkowicie pustego i milczącego pokoju, bez ani jednego obcego celu w zasięgu wzroku. I w obliczu rosnącego przerażenia faktem, że moje życie bolało, przeciekało przez palce i nie było w nim ładu, z pełną świadomością opuszczałem wskazujący palec. Kiedy rozumiałem, że jedynym prawdziwym aktem dojrzałości było wzięcie ciężaru tej nielogicznej pustki wyłącznie na własne barki, bez rzucania na oślep kamieniami w cudze, poobijane plecy po to tylko, by usłyszeć ich rozgrzeszający mnie trzask.

KOMORA GRZECZNYCH LUDZI

Wszystko zaczyna się od podłogi. Od podeszwy buta, która zamiast spotkać się z twardym, uczciwym oporem materii, zapada się w nienaturalnie gruby, syntetyczny plusz. Wykładziny w tym miejscu mają grubość dorodnego mchu, ale nie niosą ze sobą zapachu lasu. Pachną agresywną, chemiczną lawendą, ozonem z klimatyzatorów i bezwzględną, narzuconą sterylnością. Ta podłoga została zaprojektowana w jednym, morderczym celu: ma pożerać dźwięk. Każdy krok wędrowca, każde uderzenie obcasa, każde potknięcie zostaje natychmiast i bezpowrotnie wessane przez ten żarłoczny aksamit. Powietrze przypomina tu w dotyku gęstą, nagrzaną watę. Jest tak ciężkie od sztucznego spokoju, że samo wzięcie oddechu wymaga wysiłku.

Szedłem długim korytarzem hotelowym, skąpanym w łagodnym, brzoskwiniowym świetle, kiedy zza węgła wyłonił się portier. Miał na sobie nienaganny, bordowy uniform bez ani jednego zagniecenia. Kiedy mnie dostrzegł, jego twarz natychmiast, w ułamku sekundy, ułożyła się w perfekcyjny, przyklejony uśmiech, zęby błysnęły w półmroku, a ciało zgięło się w głębokim, wyuczonym ukłonie. Był to obraz ostatecznego oddania i gościnności. A przynajmniej byłby, gdyby nie dźwięk. Kiedy portier wyprostował kręgosłup i zrobił krok w moją stronę, z wnętrza jego ciała — z samej głębi jamy brzusznej — nie dobiegł szelest ubrań, lecz głuchy, potworny, metaliczny zgrzyt. Jakby ktoś potrząsnął wielkim, żeliwnym

workiem wypełnionym łożyskami. Z każdym kolejnym krokiem portiera, pod jego idealnie skrojoną kamizelką, coś obijało się o siebie z potężnym ciężarem. *Klang. Klang. Klang.* Mężczyzna uśmiechał się jeszcze szerzej, jego oczy były całkowicie martwe, a po czole spływała mu samotna, gruba kropla potu z gigantycznego, fizycznego wysiłku, jakim było dla niego samo niesienie własnych trzewi.

Znalazłem się w Komorze Grzecznych Ludzi.

To tutaj cywilizacja postanowiła wznieść swój ostateczny pomnik z betonu i strachu nad biologiczną naturą człowieka. W tym mieście nie uświadczysz podniesionego głosu. Nikt tu nie trzaska drzwiami, nikt nie przerywa rozmówcy w pół zdania, nikt nie używa słów wulgarnych. Wymuszona uprzejmość stała się tu religią, a kompromis jedynym obowiązującym prawem fizyki.

Ale natura wszechświata nie ulega negocjacjom z kodeksem dobrych manier. Jeśli w ludzkim ciele rodzi się złość, jeśli pojawia się ostry, piekący sprzeciw, ta energia nie paruje w nicość tylko dlatego, że właściciel postanowił się grzecznie uśmiechnąć. W Komorze każda niewypowiedziana prawda i zgaszona w zarodku wściekłość ulega natychmiastowej, fizycznej materializacji. W przełyku obywatela krzepnie twarda, gładka, ołowiana kulka. Przełyka ją z trudem, a ona z głośnym, metalicznym brzękiem wpada na dno żołądka, dołączając do setek innych. Grzeczni ludzie są tu nieludzko ciężcy.

Zrozumiałem anatomię tego zjawiska, zjeżdżając na dół w windzie wyłożonej pikowanym pluszem. Ze ścian sączyła się usypiająca muzyka, z premedytacją pozbawiona sekcji rytmicznej. Obok mnie stała elegancka kobieta o nieskazitelnej cerze, pachnąca drogimi, mydłanymi perfumami. Winda zatrzymała się na jednym z pięter. Drzwi rozsunęły się bezszelestnie i do środka z impetem wpadł otyły mężczyzna. Zrobił to tak szeroko i niezdarnie, że z całą siłą nadepnął mokrym butem na jasny pantofel kobiety, boleśnie wbijając jej skórzaną tęczkę w żebra.

W innym wymiarze naruszenie przestrzeni i fizyczny ból wyzwoliłyby zwierzęcy warkot, obnażone zęby i żądanie przeprosin. Ale to była Komora. Kobieta drgnęła. Widziałem, jak w jej prawym oku pęka drobne naczynko krwionośne, a źrenica zwęża się do rozmiarów szpilki. Przez ułamek sekundy jej twarz była mapą najczystszej, drapieżnej nienawiści. A potem zadziałał system.

Mężczyzna odchrząknął, nawet na nią nie patrząc. Kobieta wygładziła spódnice i nałożyła na twarz wyraz absolutnego przebaczenia.

— Nic się nie stało — powiedziała głosem tak aksamitnym, że przypominał dławiący syrop. — To był wypadek.

W tej samej sekundzie mięśnie jej szyi napięły się drastycznie. Kobieta wykonała potężny, konwulsyjny ruch przełykania. Jej krtań podskoczyła, a po zaciśniętej szczęce przemknął spazm. Przełykała właśnie nową, wyjątkowo dużą kulę ołowiu. Zamknęła oczy, a z jej trzewi dobiegł głuchy, wibrujący odgłos żeliwa uderzającego o dno pełnego zbiornika. *Klang*. Kobieta oparła się o lustro windy, cicho dysząc. Jej kolana ugięły się pod nagłym przyrostem wagi, a grawitacja docisnęła jej kręgi lędźwiowe. Zapłaciła fizycznym upadkiem własnej anatomii za utrzymanie tej lepkiej, mdłej aury uprzejmości.

Wyszedłem z windy, uciekając wprost do hotelowej restauracji. Była to wielka, zaciemniona sala, w której trwał permanentny festiwal uległości. Stoły nakryto podwójnymi obrusami, by odkładane sztucze nie śmiały wydać z siebie dźwięku uderzającej blachy. Usiadłem w rogu i patrzyłem na ciała mieszkańców.

Siedzieli naprzeciwko siebie w rodzinnych konstelacjach. Wszyscy bez wyjątku posiadali nienaturalnie rozdęte, obwisłe brzuchy, kontrastujące ze smukłymi klatkami piersiowymi. Byli tak obciążeni nagromadzonym przez dekady milczeniem, że siedzieli zapadnięci w głębokich fotelach, fizycznie niezdolni do wyprostowania pleców.

Przy stoliku obok siedziała para. Mężczyzna, obracając w palcach kryształowy kieliszek, uśmiechnął się z fałszywą troską.

— Ależ kochanie, wyglądasz w tej sukni naprawdę wspaniale. Tak... uspokajająco i domowo. Bardzo praktycznie — powiedział miękko, wsuwając zardzewiałą brzytwę czystej pogardy w sam środek jej samooceny.

Kobieta zamarła z widelcem w powietrzu. Mogła rzucić w niego szkłem, rozerwać na strzępy tę obrzydliwą zasłonę z konwenansów. Zamiast tego uśmiechnęła się łagodnie. Sięgnęła po wodę z cytryną. Jej krtań poruszyła się gwałtownie. *Klang*. Kolejna ołowiana kula dołączyła do kolekcji, a jej kręgosłup zgiął się o następny milimetr.

W tej wyciszzonej sali obnażała się najciemniejsza, fizjologiczna prawda o dobrym wychowaniu. Uprzejmość oparta na kompromisie wcale nie usuwa agresji z powietrza; ona jedynie, z wyrachowaną precyzją, obraca lufę o sto osiemdziesiąt stopni. Zamiast rzucić ostrzem w kogoś innego — wywołać krótki, brudny, ale oczyszczający ogień kłótni — cywilizowany człowiek połyka szkło i zgadza się na to, by cięło go od wewnątrz. Zgadza się na gnicie trzewi, byle utrzymać nienaganną politurę relacji. Związki i przyjaźnie przetrwają tu bez podniesionego głosu przez dekady, ale cena odbierana jest w żołądkach zdartych do krwi przez ołów milczenia.

Zanim zapadł zmrok, minąłem szklany biurowiec w centrum. Przez potężne, panoramiczne okno na parterze widziałem sterylną salę konferencyjną. Za stołem z dębowego drewna siedziało dwóch mężczyzn. Jeden w szarym garniturze, z teczką pełną dokumentów, prawdopodobnie przełożony. Drugi, nieco starszy, z dłońmi splecionymi w idealnym, pokornym koszyczku na blacie. Szyba całkowicie odcinała dźwięk, ale anatomia tego miejsca nie wymagała słów. Widziałem, jak przełożony przesuwając po blacie wypowiedzenie. Uśmiechał się przy tym łagodnie, współczująco, układając usta w bezdźwięczne sylaby o „nowych wyzwaniach” i „optymalizacji struktury”.

Starszy pracownik patrzył na papier, który właśnie przekreślał piętnaście lat jego życia. Jego palce zbieleły na sękach. Przez ułamek sekundy jego klatka piersiowa zapadła się, gotowa do krzyku, gotowa do chwycenia za brzeg tego ciężkiego, dębowego stołu i wywrócenia go na podłogę. Zamiast tego mężczyzna wziął głęboki oddech, pokiwał głową ze zrozumieniem i powoli sięgnął po długopis. Złożył podpis. Kiedy podnosił się z krzesła, by uścisnąć dłoń swojego oprawcy, jego gardło drgnęło z potwornym wysiłkiem. Przełknął tak wielką, zimną kulę ołowiu, że jego stawy biodrowe z trzaskiem ugięły się pod nowym ciężarem. Kiedy wychodził z sali, powłóczył nogami, grzechocząc cicho, już na zawsze cięższy o własną uległość, zadowolony, że wyrzucono go z zachowaniem najwyższych standardów kultury korporacyjnej.

Po zmroku, kiedy terytorium zanurzyło się w żółtym świetle sodowych latarni, ulice całkowicie opustoszały. Opuściłem dzielnicę biznesową. Komora była geometrycznie perfekcyjna, a wszechobecna cisza sprawiała, że słyszałem bicie własnego serca. Szedłem powoli, aż u zbiegu dwóch kamienic usłyszałem dźwięk dobiegający ze szczeliny pod moimi stopami.

Uklęknąłem na krawężniku i zbliżyłem ucho do mosiężnej kratki burzowej. Zamiast szumu wody usłyszałem coś, co sprawiło, że żołądek zwinął mi się w twardy supeł.

To był ryk. Zbiorowy, stłumiony przez grubość betonu, obdzierający ze skóry, zwierzęcy ryk tysięcy ludzkich gardeł.

Dźwięk był polifonią nieskrępowanej wściekłości. Słyszałem nienawiść męża wykrzykującego w rurę odpływową przekleństwa na żonę, do której uśmiechał się przy śniadaniu. Słyszałem histeryczny szloch córki, która nigdy nie powiedziała matce, że jej opiekuńczość ją dusi. Słyszałem furie zdradzonych kochanków i upokorzonych ojców.

Mieszkańcy Komory po zamknięciu wygłuszonych drzwi i zgaszeniu światła wchodzili do łazienek, odkręcali krany do oporu i wykrzykiwali w dół kanalizacji całą gęstą prawdę o swoim nienagannym życiu. Ścieki nie odprowadzały tu deszczówki — były podziemnym konfesjonałem dla wyziewów duszy, których nikt nie odważył się wyartykułować przy świetle dnia. To na tym morzu wrzeszczącego brudu opierał się cały lśniący, aksamitny raj na powierzchni.

Wstałem z kolan. W moje usta natychmiast wtargnął z powrotem słodki, kłamliwy zapach lawendy. Zacząłem iść szybko, byle jak najdalej od kratki, ale na szerokim bulwarze zobaczyłem jego.

Starszy, siwy mężczyzna w tweedowej marynarce szedł z naprzeciwka. Jego kręgosłup był wygięty pod nienaturalnym kątem. Brzuch zwisał ciężko, uderzając go w uda przy każdym kroku, wydając basowy dźwięk ocierającej się o siebie stali. Był żywym ucieleśnieniem sześćdziesięciu lat bycia idealnie dobrym i ugodowym obywatelem, który każdą doznaną niesprawiedliwość połykał w imię społecznego spokoju.

Zatrzymał się pod latarnią. Chwycił się za klatkę piersiową, łapiąc chciwie powietrze. Skóra na jego napiętym brzuchu zszarzała i stała się pergaminowa, nienaturalnie rozerwana ciśnieniem od wewnątrz.

Z głuchym młasknięciem drącej się tkanki powłoki brzuszne starca po prostu pękły.

Nie było tam krwi. Z rozerwanej jamy, z potężnym, kaskadowym hukiem, na twarde chodniki wysypały się setki idealnie gładkich, zimnych, stalowych kulek. Łożyska ugodowości. Z brzękiem, zgrzytem i łoskotem toczyły się po płytach chodnikowych, wpadały do rynsztoków i odbijały się od krawężników.

Mężczyzna runął na kolana, zredukowany do wyprutej z wnętrzości lalki. Skurczył się na asfalcie, a z jego ust wydobył się tylko cichy świst wchodzącego do pustych płuc powietrza. Jego własna ugodowość w końcu rozerwała go od środka.

Na bulwarze pojawili się nocni spacerowicze w miękkich płaszczach. Zobaczyli starca klęczącego w kałuży własnego ołowiu.

Spojrzeli w górę, wpatrując się w korony drzew z obłądnym zainteresowaniem. Uśmiechnęli się do siebie łagodnie, wykonując baletowe kroki na palcach, byle tylko nie nadepnąć na metal i nie wywołać hałasu. Pomoc oznaczałaby konfrontację z brzydotą. Woleli pozwolić mu umrzeć, niż popełnić nietakt naruszenia strefy prywatnej. Z uprzejmym uśmiechem na wargach przeszli obok, pozostawiając za sobą wyłącznie dźwięk ocierającej się o beton stali.

Zapatrzyłem się w to miękkie barbarzyństwo. W witrynie zamkniętej kawiarni zobaczyłem własne odbicie. Ja również stałem tam z bezradnym, cywilizowanym uśmiechem wymalowanym na twarzy.

I wtedy w moim gardle zebrła się gęsta ślina. Tkanka przełyku zaczęła się obkurczać wokół twardego, formującego się z powietrza punktu. Złość, pogarda dla tchórzliwych przechodniów i wściekłość na całą tę chorą, pluszową krainę krzepły w moim ciele. Ołów stawał się zimny. Grawitacja ciągnęła go w dół, a system Komory domagał się mojego posłuszeństwa. Przełknij. Bądź grzeczny. Zachowaj klasę. Zostań tutaj, noś ciężar i krzycz nocami do kratki burzowej.

Zacisnąłem pięści. Przez ułamek sekundy walczyłem z biologią uległości, a moja krtań broniła się spazmem bólu. Zamiast wykonać potężny, potulny ruch przełykania w dół, skurczyłem mięśnie klatki piersiowej w radykalnym, zwierzęcym odruchu buntu.

Otworzyłem usta i z potężnym, głuchym chrząknięciem, wyrzucającym z płuc całe zepsute powietrze, wyplułem ją.

Twarda, ołowiana kulka wyleciała na zewnątrz. Minęła pluszową osłonę i z głośnym, wibrującym trzaskiem uderzyła w obnażony beton krawężnika.

Dźwięk pękniętej ugodowości rozszedł się po pustym bulwarze. W oknach hotelu drgnęły zasłony. Rury ściekowe pod ulicą na ułamek sekundy zamilkły. Stałem na asfalcie, wycierając usta wierzchem dłoni, na której został gorzki posmak żółci i żelaza. Zostawiłem ten obrzydliwy, ciężki wrzód własnej wściekłości w rynsztoku.

Mój brzuch pozostał drapieźnie pusty. Płuca wypełniły się tlenem, a ja odwróciłem się i poszedłem przed siebie, wsłuchując się z lodowatą satysfakcją w każdy głośny, chamski, wibrujący zgrzyt moich butów na betonie. Nie zamierzałem już nigdy więcej być bezpiecznym pojemnikiem na rdzę tego świata.

PIEKARNIA CODZIENNYCH ZŁUDZEŃ

Zaczyna się to zawsze o czwartej trzydzieści rano. Pora, w której ludzka fizjologia jest najbardziej bezbronna, a wszechświat obnaża swoją morderczą, geometryczną obojętność. Z nieba leciał lodowaty, zacinający ukosami deszcz, uderzając o betonowy chodnik z tępym, pozbawionym jakiejkolwiek litości rytmem. Mój wełniany płaszcz, przemoczony do cna, ciążył mi na ramionach jak mokry całun. Na ulicy panował całkowity, grobowy mrok, rozcinany jedynie przez drżące światło uszkodzonej latarni. Właśnie wtedy w nozdrza uderzył mnie zapach.

Nie był to smród gnijącej stali ani kwaśny odór strachu, do którego przyzwyczały mnie poprzednie terytoria. To była woń absolutnie najokrutniejsza w swojej podstępnej miękkości. Obezwładniający, narkotyczny, gęsty zapach roztopionego, gorącego masła, palonego cukru, ziaren wanilii i potężnej, fermentującej w cieple drożdżowej siły. Poczułem, jak mój żołądek zaciska się w bolesnym, histerycznym skurczu. Ale to nie był biologiczny głód białka czy węglowodanów. To był głód znacznie głębszy, dławiący głód sensu i znieczulenia. Głód tarczy ochronnej, bez której ludzki układ nerwowy o tej godzinie po prostu nie potrafi funkcjonować.

Tak właśnie pachnie Piekarnia Codziennych Złudzeń.

Wkroczyłem do terytorium, które z pozoru przypominało najbardziej przytulną, nostalgiczną pocztówkę, by z bliska okazać się najsprawniej działającym punktem dystrybucji opiatów dla duszy. To tu, w sercu ciemnego miasta, mieściła się potężna, oświetlona ciepłym, pomarańczowym blaskiem manufaktura. Przed jej parującymi, szerokimi drzwiami, na długo przed świtem, ustawiała się gigantyczna kolejka.

Stałem z boku, przyglądając się mieszkańcom. Zziębnięty, szary, zmasakrowany przez własną biografię tłum. Nikt nie rozmawiał. Nikt nie patrzył drugiemu w oczy. Wszyscy wpatrywali się twardo w czubki własnych, przemoczonych butów, ponieważ stanie w tej kolejce było aktem ostatecznego, intymnego upokorzenia. Wszyscy obywatele Piekarni na co dzień z wyższością i faryzeuszowską dumą twierdzili, że gardzą kłamstwem. Pletli w swoich czystych salonach patetyczne dyrdymały o tym, jak cenią szczerość. A jednak każdego cholerne go poranka wlekli się tutaj w deszczu, skomląc w duchu o swoją małą, gorącą porcję wymówek, bez której fizycznie nie umieliby postawić stopy na podłodze.

Tuż przede mną stał mężczyzna w tanim, wyświechtanym na łokciach garniturze. Miał zapadniętą klatkę piersiową i drżące dłonie. Kiedy nadeszła jego kolej, rzucił na ladę pomięte banknoty. Piekarz — milczący, z ramionami umazanymi mąką niczym przemysłowy farmaceuta — podał mu małą, idealnie złocistą, parującą bułkę. Mężczyzna nawet nie odszedł od okienka. Wbił zęby w miękkie ciasto z łapczywością zagłodzonego zwierzęcia. W ułamku sekundy jego zapadnięty kręgosłup wyprostował się, jakby ktoś naciągnął w nim główną linkę nośną. Z zszarzałej twarzy zniknęło napięcie miażdżące szczękę, a w martwych oczach zapalił się wilgotny błysk ulgi. Odetchnął głęboko, poprawił krawat i dziarskim krokiem ruszył w deszcz.

Podszedłem do okienka, by spojrzeć na tabliczkę, która przed chwilą tkwiła w koszyku. Głosiła: *„Złożę wypowiedzenie w przyszłym miesiącu, teraz muszę zacisnąć zęby”*. Mężczyzna właśnie kupił sobie prawo do bycia posłusznym niewolnikiem przez kolejne trzydzieści dni. Złudzenie wciągnięte do krwiobiegu zadziało jak środek znieczulający, który wygasił płonący ból jego własnego tchórzostwa.

Zbliżyłem się do oszklonych gablot wewnątrz lokalu. Skala tej produkcji przeczyła pojęciu piekarstwa — to była tytaniczna inżynieria przetrwania. Na półkach piętrzyły się setki rodzajów wypieków, sformatowanych pod każdą klasę społeczną.

Na najniższych półkach leżała produkcja masowa. Tanie, posypane makiem kajzerki i rogaliki, po które sięgali młodzi i zmęczeni. *„To tylko taki przejściowy okres”*. *„Od poniedziałku na pewno zacznę biegać”*. *„Po prostu jestem trochę*

niewyspany, wcale nie mam depresji". Jednodniowe plastry naklejane na powierzchowne rany. Kupowali je masowo, żując w pośpiechu w drodze do metra.

Wyżej, na dębowych, wypolerowanych półkach, leżały wypieki znacznie cięższego kalibru. Ciemne, potężne bochenki chleba z grubą skórą, przeznaczone dla ludzi, którzy zmarnowali właśnie czwartą dekadę życia. Wymagały one długiego żucia i twardych zębów, ale dawały poczucie bezpieczeństwa. Etykiety głosiły: *„W gruncie rzeczy jestem całkowicie wolnym człowiekiem”*, *„Robię to wszystko dla dobra moich dzieci”*, *„Moje cierpienie ma wyższy, ukryty sens”*. Ludzie w wełnianych płaszczach przytulali te bochenki mocno do klatki piersiowej, chroniąc przed deszczem niczym najświętsze relikwie. Byli gotowi oddać za nie wszystko, ponieważ wiedzieli, że bez tej twardej skorupy wytłumaczeń ich gładkie, luksusowe biografie natychmiast zapadłyby się pod własnym ciężarem.

Fizyka tych wypieków posiadała jednak morderczy, nieuchronny feler. Ich okres przydatności do spożycia był drastycznie krótki. Złudzenie działa kojąco tylko wtedy, gdy jest gorące, świeżo wyjęte z pieca neurozy. Wraz z upływem godzin i zderzaniem się ze światem zewnętrznym zaczyna nieubłagane wysychać.

Przekonałem się o tym tego samego wieczoru. Dochodziła dwudziesta. Deszcz nie ustępował, a powietrze miało temperaturę prosektorium. Stałem na zardzewiałym przystanku autobusowym na peryferiach dzielnicy. Obok mnie na wyblakłej, plastikowej ławce siedziała kobieta w cienkim trenczu. Miała rozmazany tusz pod rzęsami i siniak na lewym przedramieniu, który próbowała niezdarnie naciągnąć rękawem.

Zziębniętymi, drżącymi palcami sięgnęła do kieszeni. Wyciągnęła niedojedzoną reszkę porannego wypieku. *„On mnie kocha, tylko po prostu gubi się we własnym bólu”*. Problem w tym, że ciastko po czternastu godzinach zderzania się z brutalną rzeczywistością jej mieszkania stało się twarde jak granit. Magia masła i ciepła całkowicie wygasła. Wypiek skamieniał.

Kobieta, zdesperowana powracającym chłodem, przerażona perspektywą powrotu do domu bez psychicznego znieczulenia, spróbowała go zjeść. Zniosła bryłę do ust i z całą siłą ścisnęła szczękę.

Dźwięk pękającego szkliwa był głośny i suchy. Kobieta wydała z siebie zduszony, cichy pisk. Upuściła kamienne ciastko na zalaną deszczem kostkę brukową. Przyłożyła dłoń do ust, a po jej brodzie zaczęła spływać cienka, ciemna strużka krwi wymieszana ze śliną. Kiedy odsunęła palce, widziałem na jej wargach szary, obrzydliwy pył. Poranne pocieszenie skruszyło się w popiół, zadając fizyczną ranę, pozostawiając w ustach jedynie cierpki smak żółci. Złudzenie się przeterminowało, a

bez niego kobieta została całkowicie naga, twarzą w twarz ze swoją zrujnowaną egzystencją.

To tu, patrząc na jej krew i zmielony pył, pojąłem ostateczną anatomię obiektywizmu. Prawda nie jest czymś, co wyzwala. Prawda jest po prostu niejadalna. Człowiek nie ma zębów przystosowanych do gryzienia świata w stanie surowym, bez żadnej obróbki. Nagie fakty to żwir i tłuczone szkło, które zdzierają przełyk do żywego mięsa i sprawiają, że żołądek zaczyna trawić samego siebie. My wcale nie łakniemy prawdy, my musimy po prostu przetrwać kolejny dzień. Samooszustwo, które połykamy każdego ranka przed lustrem w łazience, nie jest aktem moralnego upadku. Jest niezbędnym enzymem. Jest odrobiną ciepłego ciasta i masła, w które zawijamy brzytwę codzienności, żeby nie wykrwawić się na śmierć jeszcze przed wyjściem za próg.

Odszedłem od ciepłych światła głównych ulic. Instynkt ciągnął mnie w dół, w płataninę bocznych, nieoświetlonych zaułków, gdzie nie docierał już zapach rosnących drożdży, a wiatr niósł jedynie odór zimnego żelaza. To tam, na samym dnie miasta, znalazłem ślepą ulicę i człowieka, który całkowicie zrezygnował z pieczywa.

Siedział na ziemi, oparty plecami o ceglany mur. Zacinający deszcz zmywał z niego resztki ciepła. Jego usta były niemal czarne. Kiedy podszedłem bliżej, usłyszałem potworny dźwięk. Mężczyzna miał w ustach garść surowego, brudnego żwiru. Żuł go miarowo, z mechanicznym uporem, krusząc w pył resztki zębów. W jego dłoniach znajdowała się tylko zimna, stojąca woda z kałuży. To był jego pokarm. Wyłącznie naga, obiektywna, odarta z sentymentów materia.

Spojrzał na mnie. Jego oczy były najstraszniejszą rzeczą, jaką widziałem podczas całej tej wędrówki. Były krystalicznie, przerażająco przezroczyste. Nie było w nich gęstej mgły fałszu, nie było neurotycznego zniekształcenia rzeczywistości. On widział świat z perspektywy ostatecznej prawdy wszechświata.

Wiedział — i fizycznie czuł — że znajduje się na obojętnej, stygnącej skale pędzącej w czarnej próżni. Wiedział, że miłość to zaledwie seria trywialnych wystrzałów chemii w mózgu, wykreowanych przez ewolucję tylko po to, by zmusić go do reprodukcji. Rozumiał z lodowatą pewnością, że każda cywilizacja obróci się w perzynę, a jego imię zniknie z rejestrów. Widział ludzkie relacje jako ciąg prymitywnych transakcji. Odrzucił każde złudzenie o wolnej woli, o boskim planie, o sensie cierpienia. Połknął obiektywny wszechświat w całości.

I został ostatecznie sparaliżowany. Mężczyzna żujący żwir nie potrafił podnieść ręki, by strzepnąć z twarzy brud. Nie pracował, nie walczył, nie próbował nawiązać z

nikim rozmowy. Bo z perspektywy absolutnej prawdy nie było ani jednego biologicznego, krwistego powodu, by wykonać choćby krok naprzód. Każdy ruch pozbawiony ochronnego znieczulenia jawił mu się jako wyczerpujący i absurdalny wysiłek. Gnijący w bezruchu święty prawdy był twardym dowodem na to, że nasza rzekoma mądrość polega na sztuce okłamywania samych siebie.

Cofnąłem się o krok. Z mojego gardła wyrwał się cichy, spazmatyczny oddech przerażenia. Przez ułamek sekundy widmo tej sterylnej jasności próbowało wślizgnąć się pod moją czaszkę, grożąc mi tym samym, lodowatym bezruchem. Mój żołądek znów się skurczył. Tym razem ból był tak przenikliwy, że musiałem oprzeć się dłonią o mokry mur, żeby nie upaść na kolana. Pragnienie ucieczki w kłamstwo osiągnęło we mnie poziom ostrego głodu narkotycznego.

Obróciłem się na pięcie i pobiegłem z powrotem. Biegłem przez deszcz, przeskakując przez kałuże, uciekając w stronę głównej ulicy, z której wciąż biło ciepłe światło. Roztrąciłem ramieniem kilku zgarbionych przechodniów i wpadłem do dusznego, rozgrzanego wnętrza piekarni. Rzuciłem na marmurowy blat wszystkie drobne, jakie miałem.

Spojrzałem piekarzowi prosto w jego puste oczy i wyciągnąłem rękę.

Wziąłem do ust małą, okrągłą, posypaną grubym cukrem bułkę. *„Jutro ułożę sobie życie. Mam jeszcze mnóstwo czasu, by wszystko naprawić”.*

Wbiłem zęby w miękkie, puszyste ciasto. Słodki, lepki smak masła rozszedł się po moim języku, uderzając prosto w mózg gęstym, obezwładniającym ciepłem sztucznego ocalenia. Czułem, jak połykam ten lepki fałsz. Wiedziałem w każdej komórce ciała, z bezwzględną racjonalnością, że jest to kłamstwo najpodlejszej jakości, którym próbuję kupić sobie odroczenie rozpacz. Zdawałem sobie sprawę, że do wieczora to zdanie zamieni się w raniący wargi popiół.

A jednak z radością, z morderczą, godną pożalowania ulgą, pozwoliłem, by gorące złudzenie rozeszło się po moich wychłodzonych żyłach. Mój kręgosłup się wyprostował, a zaciśnięte płuca wpuściły świeże powietrze. Przełknąłem ostatni kęs i wyszedłem z powrotem na deszcz. Byłem kolejnym okłamanym głupcem, ale przynajmniej miałem znów siłę, by pójść przed siebie.

FABRYKA JUTRZEJSZYCH LUDZI

Pierwsze uderzenie tego zapachu wywołało we mnie natychmiastowy skurcz żołądka. To była mikstura tak specyficzna, że jej obecność w powietrzu funkcjonowała niczym odcisk palca konkretnego terytorium. Gryzący w krtań pył taniej białej kredy, drażniąca wonią amoniaku pasta woskowa do podłóg z linoleum, kwaśny, gęsty od hormonów zapach gnijącego w kącie korytarza mopa, rozgrzany plastik nerwowo gniecionych w dłoniach długopisów i jeszcze jeden, dominujący akord: ostra, metaliczna nuta chronicznego, dziecięcego lęku. Strachu przed byciem wywołanym po nazwisku.

Przekroczyłem potężne, podwójne drzwi i znalazłem się w nieskończenie długim, słabo oświetlonym korytarzu. Podłoga była pokryta szarym tworzywem, na którym kroki tysięcy nóg z biegiem lat wypaliły widoczne ścieżki migracyjne. Ściany pomalowano do połowy wysokości na zgniłą, instytucjonalną zieleni — barwę nałożoną wyłącznie po to, by maskować odciski palców i brud, barwę z definicji niebudzącą absolutnie żadnej nadziei.

Trafiłem do Fabryki Jutrzejszych Ludzi — miejsca, które w uśmiechniętych kuratorskich broszurach wzniośle określa się mianem szkoły.

Każdy obywatel wszystkich znanych krain na pewnym etapie musiał zostać poddany procesom obróbki w tym zakładzie. Architektura tego terytorium zdradzała jego bezwzględny, industrialny cel na długo przed tym, zanim przeanalizowano

tutejsze programy. Ta monstrualna, wielopiętrowa maszyneria funkcjonuje na rzeźnickich zasadach taśmy montażowej, mając przed sobą wyłącznie jeden cel produkcyjny: złamanie kinetycznej energii młodego ssaka i zmuszenie go do potulnego oczekiwania na rozkaz.

Wszedłem do jednego z setek identycznych pomieszczeń. Uderzyła mnie tu z pełną mocą tutejsza fizyka absurdu. Pokój wypełniały ciężkie, dębowe ławki ustawione z militarną precyzją, rząd za rzędem, wszystkie frontem do jednej, zielonej ściany — ołtarza autorytetu. Żadne dziecko nie widziało tu twarzy swojego kolegi; widziało wyłącznie potylice innych.

Zająłem wolne miejsce w czwartym rzędzie. W chwili, gdy moje pośladki dotknęły twardego siedziska, rozległ się ostry, metaliczny zgrzyt. Oparcie i blat ławki, napędzane systemem żeliwnych przekładni w podłodze, gwałtownie zatrzasnęły się na moim ciele. Pancerne ramiona objęły moje żebra, a deska pod blatem unieruchomiła miednicę i kolana, wymuszając identyczny, lekko pochylony kąt całego kręgosłupa. Spróbowałem się wyprostować. Niemożliwe. Ławka w Fabryce nie jest meblem. Jest ortopedycznym imadłem, zaprojektowanym przez inżynierów uległości.

Sterroryzowany tym żelaznym uściskiem, zrozumiałem, na czym polegał pierwszy etap tutejszej obróbki. Edukacja zaczynała się od bezpardonowego zamachu na biologię. Ciało młodego zwierzęcia jest drapieżnym instrumentem do empirycznego pożerania świata. Domaga się biegu, skakania, dotyku materii. A tutaj maszyna wymuszała na tym ciele skurczenie się do wymiaru kartki formatu A4. Karząc za każdą próbę uniesienia bioder, system uczył, że ciało nie należy już do ciebie. Zostało wydzierzawione urzędowi, a najwyższą cnotą jest zastygnąć w bezruchu, nie przeszkadzając maszynie w pracy.

Zaraz po wymuszeniu bezruchu następowała lekcja druga. Mały chłopiec w wypłowiałym swetrze od kilkunastu minut kręcił się niespokojnie w zaciśniętym imadle. Jego twarz lśniła od potu, usta miał zaciśnięte. Potwornie potrzebował oddać mocz. Biologia waliła do drzwi jego świadomości potężnym obuchem.

W każdym zdrowym ekosystemie ssak po prostu odwróciłby się i poszedł ulżyć swoim nerkom. Ale chłopiec podniósł dłoń w górę, łamiąc sobie nadgarstek w wyuczonym, żebraczym geście.

Na podwyższeniu, na katedrze za wielkim blatem, siedział Nadzorca. Miał martwe, puste oczy i palce żółte od tytoniu. Przez długie sekundy ignorował uniesioną, trzęsącą się z bólu rękę dziecka. W końcu z teatralnym westchnieniem spojrzał na chłopca.

— Proszę pana, czy mogę wyjść do toalety? — wykrztusiło dziecko ze skomleniem w głosie. Nadzorca spojrział na zegarek. Powoli obrócił obrączkę na palcu. — Trzeba było o tym myśleć na przerwie. Usiądź, zaraz dzwonek.

Chłopiec zbladł. Opuścił ramię, zmusił swoje ciało do bolesnego skurczu zwieraczy i uwięził ból w środku, zasznurowany w ortopedycznym imadle na kolejne kwadransy.

Ta drobna scena nie była objawem sadyzmu jednego pracownika, lecz rdzeniem programowego urobku. Zmuszając do błagania obcego dorosłego o zgodę na załatwienie absolutnie podstawowej potrzeby fizjologicznej, Fabryka uczyła głębokiego zignorowania sygnałów własnego ciała na rzecz zewnętrznego autorytetu. Twoje najboleśniejшие potrzeby nie miały najmniejszego znaczenia w zderzeniu z administracyjnym harmonogramem urzędu. Kiedy od najmłodszych lat łamie się w człowieku odruch słuchania własnych nerek, ten sam człowiek za dwadzieścia lat nie obroni swoich granic przed wykorzystującym go szefem czy państwem żądającym daniny z jego krwi. Edukacja polegała tu na przecięciu nerwu błędnego. Produkowano jednostki zdolne do bezwarunkowej uległości.

Mechanizm ten został doprowadzony do rzeźniczej perfekcji przy czarnej ścianie na przodzie sali, tam gdzie znajdowała się monstrualna tablica.

Wezwano do niej dziewczynkę. Jej ruchy wciąż zdradzały resztki dzikiej witalności. Miała szeroko otwarte, wibrujące od bystrości oczy. W jej głowie toczył się właśnie potężny, fascynujący proces synaptyczny. Otrzymała problem do rozwiązania.

Obserwowałem, jak w powietrzu nad jej głową materializuje się odpowiedź. Była to żywa, pulsująca, organiczna bryła skojarzeń i intuicji. Dziewczynka doszła do wniosku drogą całkowicie nieszablonową, łącząc dziedziny z gracją, która zdradzała przebłysk najczystszej geniuszu. Stworzyła nieregularny, wielowymiarowy konstrukt i z drżącym uśmiechem zaoferowała go światu.

Nadzorca wstał. W prawej dłoni ścisnął potężną, żeliwną matrycę w kształcie surowego sześcianu, nasmarowaną na brzegach czerwoną kredą. Matryca ta była fizycznym wcieleniem największej świętości Fabryki: „Klucza Odpowiedzi”.

Zbliżył się do dziewczynki i z impetem wtłoczył żeliwną foremkę w wibrującą, kolorową bryłę jej umysłu. Rozległ się mokry dźwięk ciętej tkanki. Matryca była mniejsza, twardsza i uboższa od jej myśli. Nadzorca rzeźnickim ruchem odciął wszystko, co wystawało poza dopuszczalny schemat testowy. Odciął jej intuicję i najdrobniejszą wypustkę krytycznego, wątpliwego myślenia.

Kawałki jej odciętego geniuszu upadły na podłogę z szelestem więdących liści i natychmiast obróciły się w szary kurz. W powietrzu pozostał tylko mdły, ociosany kloc.

— Błąd metodyczny — warknął mężczyzna, zaznaczając na jej piersi czerwoną kredą stygmat błędu. — Dochodzimy do wniosków tylko tak, jak zapisano w podręczniku. Siadaj.

Widziałem, jak z oczu dziecka uchodzi światło. Jej plecy się zgarbiły. Wróciła do ławki, pozwoliła, by imadło znów ją uwięziło, i z głuchym stęknieniem przyjęła wyrok. Ta amputacja wyobraźni odbywała się jawnie i przy powszechnym przyzwoleniu tłumu. System brał na blaty wielowymiarowe dusze, po czym przez dwanaście lat systematycznie je strugał i ścisnął, aż stawały się identycznymi, szarymi, pozbawionymi ostrych krawędzi kołkami, idealnie pasującymi do otworów wywierconych przez rynki pracy. Zbrodnią Fabryki nie było to, że nie uczyła poezji. Zbrodnią było to, że uczyła śmiertelnego strachu przed posiadaniem myśli, której nie przewidziano w procedurze.

Aż w końcu nadeszło ostateczne znieczulenie. Potężny głośnik ukryty pod brudnym sufitem zaniósł się przeraźliwym, elektronicznym piskiem dzwonka.

Dźwięk uderzał bezpośrednio w korę mózgową. Widziałem, jak wszyscy wokół, jak na komendę układu scalonego, przestają oddychać. W jednej milisekundzie, chociaż właśnie w innej części sali rodziła się fascynująca dyskusja, wszystko natychmiast zamarło. Notatniki zatrzasnęły się z hukiem. Długopisy rzucono na blaty. Nikt nie dokończył zdania.

Zrozumiałem twardą fizykę dzwonka. To nie był sygnał oznaczający przerwę, lecz treserski bat. Fabryka kodowała w umysłach przekonanie, że żadna fascynacja nie jest warta zgłębiania ponad urzędowy przydział czterdziestu pięciu minut. Nieważne, jak bardzo coś cię pochłaniało — na komendę obcego alarmu musiałeś porzucić myśl i karnie przepiąć uwagę na losowy, niezwiązany temat. Dzwonek metodycznie rznął organiczne skupienie na cieniutkie, nerwowe plasterki. Formatowano neurotyków gotowych zostawić pasję w połowie słowa tylko dlatego, że maszyna wydała dźwięk końca zmiany.

Moja ucieczka powiodła mnie prosto w dół, schodami z lastryko, do ogromnej, podziemnej hali, która służyła w Fabryce jako rampa wysyłkowa. Odbywał się tu końcowy rytuał absolwentów.

Na betonowej posadzce stały w absolutnej, potwornej ciszy tysiące ciał. Twarze pozbawione jakiegokolwiek wyrazu, zgaszony wzrok i idealnie odprasowane

kołnierzyki zapięte pod samą krtani. Po dwunastu latach żeliwnych matryc i dzwonek byli dziełem doskonałym.

Każdy z nich po kolei podchodził do wysokiej, stalowej taśmy. Ramiona mechanizmów wypychały cienkie, wydrukowane na tanim kartonie certyfikaty i natychmiast — uderzeniem obciążonej ołowiem prasy — zawieszały im na szyjach metalowe odważniki z ocenami. Jednostki z cyfrą pięć uśmiechały się słabo, połykając obietnicę, że papier z nadrukiem przełoży się na sens życia. Zmiazdżone ciała o mniejszych odważnikach zwijały się pod ciężarem wstydu. Wszyscy ulegli iluzorycznemu zakodowaniu — uwierzyli bezwzględnie, że ocena z Fabryki ma cokolwiek wspólnego z ich obiektywną wartością we wszechświecie.

Zdałem sobie tam sprawę z dławiącego paradoksu. Fabryka przez całe życie wrzeszczała w kłamliwych broszurach, że służy temu, by dzieci „odnalazły siebie”. A w istocie nagradzała je przez kilkanaście lat za jedno: za to, jak dobrze potrafiły udawać, że nie istnieją. Za to, jak skutecznie stłumiły własną naturę i opanowały zdolność nierobienia problemu maszynie. Zamiast kształtować umysły, Fabryka produkowała z ludzkiego mięsa idealne klocki hamulcowe dla pędzącej maszyny dorosłego świata.

Ostatni chłopiec w rzędzie, o grubych dłoniach ukrytych w za małym garniturze, odebrał z metalicznym stukiem swój papier. Taśmociąg drgnął i zatrzymał się. Huczący tłum ustandaryzowanych umysłów obrócił się i wolnym krokiem ruszył w stronę olbrzymich bram wyjściowych.

Kiedy przekraczali próg Fabryki, w ich ciałach zaszła już nieodwracalna mutacja. Byli teraz fizycznie dorosłymi ludźmi, mieli zakładać rodziny i budować cywilizację, ale ja widziałem prawdę o ich układzie nerwowym. Widziałem, jak stając na przejściu dla pieszych, instynktownie zaciskają szczęki i czekają, aż ktoś niewidzialny wyda z siebie dźwięk dzwonka zwalniającego z bezruchu. Widziałem, jak przed podjęciem najprostszej życiowej decyzji ich mięśnie barków drgają w stłumionym, żalonym odruchu podniesienia ręki po urzędową zgodę. I wiedziałem, że do końca swoich dni będą desperacko rozglądać się w dorosłym życiu za kimś z czerwoną kredą, kto ostatecznie przystawi im stempel z oceną, by w ogóle uwierzyli, że mają prawo istnieć.

Oparłem czoło o chłodną poręcz barierki. Największa grabież życia wcale nie odbywa się za pomocą gwałtu czy zbrojnego napadu. Odbywa się w biały dzień, przy zapachu pasty do podłóg i bezlitosnym trzasku matrycy, a zdeorientowani rodzice na trybunach biją brawo, gdy system odcina ostatni kawałek serca ich dziecka. Odwróciłem się od tego widoku, otrzepałem płaszcz z niewidzialnego kredowego

pyłu i ruszyłem pod prąd, desperacko pragnąc uciec, by ocalić w głowie ostry margines niczemu niepodporządkowanej niezgody.

OGRÓD ZAMIENNYCH CIAŁ

Zmysłowy atak tego miejsca był tak gęsty, że stawał w gardle fizyczną przeszkodą. Powietrze miało tu fakturę lepkiego, przegrzanego syropu. Kiedy tylko pchnąłem ciężką, kutą z żelaza bramę, w nozdrza uderzyła mnie potężna, dławiąca mieszanka. Z jednej strony był to najczystszy, organiczny zapach wilgotnego czarnoziemiu, torfu i parującego w słońcu naturalnego nawozu. Z drugiej jednak, ta pierwotna woń ziemi była bezlitośnie przecinana ostrym, chemicznym fetorem: szczypiącym w oczy amoniakiem, oparami kwasów złuszcających, zapachem palonego laserem naskórka i sterylną, lodowatą wonią chirurgicznej stali.

Szedłem szeroką, wysypaną idealnie symetrycznym, białym żwirem alejką. Trawa po obu stronach ścieżki była przycięta co do milimetra, a jej zieleń miała w sobie coś toksycznego i nienaturalnego, jak ufarbowany plastik. Nagle usłyszałem rytmiczne, urywane sapanie.

Spojrzałem w lewo. Na środku trawnika stał człowiek. Był nagi od pasa w górę i mocno, niemal nierozzerwalnie, przywiązany grubymi, skórzanymi pasami do potężnego, żeliwnego trejażu. Nie odpoczywał. Z twarzą wykrzywioną w morderczym, zwierzęcym wysiłku, oplatał własne prawe ramię miedzianym drutem florystycznym. Działał z metodycznym, rzeźnickim skupieniem. Zaciskał metalowe obręcze na swoim bicepsie, obracając drut kombinerkami z taką siłą, by wymusić na mięśni pożądaną, wyolbrzymioną i całkowicie nienaturalny kształt. Traktował

własną kończynę dokładnie tak, jak japońscy mistrzowie traktują krzewy bonsai — łamiąc gałęzie, tamując dopływ soków i krępując naturalny rozrost, by podporządkować drewno geometrycznej wizji umysłu. Drut wżynał się w jego skórę. Z rany powoli, kropla po kropli, ściekała gęsta krew, wsiąkając w idealnie przystrzyżony, szmaragdowy trawnik. Mężczyzna nawet nie mrugnął. Jego oczy były wpatrzone w rozstawione przed nim lustro z obłąkaną, religijną fascynacją.

Znalazłem się w Ogrodzie Zamiennych Ciał.

To tutaj cywilizacja postanowiła ostatecznie rozprawić się z najbardziej upokarzającym faktem ludzkiej egzystencji: z tym, że jesteśmy uwięzieni w gnijącym, podlegającym entropii mięsie. Na tym rozległym, dumnym terytorium obywatele pielęgowali nie róże, nie storczyki i nie dęby. Pielęgowali wyłącznie samych siebie. Ziemia wokół była jedynie tłem dla wielkiego, botanicznego projektu, w którym ciało człowieka zostało zredukowane do roli odpornej, źle zaprojektowanej rośliny, wymagającej nieustannej, brutalnej interwencji.

Szedłem dalej, mijając kolejne geometryczne kwatery tego obłądnego parku. Kilkanaście metrów od alejki, w cieniu żywopłotu, klęczała kobieta. Miała na sobie elegancki, jedwabny szlafrok. Na pierwszy rzut oka wyglądała, jakby z nabożną czcią wrywała chwasty ze swojej ukochanej grządki. Rytmicznie pochylała się do przodu i szarpała dłońmi. Kiedy jednak podszedłem bliżej, dźwięk, który usłyszałem, nie był suchym trzaskiem pękających korzeni perzu. Był to cichy, mokry odgłos ciętej tkanki.

Kobieta wcale nie pielęgała ziemi. W prawej dłoni trzymała ostre, lśniące szczypce ogrodnicze. Z przerażającą precyzją łapała nimi mikroskopijne, ledwo widoczne fałdy miękkości na swoim własnym brzuchu i biodrach. Szarpała i odcinała je z cichym sykiem wciąganego przez zęby powietrza. Traktowała swój własny, biologiczny tłuszcz, który miał ją ewolucyjnie chronić przed zimnem, jak inwazyjny patogen. Jak ohydny chwast, który bezczelnie zakłócił idealny, matematyczny plan architektoniczny jej szkieletu. Mimo że jej jedwabny szlafrok powoli nasiąkał czerwienią, na jej twarzy nie było widać cierpienia. Malowała się na niej upiorna ekstaza samokontroli. Była dumna. Uważała swój ból za najwyższą cnotę, za dowód moralnego triumfu nad leniwą materią.

Oglądając jej zakrwawione szczypce, dotarłem do jądra największego społecznego kłamstwa, jakim karmiono nas na powierzchni. Powszechnie, w kolorowych broszurach i w łagodnych, telewizyjnych wyznaniach, nazywamy takie działania „dbaniem o siebie”. Mówimy o miłości do własnego ciała. O szacunku do świątyni ducha.

Jakże głęboko odrażająca jest to hipokryzja. To, co działo się w Ogrodzie, nie miało z miłością nic wspólnego. Problemem tego terytorium wcale nie było to, że ludzie dotykali własnych ciał, karmili je, wzmacniali tkanki czy leczyli rany. To było naturalne, biologiczne prawo przetrwania. Prawdziwa zgroza polegała na tym, że każdy, absolutnie każdy taki gest wyrastał tutaj nie z opiekuńczości, lecz z rdzennie zakorzenionej pogardy. To była wyrafinowana, systemowo nagradzana forma autoryzowanej nienawiści do własnej biologii, sprytnie przebrana w lśniący, pastelowy kostium troski.

Nasza relacja z ciałem nie jest relacją gospodarza z ukochanym domem. Ciało to nasz pierwszy, rdzennie obcy wróg, z którym zmuszono nas podpisać pakt o nieagresji, ale który nieustannie łamie warunki umowy. Umysł, ten arogancki dyktator w czaszce, wymyśla sobie formę, geometrię i kontur. Wierzy, że skoro posiada wolę, to materia musi się jej poddać. Ale mięso — ta oporna, lepka struktura chrząstek, tłuszczu, limfy i starzejących się komórek — ma to całkowicie w pogardzie. Mięso ulega grawitacji. Mięso gromadzi wodę. Mięso marszczy się pod wpływem słońca i siwieje pod wpływem czasu.

Dlatego ci ludzie nie pielęgowali ciał. Oni je brutalnie tresowali. Prowadzili niekończącą się wojnę z biologią, używając głodówek, kwasów i żelaza jako narzędzi tortur. Chcieli ukarać własne tkanki za to, że odmówiły bycia posłusznym plastikiem. Im bardziej jednak próbowali to obiektywne mięso skontrolować, im mocniej je cięli i formowali, tym wyraźniej docierało do nich to przerażające, klaustrofobiczne odkrycie: byliśmy i zawsze będziemy umysłami zamkniętymi w workach z białkiem, które w każdej sekundzie pracują na naszą niekorzyść.

Skręciłem w stronę serca terytorium. Nade mną wyrósł potężny, pokryty zaporowanym, matowym szkłem pawilon. Drzwi do szklarni otworzyły się z cichym sykiem, uwalniając na zewnątrz chmurę gorącej, sterylnej pary. Wszedłem do środka i natychmiast uderzył mnie specyficzny, duszący mikroklimat.

To była Szklarnia Narządów Zamiennych.

Pod rzędami agresywnych, fioletowych lamp UV, w ceramicznych, wypełnionych sterylnym żelem donicach, nie rosły pomidory ani pnące róże. Do potężnych, płaczących się winorośli podpięte były medyczne kroplówki, z których kapiała przezroczysta, gęsta od hormonów i komórek macierzystych ciecz. Na gałęziach owocowały ludzkie tkanki. Dojrzewały tu nowe, ostro wyciosane męskie żuchwy. Pęczniały pozbawione ani jednego pora powłoki skórne na czoła. W ciężkich, ociekających rosą kiściach zwisały napięte pośladki, usta o barwie dojrzałych, spuchniętych malin i nowe, gęste mieszki włosowe.

Wzdłuż tych upiornych, anatomicznych grządek spacerowali obywatele. Mieli w rękach wiklinowe koszyki, zupełnie jak kupcy na wiejskim targu. Przechadzali się powoli, w ciszy, bezwstydnie dotykając i macając owoce ludzkiej technologii. Zatrzymywali się, naciskali dojrzewające na gałęziach nosy, by sprawdzić sprężystość chrząstki, i kręcili głowami z niezadowoleniem, gdy profil o milimetr odbiegał od wzorca.

Zatrzymałem się przy stanowisku do szczepień, wyłożonym białymi, ceramicznymi kafelkami, na których lśniły ostre jak brzytwa narzędzia. Obserwowałem młodego mężczyznę. Stał przed wielkim, podświetlonym lustrem. Jego twarz, z perspektywy każdego normalnego świata, była absolutnie poprawna. Nie dla niego. Jego oczy były pełne ciemnego, wrzącego wstrętu. Odkładał do koszyka świeżo zerwaną z pnącza nową, kanciastą linię szczęki.

Mężczyzna sięgnął na stół po potężny, metalowy sekator ogrodniczy. Nawet nie wziął znieczulenia. Z bezlitosną, mrozącą krew w żyłach furią, włożył własny podbródek między ostrza i jednym, potężnym szarpnięciem odciął dół swojej twarzy. Chwycił ruszające się, kapiące krwią mięso z kością i z najwyższym, nieskrywanym obrzydzeniem rzucił je za siebie.

Zajrzałem za krawędź stołu. To, co tam zobaczyłem, wywołało u mnie odruch wymiotny. Za szklarnią rozciągał się wielki, czarny kompostownik. Monumentalna góra biologicznych odpadów, gnijąca w słońcu. Piętrzyły się tam miliony obciętych, niechcianych nosów, opadające, wycięte piersi, zrolowane płaty skóry z cellulitem, posiwiałe skalpy i zbyt szerokie biodra. Cały ten odrzucony przez trybunał lustra biologiczny śmietnik gnił i fermentował, stanowiąc pożywkę dla gleby, z której wyrastały nowe, idealne pnącza.

Mężczyzna tymczasem podniósł z koszyka nowy, twardy owoc swojej szczęki. Przyłożył go do krwawiącej rany. Komórki, wspomagane agresywną technologią Ogrodu, natychmiast rozpoczęły zrost. Mięso związało się z kością w ciągu kilku sekund. Skóra naciągnęła się idealnie, bez jednej zmarszczki.

Mężczyzna podniósł wzrok. Spojrzał w lustro. Przez jeden, mikroskopijny ułamek sekundy jego źrenice rozszerzyły się, a klatka piersiowa opadła. Zobaczył w odbiciu boga. Zobaczył formę idealną, wyrzeźbioną zgodnie z twardym nakazem swojego architektonicznego obłądu. Pomyślał, że wreszcie zamieszka we własnym ciele bez odrazy. Że dotarł do celu.

Ta ulga trwała jednak zaledwie mgnienie oka. Chwilę później jego oczy instynktownie, z wrodzoną, śmiertelną neurozą, powędrowały wyżej. Spojrzał na łuk brwiowy. Zobaczył, że nowa, doskonała żuchwa brutalnie obnażyła mikroskopijną,

zaledwie ułamkową asymetrię lewego oka. Skóra w kąciku wydawała mu się nagle stara. Jego twarz zalała fala nowej, świeżej rozpaczy. Maszyna nienawiści zresetowała się z głośnym, bezlitosnym zgrzytem. Chwycił za sekator i obłąkanym wzrokiem zaczął rozglądać się za pnączami z powiekami.

Opuściłem stanowisko szczepień, wycofując się w najciemniejszy kąt szklarni, tam, gdzie nie docierały już promienie fioletowych lamp, a szyby zachodziły brudnym mchem. Zrozumiałem logikę tego terytorium. Każda zbrodnia popełniona na ciele w imię dążenia do absolutnej perfekcji nigdy nie zamyka procesu. Ogród nie produkuje poczucia spełnienia. Poprawienie jednego elementu w naturalnym, ewoluującym systemie natychmiast, z całą bezwzględnością optyki, uwypukla „błędy” w elementach sąsiednich. Ciało ludzkie potraktowane jak obiekt naprawczy to obiektyw, który po skorygowaniu wady na brzegach natychmiast gubi ostrość w centrum. Jest to studnia bez dna, w której każda usunięta fałda skóry jest tylko nawozem pod kolejny, znacznie potężniejszy kompleks. Obiecano im, że ciało może stać się mieszkaniem, a zamienili je w plac niekończącej się, zakrwawionej budowy, na którym inwestor codziennie rano z płaczem burzy nowo postawione ściany.

Szedłem na sam koniec pawilonu. Tam, przygnieciony stertą rdzewiejących narzędzi i zwiędłych liści, siedział on. Stary, pokurczony ogrodnik-weteran.

Człowiek ten poprawiał swoje ciało nieustannie przez ponad pięćdziesiąt lat. Jego anatomia stanowiła groteskowy, przerażający patchwork setek różnych szczepień, operacji, podwiązań i chemicznych modyfikacji. Ale teraz, w bezlitosnym świetle końca, Ogród obnażał przed nim swoje ostatnie, niepodważalne prawo.

Entropia, ostateczna bogini biologii, o którą roztrzaskują się wszystkie chirurgie tego świata, właśnie wystawiła mu rachunek. Organizmu tego człowieka nie dało się już skłonić do uległości. Ciało zbuntowało się przeciwko despotcie. Skóra ogrodnika łuszczyła się wielkimi płatami, przypominając martwą, suchą korę świerku. Jego system immunologiczny w ostatecznym akcie rebelii masowo odrzucał przeszczepione, syntetycznie podtrzymywane tkanki. Stare kości nie chciały już nosić idealnie obłych, młodych mięśni. Wszystko usychało, pękało na szwach, gniło pod warstwą perfekcyjnego makijażu.

Starzec z dławiącym skowytom rozpaczy próbował powstrzymać rozpad. Płakał. W przebitych igłami, stwardniałych od blizn dłoniach trzymał cienki, miedziany drut. Gorączkowo, z szaleństwem w martwych, podciągniętych chirurgicznie oczach, próbował fizycznie, mechanicznie zszywać swoje rozpadające się powłoki, byle tylko zatrzymać postępującą brzydotę śmierci. Igła wchodziła w martwe mięso. Drut szarpał tkankę, a ciało po prostu odpadało kawałek po kawałku, ignorując żalosne

polecenia swojego uwięzionego wewnątrz najemcy. Przegrywał. Każdy z nas, nieuchronnie i z całą brutalnością praw fizyki, zawsze na końcu przegrywał tę wojnę ze swoim mięsem.

Otworzyłem tylne drzwi szklarni i wyszedłem na chłodne, rześkie powietrze wolnego terytorium. Z głośnym hukiem zatrzasnąłem za sobą duszny szklany pawilon, w którym tysiące ludzi gniło za życia, kąpiąc się we własnej krwi i kwasach.

Stałem na ubitej ziemi. Podniosłem przed twarz własne dłonie. Spojrzałem na pęknięcia skóry wokół kciuków. Zobaczyłem asymetrię prawego palca wskazującego. Zobaczyłem wyraźne, grube niebieskie żyły pulsujące pod zbyt cienką i podatną na pęknięcia powłoką. Zauważyłem, że lewy nadgarstek drży odrobinę mocniej po wysiłku.

Patrzyłem na ten obcy, biologiczny ładunek białka i tłuszczu, przypisany mi z niezrozumiałego, ewolucyjnego rozdzielnika. Myślenie, że mogłem to skontrolować, że mogłem to do końca oswoić albo zmusić do kochania moich wizji, było największym urojeniem. Ciało nie było domem. Ciało było dziurawym, wypożyczonym na czas określony, ulegającym ciągłej awarii skafandrem. A ja byłem w nim tylko przerażonym, samotnym astronautą, który został siłą wepchnięty do ciasnego kokpitu i który, uderzając na oślep we wszystkie guziki, udawał przed kosmosem, że potrafi to urządzenie pilotować z gracją.

Opuściłem ręce, zacisnąłem palce w pięści i bez oglądania się za siebie, z pełną akceptacją własnego biologicznego wyroku, powlokłem ten zbiór komórek prosto w ciemność.

INSTYTUT PIĘKNYCH INTENCJI

Zderzenie zmysłowe w tym miejscu było tak nienaturalne, że mój układ nerwowy przez dłuższą chwilę odmawiał jego przetworzenia. Moje nozdrza wypełniła obezwładniająca, sterylna woń najczystszego, medycznego spirytusu, podchlorynu sodu i wygotowanej w autoklawach gazy. Zapach ten jednak nie występował w swojej surowej, uczciwej formie. Został z wyrafinowaną premedytacją przełamany gęstą, mdłą, lepką nutą domowej wanilii i ciepłego mleka. Była to zapachowa fuzja bloku operacyjnego i dziecięcego pokoju. Korytarz, w którym stałem, tonął w absolutnej, bezcieniowej, klinicznej bieli. Światło nie padało tu z konkretnych lamp; całe ściany i sufity emitowały łagodny, bezlitośnie równomierny blask, w którym nie dało się niczego ukryć.

Szedłem powoli, a moje kroki całkowicie tłumiła miękka, antybakteryjna wykładzina. Zatrzymałem się przed ogromną, panoramiczną szybą oddzielającą korytarz od jednego z jasnych laboratoriów.

Wewnątrz, przy stalowym, idealnie czystym blacie, stał mężczyzna w śnieżnobiałym kitlu. Miał łagodną, wzbudzającą zaufanie twarz i miękkie, powolne ruchy. Na stole przed nim leżał mały, szary ptak. Zwierzę było przerażone, jego klatka piersiowa unosiła się w panicznym, szybkim rytmie. Mężczyzna nie używał siły brutalą. Przeciwnie — gładził ptaka po głowie z niesłychaną, niemal ojcowską czułością, uspokajając go szeptem. A potem, nie przestając się uśmiechać,

powolnym, precyzyjnym ruchem dłoni złamał mu prawe skrzydło. Usłyszałem przez szybę suchy, bezduszny trzask pękającej kości.

Ptak zaniósł się bezgłośnym, dławiącym piskiem. Mężczyzna wciąż głąskał go po piórach, pochylił się nisko i wyszeptał z najczystsza, nieudawaną troską: — Robię to po to, żebyś nigdy nie rozbił się o szybę. To dla twojego dobra. Kiedyś mi podziękujesz.

Złamał drugie skrzydło. Z rany nie poleciała jednak krew. W chwili, gdy mężczyzna wypowiedział to zakłęcie, biologia uległa magii tego terytorium. Pęknięte kości oblały się przezroczystym, syntetycznym spoiwem. Ptak został trwale i nieodwracalnie okaleczony, pozbawiony szansy na lot, ale rana natychmiast przestała wyglądać jak efekt zbrodni. Wyglądała jak udany zabieg weterynaryjny. Elektroniczna tablica na ścianie laboratorium rozbłysła na zielono, a drukarka z cichym szumem wypłuła z siebie lśniący certyfikat: „Udany akt ochrony”. Mężczyzna wpiął dokument do segregatora, a ptaka, który był już tylko pełzającym po blacie kawałkiem mięsa, zgarnął do wyściełanego wata koszyka.

Wkroczyłem do Instytutu Pięknych Intencji.

To tu znajdowało się centrum dowodzenia najpotężniejszą i najbardziej zbrodniczą siłą we wszechświecie: altruizmem pozbawionym empatii. Instytut był architektonicznym pomnikiem wzniesionym na cześć ludzi, którzy krzywdzą innych, pozostając w betonowym przekonaniu o własnej dobroci. Nie było tu psychopatów czerpiących jawną przyjemność z zadawania bólu. To terytorium należało do ludzi o szlachetnych sercach, którzy każdego dnia palili świat do gołej ziemi, absolutnie pewni, że przynoszą mu ciepło.

Fizyka w Instytucie opierała się na jednym morderczym paradoksie. Skutek działania był wielkością wymazaną z równań. Jedynym kryterium, według którego oceniano akt fizyczny lub psychiczny, była intencja. Słowa „przecież chciałem dobrze” działały tu jak najsilniejszy chemiczny koagulant i natychmiastowy immunitet karny. Jeśli sprawca ranił lub niszczył drugiego człowieka, ale w swoim rdzeniu robił to z troski — krew ofiary zamieniała się w zdezynfekowaną, bezwoną wodę. Rana przestawała być dowodem, a stawała się godnym ubolewania incydentem na drodze do ocalenia.

Mijałem kolejne przeszkłone kwatery. Zatrzymałem się przy drzwiach z matowego szkła z napisem: *Oddział Ortopedii Wychowawczej*.

Wewnątrz, na hydraulicznym stole, leżał kilkunastoletni chłopak. Przywiązany szerokimi pasami, lśnił od zimnego potu. Nad nim stał jego ojciec. Mężczyzna o szlachetnych rysach twarzy, w rozpiętej pod szyją koszuli, wyglądający na

śmiertelnie zmęczonego pracą. W dłoni trzymał potężny, chirurgiczny młotek i zestaw długich gwoździ ze stali nierdzewnej.

Chłopak miał szeroko otwarte, przerażone oczy. Chciał podróżować, jego ciało rwało się do nieprzewidywalnego pędu, który stanowił istotę jego młodego życia. Ojciec jednak widział w tym pędzie wyłącznie ryzyko rozczarowania i upadku. Widział zagrożenie.

Mężczyzna przyłożył gruby, stalowy gwoździec do rzepki w kolanie syna. — Ojcze, błagam cię, nie rób tego! — krzyknął chłopak, szarpiąc się w pasach. — Ja chcę chodzić swoimi drogami! Ojciec pogładził go po mokrych włosach. W jego oczach szkliły się najprawdziwsze, autentyczne łzy współczucia. Cierpiał, widząc strach własnego dziecka, ale był w tym cierpieniu nieskończenie narcystyczny. — Wiem, że to teraz boli, synku. Ale świat jest brutalny. Musisz twardo i bezpiecznie stać na ziemi. Robię to wyłącznie dla twojego dobra.

Zamachnął się i z potwornym echem uderzył młotkiem w łeb gwoździa. Stał wbiła się w staw kolanowy, miażdżąc chrząstkę i na zawsze unieruchamiając nogę chłopaka w wyznaczonej przez ojca pozycji. Chłopak zawył, a z rany trysnęła jasnoczerwona, tętnicza krew.

Ale ojciec natychmiast wypowiedział formułę. — Przecież ja cię tylko chronię. Moje intencje są czyste.

Krew w ułamku sekundy utraciła kolor. Zmieniła się w przezroczysty płyn fizjologiczny, który spłynął po kafelkach do kratki ściekowej. Rozerwane tkanki zasklepiły się wokół gwoździa cichym sykiem zgrzewanego plastiku. Ból zniknął, zastąpiony dożywotnim paraliżem. Chłopak przestał krzyczeć. Jego oczy stały się puste, a twarz przybrała wyraz całkowitej uległości. Opuścił głowę i wyszeptał: — Dziękuję. Dziękuję, że nie pozwoliłeś mi popełnić błędu.

Ojciec odłożył młotek. Otarł pot z czoła z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku. W jego nieskazitelnym umyśle nie był rzeźnikiem, który właśnie trwale okaleczył swoje dziecko. Był męczennikiem ojcostwa. Złamał mu nogi, by ten nie musiał ryzykować upadku.

Odszedłem od szyby z uczuciem obrzydzenia ściskającym mi gardło. Korytarz Instytutu rozszerzył się w przeszkloną galerię, analityczne serce tego miejsca: Tablice Czystości Moralnej.

Ściany pokrywały gigantyczne, interaktywne wykresy. Przechadzali się przed nimi naukowcy w kitlach, analizując algorytmy. Podeszedłem do największej tablicy. Oś pozioma, oznaczająca „Skutek”, była fizycznie zablokowana na wartości zero. Nieważne, jak daleko przesuwiał się suwak zniszczenia — czy dotyczył złamanej

psychiki, zniszczonej kariery czy uduszonego partnera — wykres nigdy nie rejestrował spadku. Cała uwaga systemu skupiała się na osi pionowej: „Czystości Zamiaru”.

Matematyka tego terytorium brzmiała jasno: każda krzywda pomnożona przez szlachetną intencję sprawcy dawała wynik moralnie dodatni.

Podśluchałem rozmowę dwóch profesorów przy ekspresie. — Wciąż odnotowujemy opór poznawczy w niższych sektorach — mówił jeden, miarowo stukając łyżeczką w brzeg porcelany. — Skupiają się na uszkodzeniach tkanek czy parametrach życiowych obiektu. Całkowicie ignorują wektor woli. — Błąd optyki — przytaknął drugi, wpatrzony w ekran tabletu. — Skutek biologiczny to wyłącznie zmienna poboczna. Jeśli intencja na osi altruizmu jest w pełni zachowana, ewentualna degradacja obiektu staje się marginesem błędu statystycznego. Nie możemy pozwolić, by ubytki w materiale psuły wskaźniki moralne całego systemu.

Zrozumiałem mechanikę tego potwornego narcyzmu. Dobra intencja to w rzeczywistości najtwardsza zbroja, zwalniająca z obowiązku patrzenia w oczy drugiemu człowiekowi. Oprawca w tym świecie nigdy nie musiał mierzyć się z ciężarem zła, które wyrządził, ponieważ jego własna wola bycia zbawcą wypalała do cna wszelkie poczucie winy. Byli najniebezpieczniejszymi drapieżnikami we wszechświecie. Drapieżnik, który wie, że pożera, czasem czuje sytość. Drapieżnik, który wierzy, że karmi, nie zatrzyma się nigdy.

Ale w każdym sterylnym, lśniącem budynku musi istnieć miejsce, w którym upycha się odpady.

Znalazłem stalowe drzwi windy ukryte na końcu jednego z korytarzy. Na panelu świecił się tylko jeden przycisk kierujący w dół: *Poziom -4*. Wcisnąłem go.

Winda opadała bardzo długo. Powietrze gęstniało, zmieniając się w ciężką, zimną wilgoć. Kiedy drzwi rozsunęły się z rdzewiejącym zgrzytem, w moje usta uderzył zapach, którego żaden podchloryn sodu nie zdołałby zneutralizować. Smród gnijącego mięsa, zastałej limfy, moczu i beznadziei.

Wkroczyłem do Piwnic Efektów Ubocznych.

Były to niekończące się hale magazynowe, oświetlone mrugającymi, pomarańczowymi żarówkami. Tysiące metalowych regałów. Na każdym z nich leżały szczelne foliowe worki, łudząco przypominające worki z prosektorium.

Podszedłem do pierwszego rzędu. Z przerażeniem odkryłem, że folia w wielu z nich lekko się unosi. Ludzie w środku wciąż oddychali. Znajdowali się w stanie wegetatywnego zawieszenia, pozbawieni możliwości ruchu. Każdy worek posiadał urzędową etykietę z wielką czerwoną pieczętką: „Niefortunny Efekt Uboczny Troski”.

Zacząłem czytać karty pacjentów na karabińczykach.

W pierwszym worku leżała dorosła kobieta. Opis głosił: *Udużona miłością matczyną. Sprawca: Matka. Intencja: Pragnęła chronić córkę przed złem świata. Skutek: Całkowity paraliż decyzyjny ofiary, głęboka depresja, wycofanie z życia.* Sprawca zwolniony z winy z powodu nadmiaru matczynej miłości. Kobieta leżała w folii ze szklistymi oczami, starzejąc się w całkowitym bezruchu.

Szedłem dalej. Mężczyzna, lat czterdzieści. *Zmiażdżony nadmierną wyrozumiałością partnerki.* Żona przez lata znosiła jego nałogi i upadki, zawsze go tłumacząc. Intencja: Chciała go ocalić, by poczuł akceptację. Skutek: Odbierając mu ból upadku, odebrała mu powód do wstania z kolan. Zamieniła go w pasożyta pozbawionego woli życia. On gnił w piwnicy, a ona na górze mogła nosić order męczennicy.

Czytałem kolejne etykiety. Przyjaciele zniszczeni przez rady rzucane z braku własnych problemów. Ludzie sterroryzowani pomocą, o którą nigdy nie prosili.

Te hale udowadniały ostatecznie, że piekło nie jest wybrukowane dobrymi chęciami w sensie metaforycznym. Ono składało się z obiektywnych, złamanych życiorysów tych, którzy mieli nieszczęście znaleźć się na linii strzału czyjegoś altruizmu. Uwięzieni tutaj nie mieli prawa do głośnej nienawiści wobec swoich oprawców. Jeśli niszczy cię człowiek z łzami w oczach i miłością na ustach, co możesz zrobić? Ofiary Instytutu nie mogły walczyć. Mogły jedynie gnić w poczuciu bycia niewdzięcznymi. Odbierano im tu nie tylko godność, ale i obiektywne prawo do obrony własnego gniewu.

Odszedłem od regałów. Smród i brak tlenu przyprawiały mnie o mdłości. Zawróciłem do windy, zdesperowany, by uciec na powierzchnię z dala od cmentarzyska cudzych dobrych uczynków.

Kiedy drzwi na górze się otworzyły, czekał na mnie ktoś nowy.

Mężczyzna o siwych skroniach, dyrektor obiektu, ubrany w nieskazitelnie czysty, biały kitel. Stał z rękami założonymi na plecach, a na jego twarzy malował się wyrozumiały uśmiech, od którego poczułem autentyczne przerażenie.

— Widział pan dół — powiedział aksamitnym głosem. To nie było pytanie. Spokojne stwierdzenie faktu. Skinąłem głową, z trudem przełykając ślinę. — Śmierdzi, prawda? Niestety, to koszty postępu. Ale nie o nich powinniśmy myśleć.

Dyrektor sięgnął do szafy ukrytej w ścianie. Ściągnął identyczny jak jego, pachnący nowością, śnieżnobiały kitel i wyciągnął go w moją stronę. — Widzę w pańskich oczach ciężar, przyjacielu — ciągnął, zbliżając się powoli. — Wiem, jak bardzo boli branie odpowiedzialności za każdy swój ruch, za każdy zadany cios. W

tamtym świecie, jeśli kogoś uderzysz, musisz żyć z plamami krwi, których nie da się sprać z rąk. Z ciągłym ważeniem swoich brudnych decyzji.

Czułem słodki zapach wanilii płynący z jego skóry. Podniósł kitel do góry. Materiał zaszeleścił, był syntetyczny i śliski jak teflon. — Ten płaszcz ma niezwykłą właściwość, stworzoną w naszych laboratoriach — szeptał dyrektor konspiracyjnie. — Nie przyjmuje brudu. Nie absorbuje rdzy. Wystarczy, że z głębi serca powiesz, że chcesz dobrze. Jeśli to zrobisz, będziesz mógł wchodzić w ludzkie życia z butami, zniszczyć ich plany i podporządkować ich własnej woli. I nikt nigdy nie nazwie cię oprawcą. Będziesz mógł spać spokojnie. Ten kitel zdejmuję z ciebie ostateczny ciężar cywilizacji: ciężar odpowiedzialności za skutki działań. Załóż go. Wreszcie poczujesz ulgę.

Wpatrywałem się w nieskazitelną biel materiału. Moje ramiona po tych wszystkich podróżach bolały od ciężaru wolności. Pokusa uśpienia sumienia wślizgnęła się w mój umysł gładko. Mieć czyste ręce bez względu na ilość zadanych ran. To było najniebezpieczniejsze jabłko, jakie ktokolwiek podał mi podczas całej tej wędrówki.

Powoli, jak w transie, podniosłem dłoń i chwyciłem za brzeg kitla. Materiał był przeraźliwie chłodny.

A potem przypomniałem sobie smród z Poziomu -4. Twarz chłopaka wkręcanego w imadło chirurgicznych śrub ojcowskiej ułudy.

Zrozumiałem najtwardsze prawo istnienia. Jesteśmy wolni i ludzcy wyłącznie w tym ułamku sekundy, w którym ponosimy brutalne, fizyczne konsekwencje własnych uderzeń. Ucieczka w dobrą intencję to po prostu ucieczka tchórza w sterylną zbroję kogoś, kto zasypia błogo przy dźwiękach niszczonej wokół siebie życiorysów. Prawdziwa uczciwość polega na gotowości ubrudzenia rąk i odwadze stanięcia nad swoimi szkodami z przyznaniem: tak, to mój cios, to moje dzieło.

Zacisnąłem dłoń na kołnierzu. Nagłym szarpnięciem wyrwałem lśniący, biały kitel z rąk dyrektora i upuściłem materiał na podłogę.

— Wolę mieć ręce we krwi i wiedzieć, czyja to krew, niż nosić biel, która nie pamięta żadnej rany — powiedziałem, wbijając w niego zimny wzrok.

Odwrociłem się i ruszyłem ciężkim krokiem w stronę oszklonych drzwi wyjściowych. Rozepchnąłem je barkiem. Uderzyło mnie chłodne, zanieczyszczone smrodem spalin powietrze zewnętrznego terytorium. Wciągnąłem głęboko ten obiektywny brud, wiedząc ponad wszelką wątpliwość, że nigdy nie zamienię dławiącego ciężaru własnej winy na lekkość uśmiechu potwora bez sumienia.

CENTRUM PREDYKCJI PRAGNIEŃ

To było absolutnie perfekcyjne, miękkie popołudnie na powierzchni. Światło miało ten specyficzny, złocisty i miodowy odcień, który na kilka godzin przed zmierzchem wygładza krawędzie brutalistycznych biurowców i nadaje miastu fałszywą aurę łagodności. Stałem na rogu zatłoczonego placu, tuż przy potężnej, kamiennej fontannie, z której woda tryskała w chłodnym, nieregularnym rytmie. Obserwowałem tłum.

Mój wzrok przykuła kobieta. Miała na sobie drogi, sztywny, grafitowy garnitur i ciasno upięte włosy — była chodzącym uosobieniem korporacyjnego, zapiętego pod samą szyję posłuszeństwa. Szła szybkim, nerwowym krokiem, stukając obcasami o granitowe płyty. Nagle, w połowie kroku, zatrzymała się. Zamrugła powiekami, jakby wybudzała się z długiego letargu. Na jej twarzy pojawił się najpierw nieśmiały, a potem szeroki, dziki, wibrujący autentycznym życiem uśmiech. Z głębokim westchnieniem ulgi rzuciła swoją ciężką, skórzaną teczkę prosto na ławkę. Zsunęła z nóg niewygodne szpilki i z radosnym, całkowicie spontanicznym śmiechem weszła bosą do lodowatej wody w fontannie. Rozłożyła ramiona, odchylając głowę do tyłu. Przechodnie uśmiechali się do niej z zazdrością. Ona sama czuła się w tej ułamkowej sekundzie boginią własnego losu, uosobieniem buntu. Świecie i niewzruszenie wierzyła, że to gwałtowne przebudzenie było wyłącznie jej autorską, niepodległą decyzją, wyrosłą na dnie jej własnej duszy.

Ja jednak opuściłem wzrok. Spojrzałem na płyty chodnikowe tuż pod miejscem, w którym przed chwilą stała.

Z głębokiej, zardzewiałej kratki ściekowej unosiła się jeszcze delikatna, ledwo zauważalna, rozedrgana smuga gorącego powietrza. W ułamku sekundy przed jej decyzją z głębi ziemi wydobył się cichy, syczący, węzowy dźwięk uwalnianego z rury ciśnienia. Kobieta nie zrzuciła butów ze swojej własnej woli. Zrobiła to, ponieważ precyzyjnie wymierzony strumień powietrza, nasycony mikroskopijną, laboratoryjną dawką feromonów i zjonizowanego gazu, uderzył w jej nozdrza dokładnie w momencie, gdy jej kora przedczołowa była obciążona stresem. Wyzwolilo to instynktowną reakcję układu nerwowego, zinterpretowaną przez nią natychmiast jako zew wolności.

Podszedłem do kratki. Wsunąłem dłonie w zimne, żeliwne szczeliny, zaparłem się kolanami i z głuchym stęknieniem odsunąłem ciężką pokrywę na bok. Z czarnej, kwadratowej wyrwy w chodniku buchnął w moją twarz zapach, który nie miał w sobie nic z miodowego popołudnia. Był to dławiący, morderczy smród topionego krzemu, gorącej miedzi, przepracowanego smaru łożyskowego i bezlitosnego, trzaskającego ozonu. Zapach tytanicznej pracy i nieskończonych obliczeń.

Zanurzyłem się w mrok. Szedłem w dół, krętymi, stalowymi schodami, aż hałas na górze całkowicie zanikł, zastąpiony przez jednostajny, ogłuszający i wibrujący w kościach huk potężnych maszyn. Znalazłem się w Centrum Predykcji Pragnień.

Jeśli ktokolwiek spodziewał się, że w sercu sterowania ludzkim losem znajdzie sterylną, lśniąca bielą salę operacyjną pełną zaawansowanych laserów i holograficznych mózgów w słojach — musiałby przeżyć najgłębszy zawód swojej egzystencji. Architektura tego miejsca była brutalna, archaiczna i fizyczna aż do mdłości. Piekło determinizmu nie przypominało szklanego laboratorium. Przypominało gigantyczną, duszną od gorąca, radziecką maszynownię statku węglowego połączoną z nieskończoną tkanką zwisających z sufitu kabli, styków i mosiężnych rur pneumatycznych. Te rury z sykiem wypływały w górę biliony mikroskopijnych bodźców — odcieni światła, wibracji dźwięku, zmian temperatury i zapachów, które na powierzchni składały się w rzekomą symfonię wolnego wyboru.

Szedłem po metalowych pomostach, patrząc na pracujących tu ludzi. Byli to technicy ubrani w brudne, poplamione smarem kombinezony. Ich twarze lśniły od potu, w ustach palili tanie papierosy. Nie wyglądali jak bóstwa zsyłające los. Wyglądali jak znużeni pracownicy linii produkcyjnej.

Zatrzymałem się za plecami jednego z nich. Siedział przed stertą mosiężnych lejków, znudzony do granic możliwości, leniwie przeżuując czerstwą kanapkę.

Przed nim, na potężnym, archaicznym monitorze z wypukłym kineskopem, jarzył się jaskrawozielony, skomplikowany schemat graficzny — wielka, drzewiasta struktura. Technik sięgnął do żeliwnego pojemnika i wyciągnął mały, ciężki, ołowiany odważnik. Na chłodnym metalu widniał głęboko wygrawerowany napis: „*Spóźniony autobus o 3 minuty*”.

Mężczyzna ziewnął, poprawił brudną czapkę z daszkiem i niedbale, bez krztyny emocji, wrzucił ciężarek do drugiego z kolei lejka. W rumrze rozległ się głuchy świst.

Natychmiast spojrzałem na ekran, by prześledzić ten wędrujący ku powierzchni impuls. Zielone linie na fosforowym tle zaczęły się błyskawicznie podświetlać. Spóźnienie autobusu na przystanku uderzyło w ciało dwudziestoosmioletniej, zmęczonej kobiety. W morderczym równaniu maszyny ukazał się natychmiastowy spadek poziomu glukozy, połączony ze wzrostem kortyzolu. Linia pobiegła dalej: po powrocie do domu obiekt czuje irytację. Irytacja szuka ujścia. Obiekt widzi buty męża rzucone w przedpokoju. Wypowiada jedno, zgryźliwe, nasączone jadem słowo. Mąż, zaprogramowany własnym zmęczeniem, odgryza się. Linia na ekranie rozdziela się na czerwone, pulsujące gałęzie: kłótnia przechodzi z butów na finanse. Z finansów na brak czułości. Z braku czułości na stare, niezagojone zdrady. Po czterdziestu ośmiu godzinach algorytm meldował z zimną satysfakcją sto procent realizacji celu. Para podejmuje „samodzielną i dojrzałą” decyzję o rozstaniu. Kobieta, szukając pocieszenia, kupuje bilet na wycieczkę i butelkę drogiego wina. Gospodarka rośnie. Świat kręci się dalej.

Wpatrywałem się w ten zielony wykres z dławiącym przerażeniem w gardle. Podziemia nie czytały w ludzkich myślach, bo w ogóle nie musiały. Cała tutejsza machina opierała się na fizyce domina. Aby rozwalić związek albo popchnąć człowieka na skraj samobójstwa, nie trzeba było wydawać mu rozkazu. Wystarczyło znać chemię jego zmęczonego mięsa, przewidzieć kąt nachylenia lęku i ustawić pierwszy, ołowiany klocek we właściwym miejscu. Człowiek resztę niszczycielskiej ścieżki przechodził absolutnie sam, wydeptując ją krok po kroku i broniąc do upadłego tezy, że kłótnia i decyzja były jego niepodległym wyborem. Wolna wola była tu zaledwie nazwą, którą nadawano łańcuchom przyczynowo-skutkowym zbyt złożonym, by nasza prymitywna percepcja mogła zauważyć ten pierwszy, pchnięty w mroku element.

Szedłem coraz głębiej, wzdłuż potężnych transformatorów, których buczenie wypełniało moją czaszkę uciążliwym bólem. Poszukiwałem centrum tego miejsca. Serca, w którym musi być zapisana wiedza o duszy. Spodziewałem się gigantycznych

kartotek i kwantowych dysków rejestrujących złożoność każdego żyjącego na powierzchni człowieka.

Dotarłem do ślepego końca hali. Przede mną wyrastał brutalistyczny mur z nagiego betonu. Serce układu nerwowego ludzkości.

Nie było tu miliardów kabli ani algorytmów analizujących nasze poetyckie uniesienia. W betonowej ścianie osadzone były tylko wajchy. Zaledwie pięć potężnych, żeliwnych dźwigni, których uchwyty były wypolerowane do lśniącego metalu przez wieki nieustannego ciągnięcia brudnymi dłońmi techników.

Wytarłem palcami grubą warstwę osadu z pożółkłych tabliczek przykręconych pod każdą z nich.

Pierwsza dźwignia: *Strach Przed Samotnością*. Druga dźwignia: *Próżność*. Trzecia dźwignia: *Lęk Przed Zniknięciem*. Czwarta dźwignia: *Głód*. Piąta dźwignia: *Pożądanie*.

To wszystko. Koniec inwentarza.

Oparłem dłoń o betonowy mur i poczułem, jak kolana drżą mi z bezsilności. Ludzi nie trzeba było skanować w poszukiwaniu głębi. Złożoność ludzkiego charakteru, duszna od patosu poezja i nasze wielkie dramaty, okazały się żenującym mitem. Byliśmy tak organicznie zapętleni w swoich podstawowych strachach, że sterowanie miliardami organizmów wymagało pociągnięcia jednej z pięciu wajch. Piszesz w nocy list miłosny? Nie, maszyna zaciągnęła żeliwną dźwignię numer jeden. Wyrzucasz resztki oszczędności na luksusowy zegarek, by wyrazić swój gust? Pociągnięto dwójkę i trójkę. Byliśmy prymitywnymi zamkami, które dawały się otworzyć pięcioma wytrychami, wmawiając sobie przy tym, że jesteśmy najpotężniejszymi skarbcami galaktyki.

Kawałek dalej, we wnęce między ścianami, świecił potężny ekran, przed którym nie było pracownika. Światło monitora przyciągnęło mnie jak owada.

Kamera przemysłowa śledziła twarz młodego studenta na powierzchni. Szedł pod prąd gęstego tłumu, brutalnie rozpychając się ramionami. Jego twarz była czerwona z autentycznego gniewu. Nagle zatrzymał się, krzyknął coś z dna płuc w stronę nieba i z ogromną siłą rzucił drogim smartfonem w mur kamienicy. Ekran z czarnym trzaskiem pękł na setki kawałków. Chłopak dyszał, ale jego kręgosłup był wyprostowany. Buntował się. Odrzucał technologię i cudze oczekiwania. W tamtej konkretnej sekundzie był dla siebie pomnikiem wspaniałej wolności. Wierzył, że pokonał maszynę.

Wtedy wielka, metalowa igłowa drukarka wbudowana w ścianę systemu kontrolnego ożyła z suchym zgrzytem. Rozpoczęła miarowe bicie głowicy po taśmie

barwiącej. Z otworu powoli wysunął się zatłuszczony, perforowany kwitek. Oderwałem go.

Obiekt 8344-A. Faza Oczyszczającej Iluzji Buntu. Zjawisko naturalne i niegroźne dla powłoki systemowej. Czas trwania afektu wyzwolenia: 14 minut. Następstwo ewolucyjne: Gwałtowny wyrzut dopaminy, po którym nastąpi radykalny spadek nastroju, poczucie pustki i alienacji. Cel krótkoterminowy: W celu ukojenia lęku obiekt dokona za 38 minut zakupu kalorycznego posiłku typu fast food i najnowszego modelu komunikatora z ubezpieczeniem. Wskaźnik skuteczności predykcji: 99,8%. Rekomendacja: Nie interweniować. Pozwolić obiektowi na pełne przeżycie iluzji.

Upuściłem wydruk na zardzewiałą podłogę. Papier powoli nasiąkał olejem. Ten system nie zwalczał buntowników. On ich używał. Bunt był wliczony w algorytm, traktowany wyłącznie jako wentyl ciśnieniowy. Pozwalano ludziom poczuć się przez czternaście minut rewolucjonistami we własnych głowach, ponieważ rewolucjonista ostatecznie i tak musiał rano coś zjeść i kupić nowy telefon, zasilając dokładnie ten sam krwiobieg, przeciw któremu krzyczał. Zrozumiałem przerażający paradoks terytorium: mieszkańcy byli najbardziej przydatni maszynie dokładnie wtedy, gdy święcie wierzyli w swoją wolność. Widoczna klatka rodzi bunt, ale ułuda, że klatki nie ma — uniemożliwia jakąkolwiek ucieczkę.

Odwrociłem się od ekranu w lodowatej panice. Nie mogłem tu zostać ani sekundy dłużej. Zmusiłem mięśnie nóg do gwałtownego wysiłku i zacząłem biec w stronę stalowych schodów. Huk transformatorów potęgował ból w czaszce. Wspinałem się w górę w kompletnych ciemnościach, trzymając się śliskich od smaru poręczy.

Z wielkim wysiłkiem podważyłem kratkę burzową i wyczołgałem się na chodnik. Z brzękiem żeliwa opuściłem właz.

Był już wczesny wieczór. Na ulicy zapalały się gazowe latarnie, rzucając wydłużone cienie. Powietrze pachniało zimnym asfaltem i mokrymi liśćmi. Ludzie przechodzili obok mnie, całkowicie obojętni na potworną maszynę ukrytą centymetry pod podeszwami ich butów.

Oparłem się o kamienny narożnik budynku, oddychając z ulgą. Uciekłem. Byłem ponad tym. Przejrzałem na oczy. Znałem mechanikę. Żaden pneumatyczny wystrzał z rury i żaden ołowiany ciężarek nie miały nade mną władzy. Byłem wędrowcem tych krain, autonomicznym bytem, który wreszcie zerwał łańcuchy ułudy.

I wtedy, właśnie w tej samej milisekundzie, w której sformułowałem w głowie tę triumfalną myśl, uderzyło mnie to.

Zaczęło się gdzieś w trzewiach, na poziomie najgłębszych nerwów brzusznych, i błyskawicznie powędrowało w stronę krtani. Mój żołądek lekko się skurczył. W ustach poczułem gwałtowną, śliniącą potrzebę. Umysł natychmiast zareagował, obudowując to biologiczne swędzenie twardą, racjonalną narracją. „Miałem ciężki dzień. Poznałem okrutną prawdę. Zasłużyłem na chwilę autorskiego wytchnienia. Chcę wypić dużą, gorącą, czarną kawę z potrójnym espresso. Muszę skrócić w lewo, do małej kawiarni z zielonym neonem. To mój wybór. To moja nagroda”.

Zrobiłem krok w lewo, obracając ciało, pchany niesamowicie silnym pożądaniem tego gorzkiego smaku. Moje ciało rwało się do działania, pragnąc wziąć w dłonie gorący, papierowy kubek.

Zamarłem w pół kroku, z butem zawieszonym nad wilgotnym chodnikiem. Moje własne ciało przerażało mnie teraz bardziej niż mrok podziemi.

Zrozumiałem z obezwładniającą pewnością, co się właśnie wydarzyło. Patrzyłem na swoje drżące dłonie. Chęć napicia się czarnej kawy była tak silna, tak naturalna i tak bardzo moja.

I właśnie w tym tkwiła ostateczna zbrodnia predykcji. Smycz wcale nie była zapięta na mojej szyi w postaci stalowej obroży. Nie byłem ciągnięty do kawiarni na łańcuchu. Najdoskonalsza smycz wszechświata była wszyta bezpośrednio i miękko w sam środek mojego apetytu. System pod podłogą nie musiał mi niczego rozkazywać. Ktoś rzucił właśnie mój ołowiany ciężarek. Ktoś wystrzelił z rury zapach mokrego chodnika i palonych ziaren. Wystarczyło sprawić, bym tego zapragnął z całą żarliwością mięsa, a logistykę wymówek i poezję wolnej woli dopisałem do tego procesu całkowicie sam, dumnie i posłusznie idąc tam, gdzie miałem pójść.

Postawiłem stopę na asfalcie. Mój organizm, głuchy na argumenty, konsekwentnie parł naprzód, a ja z niesmakiem i zrezygnowanym obrzydzeniem skręciłem w lewo, do kawiarni, nienawidząc w pełni każdego własnego, wolnego wyboru, z którym właśnie się na zawsze żegnałem.

ARCHIPELAG PRYWATNYCH PRAW

Kiedy otworzyłem oczy, moje rzęsy natychmiast skleiły się od lodu. W nozdrza wdarło się powietrze o temperaturze ciekłego azotu, suche i tnące jak rozbite szkło. Z trudem wciągałem je do płuc. Stałem na skrawku nagiej, przemarzniętej skały, zmagając się z morderczą, zacinającą ukośnie śnieżycą. Mój płaszcz sztywniał od szronu, a każdy krok po śliskim podłożu groził upadkiem. Z trudem podniosłem głowę, osłaniając twarz dłonią przed uderzeniami białego pyłu.

Wtedy dostrzegłem pęknięcie rzeczywistości.

Zaledwie dziesięć metrów ode mnie, po drugiej stronie rozpadliny, znajdował się kolejny ląd. Nie panowała tam jednak zima. Skały sąsiedniej wysepki wibrowały w gęstym, falującym z gorąca powietrzu. Rosły tam spalone słońcem, wyschnięte na wiór palmy. Mężczyzna, który tam stał, miał na sobie cienką, przepoconą koszulę przyklejoną do pleców. Otarł pot z czoła, podniósł ciężką, mosiężną lunetę i wycelował ją prosto we mnie. Spojrzał na mój zeszywniały z zimna płaszcz, po czym opuścił instrument. Na jego twarzy odmalowała się czysta, nieskrywana, pełna litości pogarda. Popukał się palcem w czoło. Uznawał mnie za obłąkanego. Stał w czterdziestostopniowym upale, więc mój dreszcz uważał za akt hysterii. Ja z kolei, plując drobinami lodu, nie mogłem pojąć, dlaczego ten człowiek odgrywa tak żalosną komedię, udając udar słoneczny w samym środku potężnej zimy.

Dotarłem do Archipelagu Prywatnych Prawd.

Ziemia pod moimi stopami nie była już zwartym, ciągłym kontynentem ludzkiego doświadczenia. To terytorium uległo procesowi radykalnego, geologicznego rozbioru. Dawniej istniała tu jedna, wspólna mapa. Dziś świat rozpadł się na miliony mikroskopijnych wysp. Różnice między lądami nie polegały jednak na odmiennej florze czy faunie. Geometria tego terytorium poszła znacznie dalej: każda z wysp oderwała od wspólnej grawitacji własny kawałek praw fizyki.

Na jednym skrawku lądu woda gotowała się w pięćdziesięciu stopniach, na innym słońce wschodziło na zachodzie, a na jeszcze innym żelazo było lżejsze od piór. Zależnie od tego, w jakiej bańce grawitacyjnej postawiłeś stopę, otrzymywałeś autorski, zamknięty w sobie wszechświat z własną, skrupulatnie napisaną historią i termodynamiką.

Problem polegał na tym, że przeprawa między lądami była fizycznie niemożliwa. Archipelag nie był omywany przez wodę. Pęknięcia, szerokie rozpadliny i cieśniny między wyspami wypełniała substancja głęboko obca organicznemu światu. Było to Morze Szumu. Gęsta, czarna, bulgocząca i smolista maź, z której nieustannie wystrzeliwały błękitne, trzaskające wyładowania elektrostatyczne. Ta ciecz była zmaterializowanym algorytmem — ostatecznym rozpuszczalnikiem sensu.

Podszedłem na sam skraj mojej lodowej krawędzi. Mężczyzna na upalnej wyspie podszedł do swojego brzegu. Chciałem złagodzić napięcie. Postanowiłem krzyknąć coś uniwersalnie przyjaznego, coś, co mogłoby nas połączyć pomimo tego temperaturowego absurdu. Przyłożyłem dłonie do ust.

— Dzień dobry! Cieszę się, że cię widzę! — wykrzyczałem z całej siły, pokonując świst śnieżycy.

Dźwięk opuścił moją krtań czysty i nośny. Ale w ułamku sekundy, gdy vibracje fal głosowych znalazły się nad gęstą, wibrującą powierzchnią Morza Szumu, doszło do rzeźnickiej mutacji. Widziałem fizycznie, jak w przestrzeni między nami słowa zaczynają dygotać i łamać się w powietrzu. Smoła z dołu przyciągała zgłoski jak potężny magnes, trawiąc ich pierwotny sens i natychmiast plując nimi z powrotem.

Na drugi brzeg nie dotarło powitanie. Kiedy fala dźwiękowa uderzyła w mężczyznę, usłyszałem, jak brzmi zniekształcone echo moich własnych strun głosowych. Nad jego lądem rozległ się potężny, chamski, ociekający jadem warkot: „Jesteś pożałowania godnym, głupim skurwysynem!”.

Mężczyzna wzdrygnął się, jakby uderzono go w twarz. Jego twarz zalała się furią. Podniósł z rozgrzanej ziemi twardy, ostry kawałek pumeksu i z morderczą precyzją cisnął nim w moją stronę. Kamień przeleciał nad mazią i uderzył mnie boleśnie w skroń. Upadłem na lód, chwytając się za krwawiącą głowę. Rozumiałem już potworną

mechanikę tego oceanu. Morze Szumu żywiło się konfliktem. Ta lepka substancja pochłaniała każdą próbę budowy mostu, każde zniuansowane, spokojne zdanie, by przetrwać je i wypłuć na przeciwny brzeg w formie najbardziej zapalnego, nienawistnego ścieku. W tym archipelagu nie dało się komunikować. Język stracił tu swoją ostateczną funkcję transportową. Każde wypowiedziane słowo było bronią, a każdy uśmiech docierał do obcego jako zaciśnięta pięść.

Wycofałem się w głąb mojej lodowej wyspy, uciekając przed kolejnymi kamieniami. Dotarłem do jej centralnego punktu, gdzie natknąłem się na rytuał, który całkowicie obdarł mnie z resztek wiary w racjonalność tego gatunku.

Grupa tutejszych mieszkańców z potwornym trudem wznosiła drewniane rusztowania. Ich dłonie krwawiły, a palce były odmrożone i błękitne. Na stelażach, wysoko nad głowami, rozciągali potężne, zszywane z kawałków materiału płachty grubego, szarego brezentu. Kiedy naciągnęli plandekę, całkowicie zasłaniając nią widok na prawdziwe niebo, przynieśli puszki z najtańszą, śmierdzącą, chemiczną farbą. Powoli, pędzlem po pędzlu, malowali na brzuchu brezentu własne, koślawe słońce i własne, geometrycznie krzywe gwiazdy.

Z początku myślałem, że to cyniczna mistyfikacja. Że wiedzą, co robią, by oszukać turystów. Ale gdy spojrzałem w ich wychudzone, pokryte pyłem twarze, poczułem prawdziwe przerażenie. To nie byli oszuści. Byli gorliwymi, zdesperowanymi fanatykami własnej strefy komfortu. Budowali prywatne niebo w pocie czoła, nakładając kolejne warstwy toksycznej farby tylko i wyłącznie po to, by nigdy więcej nie musieć podnosić wzroku na gwiazdozbiór, który mógłby być wspólny dla nich i dla ludzi z innych wysepek. Płótno chroniło ich przed mrozącym krew w żyłach ryzykiem konfrontacji z faktem, że wszechświat nie należy tylko do nich. Cierpieli pod tym brezentem na krzywicę i brak witaminy D, dławili się oparami taniej farby, ale woleli powolne gnienie od środka niż konieczność podzielenia się z kimś odmiennym wspólnym opisem rzeczywistości.

Ta mordercza paranoja osiągała swoje apogeum na brzegach wyspy.

Po wybudowaniu nieba mieszkańcy nie szli odpoczywać do swoich jaskiń. Zamiast tego masowo ruszali na klif, z którego roztaczał się widok na inne pęknięte lądy. Stali tam w rzędach, z twarzami na stałe, mięsiście wręcz przyklejonymi do okularów wielkich, obitych mosiądzem lunet. Urządzenia te nie służyły jednak poznawaniu ani eksploracji. Szkła tych lunet zostały wyprofilowane przez wybitnych szlifierzy zawiści. Ktokolwiek pojawił się w ich obiektywie — na przykład kobieta na wyspie upalnej, która po prostu piła wodę z bukłaka — w szkle lunety natychmiast

ulegał deformacji. Mechanizm przyprowadził jej rogi, wyolbrzymiał chciwość jej ust i kodował jej czyn jako śmiertelne, apokaliptyczne zagrożenie.

Tłum dyszał przy lunetach w paranoicznym skupieniu. Ludzie ci nie patrzyli w soczewki po to, by zrozumieć różnice. Patrzyli na inne wysepki tylko po to, by zyskać twardy, optyczny dowód na własną wyższość. Szkła na zawsze odebrały im zdolność dostrzeżenia w obcym po prostu drugiego człowieka. Uwięzieni we własnym filtrze, nie widzieli już osób, lecz wyłącznie uosobienia błędnych tez, co zwalniało ich z jakiegokolwiek próby dialogu. Dopóki patrzyli, jak po drugiej stronie rzekomo konsumuje się diabła, mogli bez wyrzutów sumienia gnić we własnym mrozie, upajając się poczuciem swojej niezaprzeczalnej prawości.

Szukałem drogi ucieczki z tej klatki optycznego zepsucia. Minąłem obozowisko i schodząc po stromym, kruchym zboczach, zbliżyłem się do kolejnej szczeliny rozcinającej ziemię. Fale Morza Szumu uderzały o brzeg, brudząc moje buty lepką, smolistą substancją.

Za wąską cieśniną, tak blisko, że mógłbym przeskoczyć ten dystans przy dobrym wietrze, znajdowała się najmniejsza wyspa Archipelagu. Została odrąbana od wszystkich innych kontynentów tak radykalnie i głęboko, że jej powierzchnia wynosiła zaledwie kilka metrów kwadratowych nagiej, ostrej jak igła skały. Nie było tam ani drzewa, ani źródła wody, ani miejsca, by położyć się spać.

Siedział na niej człowiek.

Był to żywy trup. Wyniszczony, chudy jak patyk, z szarą, zapadniętą skórą, przez którą przebijał kontur każdej najdrobniejszej kości jego klatki piersiowej. W jego dłoniach znajdowały się potężne, rdzewiejące sekatory i kilofy, którymi przez całe życie ciosał skałę dookoła siebie, odcinając wszelkie mosty, zrywając liny i krusząc połączenia z każdym innym istnieniem. Zniszczył wszystkich dookoła, odtrącił przyjaciół, którzy mieli inny kąt patrzenia, porzucił rodzinę, która nie zgadzała się z jego temperaturą, wreszcie wyklął własne plemię za drobne błędy dogmatyczne. Ostał się sam. Ciało mu gniło z głodu i osamotnienia, a on nie potrafił już nawet wstać o własnych siłach. Zostało w nim biologiczne paliwo na zaledwie kilkanaście oddechów.

Znałem z literatury rzekomą łagodność i objawienie przedśmiertnego pożegnania ze światem. Oczekiwałem, że na twarzy tego odciętego od wszystkiego rozbitka zobaczę wreszcie ulgę płynącą ze zrozumienia błędu. Spodziewałem się, że na ułamek sekundy przed wyzionieniem ducha opuści narzędzia, uśmiechnie się z łagodną rezygnacją i poprosi kogoś o wyciągnięcie ręki.

Ale nie w Archipelagu Prywatnych Prawd.

Człowiek na maleńkiej wyspie spojrzał w moją stronę. Jego oddech rzeźił, w piersiach stukła przedśmiertna arytmia. Na jego zszarzałej, wysuszonej twarzy nie pojawiła się ani kropla żalu. Jego usta wykrzywiły się w potwornym, narcystycznym, boskim wręcz uśmiechu ostatecznego triumfu. Jego wybałuszone oczy lśniły szaloną, lodowatą pewnością. Z najwyższą obojętnością odrzucił cały głośny, skomplikowany, bolący i fascynujący wszechświat, tylko po to, by za cenę zgonu z wyziębienia udowodnić, że słońce świeci na zielono.

Umierał tu całkiem sam, dławiąc się krwią, ale odchodził z absolutnym, niepodważalnym i udowodnionym poczuciem posiadania stuprocentowej racji.

Cofnąłem się od brzegu, pokonany ostatecznym obrazem ludzkiej kondycji. To był paradoks naszej epoki, wyryty dłutem w najciemniejszym kręgu cywilizacji. Dostaliśmy do rąk narzędzia potężne niczym boskie stery. Zbudowaliśmy globalne sieci, wypuściliśmy w kosmos okręty, zdobyliśmy dostęp do przepastnych oceanów nieskończonej wiedzy, zyskując absolutne, fizyczne możliwości połączenia się z każdym człowiekiem na planecie. A ostatecznie wykorzystaliśmy to wszystko zaledwie do tego, by wybudować sobie własne, szczelne, jednoosobowe więzienia, w których każdy z nas mógł bezkarnie siedzieć w ciemności i całować w usta jedynego boga, w jakiego do końca wierzyliśmy — własne poglądy.

Odwrociłem się od umierającego triumfatora. Zarzuciłem zamarznięty kołnierz płaszcza na głowę. Zacząłem iść szybko przed siebie, w stronę najtwardszego lodu, byle dalej od zgrzytu mosiężnych lunet i smrodu gnijącej samotności. Czułem w trzewiach lodowate zimno, które nie miało już nic wspólnego z temperaturą powietrza.

KAPSUŁY SAMOWYSTARCZALNYCH

Gdy tylko gruby, polimerowy właz zatrzasnął się za moimi plecami, odcinając resztki wiatru, poczułem, jak umiera fizyka. Syknięcie hermetycznej uszczelki wyrównującej ciśnienie było ostatnim niekontrolowanym dźwiękiem, jaki tu usłyszałem. Po nim zapadła absolutna, wibrująca w bębenkach cisza. Powietrze natychmiast uległo transformacji. Ostre, zanieczyszczone chaosem i nieprzewidywalnością opary świata zewnętrznego zostały zassane przez filtry węglowe, a w ich miejsce system wtłoczył mieszankę idealną. Pachniała świeżo wypraną bawełną, chłodnym ozonem i delikatnym, farmakologicznie domierzonym stężeniem syntetycznej oksytocyny, która miała symulować zapach bezpiecznego dzieciństwa.

Znalazłem się wewnątrz cylindrycznego pomieszczenia o białych, gładkich jak jedwab ścianach. W ułamku sekundy ukryte w nich czujniki biometryczne przeskanowały tętno na mojej szyi, odczytały napięcie powiezi i wyrównały temperaturę w pomieszczeniu dokładnie do 21,4 stopnia Celsjusza — punktu, w którym organizm nie musi spalać ani jednej dodatkowej kalorii na termoregulację. Kiedy postąpiłem krok w stronę szerokiego, wtopionego w podłogę materaca, światło miękko ściemniało, dopasowując się do moich rozszerzonych źrenic.

Był to obezwładniający, morderczy w swojej perfekcji luksus. Atak idealnego komfortu. Brak jakiegokolwiek fizycznego tarcia. I właśnie z powodu tej absolutnej, niewymagającej żadnego wysiłku opieki, mój żołądek zwinął się w ciasny supeł, a w

gardle poczułem smak autentycznej, podchodzącej do krtani paniki. Ta kapsuła była dla żywej tkanki czymś gorszym niż trumna. Trumna zakłada bowiem, że jesteś już martwy. Kapsuła zabijała cię powoli, uprzejmie wyłączając ci jeden ewolucyjny instynkt po drugim, dopóki z drapieżnego ssaka nie zamieniałeś się w hodowaną w inkubatorze algę.

Trafiłem do Kapsuł Samowystarczalnych. Miasta będącego w istocie gigantycznym, pionowym ułem, złożonym z milionów szczelnie odizolowanych od siebie tub. Nie było tu korytarzy, rynków, skwerów ani alei. Ulice to wynalazek epoki, w której ludzie zmuszeni byli przemieszczać się, by zdobyć pożywienie lub poszukać towarzysza. Tutaj ten archaiczny proceder uległ radykalnemu wymazaniu. Wszystko było dostarczane bezpośrednio z grubych rur wprowadzonych w ściany: od zbilansowanej pasty odżywczej o smaku, jaki tylko wygenerował twój mózg, po syntetyczne ramiona do masażu, wysuwające się z oparcia fotela.

Mieszkańcy tego terytorium dokonali ostatecznego zamachu na relacje. W tutejszej konstytucji biologiczna lub emocjonalna zależność od drugiego człowieka nie była uważana za piękną cechę stadną; była postrzegana jako obrzydliwa, upokarzająca choroba zakaźna, objaw rynsztokowej słabości, z której cywilizacja powinna dawno wyrosnąć. Być wolnym w tym ulu oznaczało: nikogo, absolutnie nikogo na świecie nie potrzebować.

Usiadłem na skraju materaca. Ściana naprzeciwko mnie niespodziewanie zmatowiała i zmieniła się w gigantyczny ekran, na którym wyświetlił się zbiór aktualnych rankingów społecznych. W Kapsułach panował restrykcyjny, mrozący krew w żyłach Kult Zera. System punktował mieszkańców za „Czystość Zobowiązań”. Na szczycie drabiny społecznej znajdowały się jednostki, które przez pięć, dziesięć, a nawet piętnaście lat ani razu nie poprosiły obcego systemu biologicznego — człowieka — o jakąkolwiek przysługę. Ci ludzie nigdy nie pożyczyli od sąsiada soli, nigdy nie zadzwonili z prośbą o pomoc przy zepsutym kranie, nigdy nie zadłużyli się na emocjonalne współczucie w kryzysie. Byli sterylni. Czyści jak lza, hermetycznie oddzieleni od bagna cudzych łask. Dług wdzięczności nosił tu znamię syfilisu. Ludzie ci byli przerażająco i nieuleczalnie samowystarczalni.

Przez mikroskopijną szczelinę szybu wentylacyjnego, jedyny błąd w tutejszej architekturze izolacji, udało mi się podejrzeć życie w sąsiedniej tubie.

Mieszkał tam mężczyzna w średnim wieku. Siedział w miękkim fotelu, pijąc ciemny, gorący płyn wyciśnięty z podajnika ściennego. Wpatrywał się w potężny ekran, na którym wyświetlała się twarz kobiety. Nie był to jednak żywy byt z innej kapsuły. Kobieta na ekranie była manifestacją wyrafinowanego algorytmu,

kompilacją setek tysięcy pożądanых cech fizycznych, dopasowaną co do piksela do seksualnych, estetycznych i emocjonalnych fiksacji mężczyzny.

Rozmawiali od godziny. On wyrzucał z siebie gniewne uwagi na temat polityki, ekonomii i kształtu wszechświata. Ona wpatrywała się w niego z szeroko otwartymi, lśniącymi oczami pełnymi zachwyty. Za każdym razem, gdy mężczyzna rzucał czerstwym żartem, z głośników dobiegał miękki, perlisty, idealnie wymierzony w ułamek sekundy śmiech. Kobieta-algorytm w stu procentach zgadzała się z każdą, nawet najbardziej absurdalną diagnozą mężczyzny. Utwierdzała go w przekonaniu, że jest bystry, fascynujący i głęboko zraniony przez los. Oferowała mu symulację perfekcyjnej, uległej czułości.

Zauważyłem na twarzy mężczyzny głębokie, leniwe uspokojenie. Wierzył w to. Albo przynajmniej postanowił poddać się iluzji tak całkowicie, że prawda przestała mieć dla niego znaczenie.

Odszedłem od kratki z uczuciem miazdzącego, egzystencjalnego wstrętu. To, co obserwowałem, nie było rozmową ani relacją. To była obrzydliwa emocjonalna masturbacja, w której człowiek po prostu odbijał samego siebie w cyfrowym lustrze, czerpiąc rozkosz z własnego, niekwestionowanego echa. Obywatele kapsuł całkowicie wyeliminowali z miłości jedyną rzecz, która w ogóle nadawała miłości wagę: wyeliminowali ryzyko odrzucenia. Algorytm nigdy cię nie zostawi. Algorytm nigdy nie powie ci, że masz okropny oddech, że jesteś nudny i że spakował walizki, bo zakochał się w innej matrycy. Maszyna zaspokajała potrzebę akceptacji tak perfekcyjnie, że czyniła tę akceptację absolutnie bezwartościową. Bo poświadczenie twojej wielkości przez byt, który został zaprogramowany do tego, by ci to mówić, ma taką samą wartość dowodową jak samodzielne wygranie ze sobą w szachy przed lustrem.

Usiadłem na podłodze, obejmując dłońmi kolana. Ten bezdźwięczny raj zaczynał wwiercać mi się w mózg. Zrozumiałem powód, dla którego ludzie woleli uwięzić się w tych gładkich grobowcach. Zależność od kogoś to z natury udręka. Posiadanie przyjaciół oznacza, że przyjaciele umrą albo cię zdradzą. Wchodzenie w związek oznacza wpuszczenie kogoś za własne mury obronne i wręczenie mu skalpela z nadzieją, że użyje go do operacji, a nie do poderżnięcia ci gardła. Bycie w świecie fizycznym to niekończące się tarcie, rozczarowanie cudzą słabością, smród kompromisu, upokorzenie wynikające z tego, że ktoś patrzy na ciebie, gdy chorujesz. Mieszkańcy Ula Niezależności uciekli od tego piekła tarcia w absolutną gładkość.

Jednak uciec od tarcia relacji, to amputować w sobie powód istnienia.

Zrozumiałem to w pełni dopiero wtedy, gdy po kilkunastu godzinach na terytorium nadeszła noc, a w kapsułach wydarzyło się coś głęboko przerażającego.

Zgodnie z cyklem dobowym, po dwudziestej drugiej system centralny stopniowo wygasił światła w milionach tub. Zimny powiew klimatyzatora przyniósł zapach nocnego lasu i cichy, biały szum generowany z głośników w ścianach, zaprojektowany po to, by odciąć świadomość w trzydzieści sekund. W mojej kapsule zapadła nieprzenikniona ciemność. Ułożyłem się na materacu, próbując oddychać równomiernie. Sądziłem, że po dniu perfekcyjnego luksusu tutejsi mieszkańcy zasypiają snem sprawiedliwych bogów.

Było dokładnie o trzeciej siedemnaście, kiedy przez biały szum przebił się pierwszy, bardzo cichy dźwięk.

Usiadłem gwałtownie. Dźwięk ten przypominał stłumione, niespokojne szuranie. Zbliżyłem ucho do gładkiej ściany dzielącej mnie od kapsuły obok. Usłyszałem drapanie. Mechaniczne, miarowe, obsesyjne uderzanie płytkami ludzkich paznokci o supertwardy, kuloodporny polimer. Po chwili drapanie to zaczęło dobiegać również z sufitu. Potem z podłogi.

To nie była awaria maszyny. W gigantycznym mroku miliona pionowych kapsuł rozgrywał się właśnie cichy, potworny dramat biologii obdartej z własnej natury. Świadome, zarozumiałe umysły mieszkańców, tak dumne ze swojej dziennej niezależności od świata, zostały wyłączone przez sen. I wtedy na powierzchnię wyszła stłumiona, zduszona do granic obłędu zwierzęca kora starego mózgu.

Ich nieprzytomne, drżące dłonie, napędzane potężną, archaiczną ewolucją sięgającą dziesiątek tysięcy lat w tył, w panice szukały futra stada. Ssak naczelny od zawsze spał ściśnięty z innymi przedstawicielami gatunku, bo ich oddech, ich smród i ich ciepło było twardym, fizycznym gwarantem bezpieczeństwa w mrokach puszczy. Zostawiony sam, umierał pożarty przez drapieżniki.

Mieszkańcy Ula przez sen, całkowicie nieświadomie i w zwierzęcym pędzie szorowali dłońmi po ścianach. Szukali zapachu cudzego mięsa. Drapali gładki, bezlitosny polimer z taką zaciętością, że słyszałem po ułamaniu paznokcia mokry dźwięk obdzieranej tkanki palców. W ich umysłach, odpiętych od dumnych haseł o samowystarczalności, wyła bezkresna, czarna panika samotności. Ich organizmy nie wierzyły algorytmom z ekranu. Wiedziały, z ostateczną, fizjologiczną twardością, że oddzielone od tętna pobratymców są już w zasadzie martwe. Rano budzili się, widząc zakrwawione opuszki własnych palców i krwawe rysy na śnieżnobiałych ścianach. Spuszczali na to wzrok, dezynfekowali skaleczenia syntetycznym płynem i nigdy o

tym nie wspominali, po czym siadali przed ekranem, by z dumą oznajmić maszynie, że są wolni.

Odsunąłem się od ściany z sercem bijącym jak ciężki młot. Zdałem sobie sprawę, że to drapanie jest najokrutniejszym wyrokiem na obłąd współczesności, w którym sam przecież przez lata brałem udział.

Człowiek od stuleci mylił samotność z brakiem opieki. Wydawało nam się, że pragniemy związku, wspólnoty i plemienia po to, żeby miał kto nam podać rano chleb, ogrzać stopy, kupić lek na ból głowy czy wysłuchać naszych żalosnych pretensji. Skoro tak, myśleli inżynierowie tego terytorium, to z łatwością możemy zastąpić tego brudnego, niepewnego człowieka maszyną, która robi to o wiele ciszej i sprawniej.

Kapsuły udowadniały jednak rzeźnicki wręcz defekt tego myślenia. Problem polegał na tym, że maszyna nie potrafiła zapewnić nam jedynej rzeczy, której człowiek domagał się od świata za wszelką cenę.

Maszyna nie potrafiła być świadkiem.

Rozumiałem to teraz, wpatrując się w czerni sufitu, wsłuchany w krwawe, paniczne zgrzytanie paznokci wokół mnie. Życie, którego absolutnie nikt z zewnątrz nie obserwuje z wolnej, nieprzymuszonej woli, pozbawione jest jakiegokolwiek fizycznej masy. Znika natychmiast po upadku z drzewa. Potrzebujesz u boku drugiego, wrednego, nieprzewidywalnego i wolnego człowieka, nie po to, by podawał ci zupę. Potrzebujesz go dlatego, że on — posiadając fizyczną możliwość obrócenia się na pięcie, odrzucenia cię, skrytykowania i wyjścia z pokoju — decyduje się z niewiadomych, absurdalnych przyczyn na ciebie patrzeć. To jego wolne spojrzenie w twoją stronę wydobywa cię z nicości. Potwierdza twoją gęstość i prawomocność twojego tlenu.

Algorytm przykuty do gniazdka nie może poświadczyć twojego istnienia, ponieważ on nie ma dokąd pójść. Nie może cię porzucić, a skoro nie może odwrócić od ciebie wzroku, to jego uwaga nie znaczy niczego. Jest pusta. Samotność mieszkańców kapsuł nie była brakiem usług ani przyjemności; samotność była przerażającym odkryciem faktu, że ich egzystencja odbywa się w ostatecznej próżni bez świadków, zrównując ich z popiołem ukrytym pod ziemią. Zbudowali najdoskonalszą formę przetrwania wyłącznie po to, by wyhodować w sobie najdroższą, najbardziej luksusową odmianę śmierci psychicznej.

Oddech utknął mi w krtani. Zgniotłem w dłoniach róg polimerowego materaca. Ten klaustrofobiczny raj z minuty na minutę kurczył się wokół mojej klatki piersiowej. Wyskoczyłem z łóżka. Nie interesował mnie komfort, sterylna bawełna

ani wyregulowana temperatura. Chciałem natychmiast, za wszelką cenę, wydostać się z tego grobowca komfortu. Chciałem poczuć smród brudnej koszuli, chciałem poczuć ból odrzuconej prośby, chciałem znów ryzykować zdradę i tarcie o drugie, podłe, biologiczne istnienie.

Dopałem do lśniącego, białego włącznika. Znalazłem z boku wmurowaną, ukrytą pod gładkim panelem czerwoną dźwignię ewakuacyjną. Chwyciłem ją oburącz. Była potwornie ciężka, zaprojektowana tak, by system mógł cię przed ucieczką trzykrotnie zapytać o to, czy na pewno chcesz zrezygnować z bezpieczeństwa i opuścić inkubator. Zignorowałem migające po bokach ekrany ostrzegawcze. Szarpnąłem z całą siłą w dół.

Właz odskoczył z potężnym, uwalniającym ciśnienie hukiem, a do sterylnej komory wdarł się brutalny, wibrujący od chłodu wiatr niosący zapach obcego mrozu. Uciekłem stamtąd bez oglądania się za siebie, byle tylko móc zderzyć się z czymkolwiek, co ma moc rozerwania mnie na strzępy.

LATARNIA WYGASŁYCH SENSÓW

Wiatr na tym wybrzeżu nie był po prostu zjawiskiem atmosferycznym. Posiadał fizyczną masę, gęstość i ciężar litego ołowiu. Kiedy uderzał w klatkę piersiową, miało się wrażenie zderzenia z pędzącą, niewidzialną ścianą betonu. Powietrze smakowało solą, gnijącymi wodorostami, lodem i rozbitym na drobne cząsteczki wapieniem. Pod moimi ciężkimi butami chrząścił czarny, porowaty bazalt, uformowany w ostre, wulkaniczne noże, które z łatwością przecinały grubą podeszwę. Było to terytorium skrajnie wrogie biologii, wyprane z jakiegokolwiek miękkości.

Jednak to nie surowość krajobrazu decydowała o obłędzie tego miejsca. Decydowało o nim światło.

Stałem na krawędzi potężnego klifu i spojrzałem w dół, na ciągnącą się aż po horyzont, poszarpaną linię brzegową. W wiecznym, smolistym mroku nocy, wybrzeże to było rozdzielane przez miliony potężnych, przecinających się krzyżowo, obłąkanych promieni świetlnych. Wzdłuż całego lądu, na skałach, w zatokach i na wzniesieniach, stały niezliczone latarnie morskie.

Każda z nich była inna. Różniły się architekturą, wysokością, grubością murów, ale przede wszystkim — barwą i częstotliwością emitowanego światła. Jedne rzucały snopy agresywnej, pulsującej czerwieni. Inne wysyłały w mrok miękkie, bursztynowe, powolny blask. Jeszcze inne cięły przestrzeń sterylną, chirurgiczną, zimną bielą. Te

promienie przesuwają się po ostrych kamieniach z hipnotyczną, mechaniczną regularnością.

Dopiero po chwili zorientowałem się, że w blasku tych latarni poruszają się ludzie.

Tysiące wędrowców brnęło przez to mordercze rumowisko. Obserwowałem ich z rosnącym niedowierzaniem. Prawa fizyki i anatomii wydawały się ich nie dotyczyć. Mężczyzna idący kilkanaście metrów ode mnie stąpał bosymi stopami po najostrzejszych krawędziach bazaltu. Powinien wyć z bólu. Jego skóra była rozdarta, krew zostawiała na czarnych kamieniach wyraźny, mokry ślad, ale on zupełnie tego nie rejestrował. Jego źrenice były maksymalnie rozszerzone, wpatrzone wyłącznie w jeden, jedyny, błękitny promień światła, który co kilka sekund omiatał jego twarz.

W obu dłoniach ścisnął potężny, rozwinięty zwój pergaminu. Mapę. Kiedy niebieskie światło padało na papier, na twarzy mężczyzny malowała się upiorna, narkotyczna ulga. Widział na niej kontury, widział szlaki, widział ścieżkę. Wiedział dokładnie, gdzie ma postawić kolejny, krwawiący krok. Ból fizyczny, zmęczenie, głód — wszystko to było natychmiast anihilowane, rozpuszczane w blasku jego osobistego drogowskazu.

Zrozumiałem, na jakie terytorium wkroczyłem. To była Latarnia Wygasłych Sensów.

Miejsce, do którego w pewnym momencie życia trafia każdy człowiek, niezależnie od tego, z jakiej krainy przyszedł, by złożyć hołd swojemu najważniejszemu złudzeniu. Światła tych latarni nie były zwykłymi fotonami. Były zmaterializowanymi powodami do życia.

Każdy wędrowiec brnący przez ten czarny, kaleczący brzegi kontynent posiadał swoją własną latarnię, do której klucz został wyłowiony gdzieś w chaosie dorastania. Dla jednych tym snopem światła była rodzina — pragnienie zbudowania bezpiecznego domu, które nakazywało im wstawać o świcie i znosić upokorzenia w pracy, byle tylko utrzymać ten ciepły, bursztynowy promień w zasięgu wzroku. Dla innych światłem była sztuka, zmuszająca ich do głodowania na poddaszach. Dla jeszcze innych był to Bóg, dający rzekomą gwarancję, że to skaliste piekło ma swój architektoniczny zamysł. Widziałem też takich, których napędzał ostry, czerwony laser zemsty, udowadniania światu swojej wartości lub nienawiści do ojca. Nieważne, jakie imię nosiła latarnia. Jej mechanika zawsze pozostawała bezlitosna i identyczna: promieniowała racją bytu. A ten blask działał jak najpotężniejszy, dożylny opiat.

Tak długo, jak człowiek miał przed oczami swój powód do życia, był w stanie przejść przez ogień, znieść poniżenie, zignorować zdartą do kości skórę i uwierzyć, że

dźwiganie własnego cielska ma jakąkolwiek transcendentną wartość. Ten drogowskaz był tu obiektywnym, fizycznym znieczuleniem na udrękę istnienia.

Ale istniał na tym wybrzeżu ukryty, morderczy feler. Paradoks, o którym nikt z idących, zapatrzonych w swoje światła wędrowców, nie miał odwagi pomyśleć.

Żarówki mają to do siebie, że ich wolframowe włókna z czasem ulegają przepaleniu.

Szedłem wzdłuż klifów, osłaniając twarz kołnierzem płaszcza. Kilkadziesiąt metrów przede mną, na niewielkim płaskowyżu, zobaczyłem kobietę. Wyróżniała się z tłumu wyjątkową determinacją. Jej latarnia znajdowała się zaledwie milę dalej, emitując miękki, pulsacyjny, różowy blask. Z jej szeptów, z układu jej ciała, z pełnego czułości sposobu, w jaki trzymała swoją mapę, było jednoznaczne oddanie: jej misją było dziecko. Prawdopodobnie całe dekady swojego życia spędziła na opiece, na wyrzekaniu się własnych potrzeb, na poświęcaniu każdej komórki ciała po to, by ochronić to życie. Ten różowy promień był jej tarczą. Dzięki niemu ostre skały pod jej stopami wydawały się jej miękkim mchem.

Byłem świadkiem momentu, w którym to nastąpiło.

Nie było żadnego uderzenia pioruna. Nie rozległ się dramatyczny ryk orkiestry, niebo nie rozdarło się na pół, a ziemia nie zadrżała. Ostateczna tragedia ludzkiego ducha odbywa się w tym świecie w całkowitej, miażdżącej ciszy. W soczewce różowej latarni po prostu usłyszałem mikroskopijne, głuche, szklane *pyk*. I światło zgasło.

Kobieta zamarła w połowie kroku. Jej stopa, zawieszona nad ostrą krawędzią skały, opadła ciężko, bezwładnie. Kobieta drgnęła, a potem nerwowo, z rosnącą paniką, rozwinęła swoją mapę. Przecierała oczy, odwracała papier pod różnymi kątami, szukając jakiegokolwiek drogi. Ale bez jej osobistego, ukierunkowanego światła mapa stała się w ciemności tylko bezużytecznym, pustym, żółtym pergaminem. Setki innych promieni od sąsiadów przelatywały nad jej głową — białe, niebieskie, zielone — ale obca żarówka nie potrafiła oświetlić jej drogi. Z cudzego powodu do życia nie da się wyczytać własnych współrzędnych.

Latarnia zgasła, bo dziecko prawdopodobnie dorosło, odeszło i przestało potrzebować jej opieki. Cel biologiczny wyczerpał się. Żarnik spłonął do końca. A kobieta została nagle w mroku.

Jej twarz zmieniła się w maskę czystego, ontologicznego terroru. Dopiero teraz, bez znieczulenia różowego światła, jej układ nerwowy zarejestrował lodowaty wiatr. Dopiero teraz poczuła ból rozciętych stóp i potworny ciężar własnych kości. Spróbowała zrobić jeden, malutki krok w ciemność, bez mapy. Potknęła się natychmiast, upadając boleśnie na kolana i raniąc dłonie o bazalt.

Wydała z siebie krótki, dławiący dźwięk, który utonął w ryku fal. Usiadła na ziemi. Opuściła ręce. Jej oczy, pozbawione punktu odniesienia, stały się całkowicie martwe. Zwinęła mapę i położyła ją obok siebie. W ciągu kilkunastu minut jej ciało pokryło się grubą warstwą szronu. Zamieniła się w żywy, oddychający, nieruchomy pomnik.

W tym obezwładniającym bezruchu kobiety objawiła mi się najokrutniejsza pułapka całego ludzkiego doświadczenia. Wmawiano nam od kołyski, przez wielkie systemy filozoficzne, religie i świeckie katechizmy samorealizacji, że znalezienie własnego „sensu życia” jest największym, ostatecznym triumfem człowieka. Że taka misja jest kotwicą, która ratuje nas przed szaleństwem. To kłamstwo gorsze niż zbrodnia.

W istocie, każdy życiowy cel był psychologiczną protezą. Był kulą, na której opieraliśmy cały tonaż naszego istnienia. A prawo fizyki mówi jasno: im mocniej oprzesz swój ciężar na jednej, zewnętrznej podporze, z tym większym, bardziej miażdżącym hukiem runiesz na ziemię w dniu, w którym ta podpora pęknie. Ludzie, którzy uczynili kogoś lub coś swoim absolutnym powodem do istnienia, byli de facto niewolnikami, którzy w każdej sekundzie balansowali na krawędzi dekapitacji. Byli całkowicie i bezwzględnie bezbronni wobec kaprysów czasu, biologii i przypadku.

Ta okrutna zasada dotyczyła nie tylko utraty światła poprzez tragedię czy upływ lat. Działała z identyczną, rzeźnicką precyzją w przypadku ostatecznego triumfu.

Kawałek dalej, u podnóża stromego urwiska, na którym stała potężna, biała latarnia symbolizująca absolutny sukces zawodowy, klęczał mężczyzna. Dotarł do samego końca swojej drogi. Jego dłonie spoczywały na klamce żelaznych drzwi budowli. Dokonał tego. Zdobył wszystko, o co walczył. I w ułamku sekundy, w którym jego dłoń nacisnęła klamkę — wielki, biały reflektor na szczycie wieży po prostu wyłączył zasilanie.

Mężczyzna miał wszystko, ale nie miał już po co zrobić następnego kroku. Jego droga się skończyła. Zrozumiał, z przerażeniem otwierając usta do niemego krzyku, że dotarcie do światła jest w architekturze wszechświata dokładnie tym samym, co jego utrata. Sukces zabił go tak samo skutecznie jak porażka. Pozbawił go głodu, a człowiek pozbawiony głodu natychmiast zamienia się w stygnącą, gładką skałę.

Nie mogłem znieść patrzenia na to z zewnątrz. Musiałem zrozumieć, jak działa ten mechanizm iluzji od środka. Skierowałem się w stronę innej, porzuconej, wygasłej latarni, stojącej samotnie na cyplu obmywanym przez czarne fale. Jej mury były popękane i pokryte solą.

Pchnąłem zbutwiałe drzwi i wszedłem do środka. Wnętrze śmierdziało pleśnią, rdzą i starym, uwięzionym powietrzem. Przede mną wiły się strome, spiralne,

żeliwne schody, prowadzące w górę, w absolutną ciemność. Wspinałem się długo, słuchając tylko głuchego echa własnych kroków uderzających o blachę. Moje mięśnie drżały z wysiłku, a w płucach brakowało tlenu, ale pchała mnie do przodu obłądna ciekawość. Chciałem zobaczyć z bliska to źródło mocy. Chciałem dotknąć palcami tego boskiego generatora celów, który potrafił uśmierzyć ból milionów krwawiących stóp.

Dotarłem na sam szczyt, do szklanej laterny. Otworzyłem ciężki włącznik i stanąłem w sercu mechanizmu.

Wokół mnie, na obrotowej ramie, znajdował się potężny, niezwykle skomplikowany system wielkich, szklanych soczewek Fresnela. Kryształowe te ważyły tony, były ułożone z matematyczną, geometryczną perfekcją. Ich zadaniem było skupianie i monstrualne zwielokrotnianie każdego promienia świetlnego. Złapałem za zakurzoną poręcz i z drżącym sercem zajrzałem do samego środka tego tytanicznego, optycznego układu, by zobaczyć maszynę, która rodzi ten nadrzędny Cel.

Moje serce natychmiast opadło do żołądka, a w ustach poczułem smak żółci.

W centrum tych wielkich, patetycznych soczewek nie było żadnego boskiego reaktora. Nie było rdzenia jądrowego ani kosmicznej plazmy prawdy. Na zardzewiałym, małym mosiężnym gwincie tkwiła zaledwie jedna, maleńka, szklana bańka, wielkości ludzkiego kciuka. Zwykła, żalosna, tania żarówka. Jej drucik wolframowy był całkowicie stopiony, rozbity na dwie nierówne, czarne części.

Tak wyglądał autentyczny fundament ludzkiego istnienia. Przez ułamek sekundy śmiałem się w głos, a ten śmiech był tak pusty i suchy, że przypominał szczekanie psa.

Zrozumiałem, patrząc na ten przepalony żarnik, jak mistrzowskim, optycznym oszustwem była ludzka psychika. Powód do życia wcale nie był obiektywnie potężny. Sam w sobie był drobny, kruchy i żalosny — ot, potrzeba nakarmienia dziecka, chęć udowodnienia czegoś sąsiadowi, strach przed śmiercią przebrany w wiarę w bogów, wola zrobienia jakiejś kariery, by zdobyć pożywienie. To nasze własne mózgi nakładały na ten drobny impuls te gigantyczne, patetyczne soczewki kultury, filozofii i religii. Zwielokrotnialiśmy tę małą, tłącą się żarówkę tysiące razy, aż jej blask stawał się potężnym laserem zdolnym przeciąć niebo nad kontynentem. Oszukiwaliśmy samych siebie z mistrzowską precyzją, żeby tylko nie musieć obiektywnie przyznać, że ostatecznie we wszechświecie nie mamy absolutnie żadnego znaczenia. Wmawialiśmy sobie, że niesiemy misję, podczas gdy tak naprawdę byliśmy tylko

zmarzniętymi zwierzętami, które próbowały wymyślić powód, by nie położyć się na skałach i nie umrzeć.

Wyszedłem ze szklanej laterny na zewnętrzną, rdzewiejącą galeryjkę otaczającą szczyt wieży. Lodowaty wiatr natychmiast uderzył mnie w twarz, zmuszając do mrużenia oczu. Spojrzałem w dół, na wybrzeże.

Z tej perspektywy, kilkadziesiąt metrów nad ziemią, skala zjawiska okazała się porażająca. W czarnym mroku, tam, gdzie nie docierały już krzyżujące się promienie aktywnych latarni, rozciągało się Cmentarzysko Przetrwających. Zobaczyłem setki tysięcy nieruchomych, pokrytych szronem i solą ciał.

Stali lub klęczeli na skałach, przyklejeni do miejsca, w którym wiele lat temu zgasło ich światło. To byli emerytowani wojownicy o sukces, którym skończyły się bitwy do wygrania. Matki, których domy opustoszały. Zakochani, których miłość obróciła się w chłodną obojętność. Wyznawcy, u których milczenie niebios wypaliło ostatecznie chęć do modlitwy. Wszyscy oni posiadali zdrową, funkcjonującą tkankę, pompującą krew serca i silne mięśnie. Nie byli fizycznie martwi. Ale w ontologicznej strukturze tego terytorium to oni byli najtragiczniejszymi i najprawdziwszymi trupami.

Przeżyli własną misję, a to gorsze niż jakaś szybka, organiczna śmierć. Tkwiąc w tej martwej strefie, wpatrywali się w ciemność z pustymi mapami w rękach, nie potrafiąc wygenerować z siebie grama woli, by ruszyć przed siebie. Czekali na nową żarówkę, która nigdy nie miała rozbłysnąć. Stali się niewolnikami systemu, w którym uzależnili swoje prawo do ruchu od zewnętrznego naświetlania.

Oparłem zmarznięte dłonie o barierkę. Gdzieś głęboko we własnej klatce piersiowej poczułem ten sam twardy, dławiący lęk, który przed chwilą widziałem na twarzy kobiety z wygasłą, różową latarnią. Rozumiałem doskonale tę wibrującą we krwi potrzebę znalezienia powołania. Każdy mięsień mojego ciała chciał natychmiast chwycić mapę, przypisać sobie jakąś piękną, błyszczącą żarówkę, skupić ją w soczewkach i ruszyć w mrok z poczuciem rozgrzeszającej misji, ignorując ból stóp.

Ale wiedza, którą nabyłem we wnętrzu tej zardzewiałej maszyny, działała we mnie jak trutka. Wiedziałem już ponad wszelką wątpliwość, że zaangażowanie się w jakikolwiek ostateczny drogowskaz jest równoznaczne z podpisaniem weksla in blanco na ostateczny paraliż. Znalezienie absolutnego powodu do życia to nie jest ucieczka z celi; to jedynie bardzo staranne, luksusowe wybrukowanie własnej, przyszłej trumny. Im głębiej uwierzysz, że ta konkretna żarówka nadaje twojemu ciału prawo do grawitacji, z tym większym okrucieństwem rozbijesz się o ziemię w chwili przepalenia się wolframu.

Sięgnąłem do wewnętrznej kieszeni płaszcza. Moje zmarznięte palce natrafiły na sztywny, zwinięty w rulon kawałek pergaminu. Moją własną mapę, na której jeszcze wczoraj roiło się od wytyczonych celów, oznaczonych oaz bezpieczeństwa i linii mających połączyć punkty mojego rzekomego przeznaczenia. Złapałem ją mocno.

Z całą dostępną mi złością na własny gatunek, na te wszystkie poradniki, religie i wmawiane nam filozofie o uświęconej potrzebie celu — powoli, metodycznie potargałem pergamin na drobne, bezużyteczne strzępy.

Wypuściłem papierki z rąk, a lodowaty wiatr natychmiast porwał je w mrok, rozsypując je nad Cmentarzyskiem Przetrwających jak garść brudnego śniegu.

Nie miałem już mapy. Nie miałem punktu docelowego.

Zrobiłem twardy krok w stronę krętych, ciemnych schodów. Wiedziałem doskonale, na co się skazuję. Schodziłem na to poszarpane, wrogie wybrzeże, wiedząc, że każdy kamień przetnie mi skórę podeszw. Ale człowiek, który radykalnie odrzuci potrzebę posiadania latarni, człowiek, który zgodzi się na powolny marsz w absolutnej, surowej ciemności, czerpiąc kierunek wyłącznie z twardości kamienia pod stopą, wcale nie zostaje ocalony. Staje się po prostu kimś, kto przestał wreszcie czekać na światło, które miałoby go zbawić.

Zsunąłem się z ostatnich stopni i stanąłem na krawędzi czarnej skały. Byłem przeraźliwie bezbronny, a mroźny wiatr przewiercał moje ciało na wylot. Mimo to wolno, bezgłośnie i bez opierania się na jakichkolwiek soczewkach, wszedłem prosto w obiektywną ciemność. Mój marsz nie nabrał nagle wzniosłego znaczenia. Był tylko chłodną, fizyczną koniecznością uczenia się na nowo, jak ułożyć krwawiącą stopę na krawędzi pozbawionej blasku.

CMENTARZ NIEZADANYCH PYTAŃ

Powietrze w tym miejscu było gęste i oblepiające, przesyczone wilgocią. Pachniało zbutwiałymi, jesiennymi liśćmi, mokrym żwirem, zimnym, nasiąkniętym wodą granitem i mdłym, dławiącym aromatem gnijących w deszczu chryzantem. Przeszedłem przez ciężką, kutą w żelazie bramę, której zawiasy nie wydały z siebie nawet najmniejszego zgrzytu. Znalazłem się wewnątrz potężnego, rozciągającego się aż po horyzont parku. Panował tu złudny spokój, który powoli i metodycznie usypiał układ nerwowy. Mgła snuła się miękko nad równymi, symetrycznymi alejkami.

Wszystko wskazywało na to, że trafiłem po prostu na monumentalną, zadbaną nekropolię. Setki tysięcy pionowych i poziomych kamiennych płyt wznosiły się z czarnej ziemi w absolutnej ciszy.

Podszedłem do pierwszego z brzegu grobu, zbudowanego z matowego, ciemnoszarego labradorytu. Z płyty spływały ciężkie krople deszczu. Otarłem dłonią mokrą powierzchnię kamienia, spodziewając się standardowej dawki cmentarnej matematyki: imienia, nazwiska, daty narodzin i daty biologicznego rozkładu.

Zamiast tego moje palce natrafiły na głęboko wyżłobione w kamieniu, wypełnione czarną farbą słowa. Nie było tam tożsamości. Nie było wiersza o pożegnaniu ani krzyża. Na zimnym kamieniu widniało tylko jedno ostre, surowe zdanie:

Czy ja po prostu przyzwyczailem się do braku miłości?

Cofnąłem dłoń, jakbym dotknął nagiej instalacji pod napięciem. Mój wzrok natychmiast powędrował na sąsiedni grób. Na nagrobku z jasnego, żyłkowanego marmuru wyryto inną inskrypcję:

Czy moje dzieci mnie szanują, czy tylko czekają, aż wreszcie umrę?

A na kolejnym, porośniętym mchem:

Czy jestem dobrym człowiekiem, czy tylko chorobliwie boję się konsekwencji zła?

Oto zmysłowy ciężar tego terytorium. Znalazłem się na Cmentarzu Niezadanych Pytań.

W tej krainie nie grzebało się ciał zmarłych ludzi. Pod tą mokrą, czarną ziemią obywatele grzebali własne tchórzostwo. To tu trafiały wszystkie te obezwładniające, rozedrgane, terroryzujące umysł wątpliwości, z którymi człowiek nie odważył się skonfrontować za życia. To była ostateczna przechowalnia myśli, które, gdyby zostały wypowiedziane na głos przy kuchennym stole lub wpatrując się w lustro w łazience, zrównałyby czyjaś wygodną, poukładaną biografię z ziemią.

Zamiast wziąć ten dynamit na klatkę piersiową, ludzie woleli przynieść go tutaj. Układali swoje przerażające pytania w dębowych trumnach milczenia, zamykali wieka i zasypywali grubą warstwą instytucjonalnej ziemi. Zbudowali sobie cmentarz ucieczki, wierząc w naiwny, dziecięcy mit, że jeśli czegoś nie zwerbalizują, to przestanie to istnieć w optyce wszechświata.

Szedłem powoli między rzędami, słuchając chrzęstu żwiru pod moimi butami. Zbliżał się wieczór. Alejkami przemykały milczące, ubrane w ciepłe płaszcze postaci. Byli to żałobnicy własnych życiorysów.

Zatrzymałem się w pewnej odległości od starszej kobiety. Klęczała na specjalnej, gumowej podkładce przed masywnym, granitowym nagrobkiem. W wiaderku z lodowatą wodą płukała szorstką gąbkę, a potem metodycznie, z nie ludzką wręcz czułością, zeszkrobywała brud i zielony mech z wyrytych liter. Dbała o ten grób jak o największą świętość.

Jej płyta głosiła: *Czy zmarnowałam czterdzieści lat życia dla mężczyzny, który tak naprawdę nigdy na mnie nie patrzył?*

Obserwowałem jej twarz. Kobieta szorowała litery powoli, z namaszczeniem, ale jej wzrok był całkowicie znieczulony, odcięty od znaczenia wyrazów. Patrzyła na kamień, ale fizjologicznie nie czytała napisu do końca. Jej źrenice omijały ostre krawędzie znaku zapytania na końcu zdania, ślizgając się po nich jak po sterylnej tafli lodu. Pielęgnacja tego grobu była makabrycznym rytuałem utrzymywania problemu w stanie bezpiecznej martwoty. Kobieta wołała przychodzić tu dwa razy w tygodniu, zapalać znicz i kupować świeże kwiaty za rentę, układając je na swoim

tchórzostwie, niż zadać to pytanie własnemu mężowi i znieść dźwięk rozbijającej się o podłogę prawdy. Troska o grób była formą najpotężniejszego na świecie samookłamywania.

Kawałek dalej, w surowszej, nowszej części cmentarza, zobaczyłem świeży pogrzeb.

Brakowało tu księdza, karawanu i żałobnej muzyki. Był tylko młody, może trzydziestoletni mężczyzna w ubrudzonym błotem płaszczu. W jego trzęsących się dłoniach tkwiła ciężka, ołowiana urna. Twarz miał mokrą od łez, a jego kręgosłup wyginał się w pałąk, jakby niósł na plecach tonę gruzu. Dławił się od płaczu.

Pochylił się i z łoskotem wrzucił urnę do wykopanego wcześniej dołu. Podeszedłem bliżej i spojrzałem na świeżo wyciosaną, tymczasową tabliczkę wbitą w mokrą ziemię: *Czy to naprawdę jest moje własne życie, czy tylko scenariusz, który napisał dla mnie ojciec?*

Mężczyzna natychmiast chwycił za łopatę. Z furją, ze zwierzęcym, dzikim przestachem zaczął rzucać zwały czarnej, lepkiej ziemi do dołu. Uderzał łopatą o grunt. Wszedł w kałużę błota i zaczął ubijać ziemię butami, depcząc ją z szaleńczą siłą, dociskając obcasami każdy kawałek luźnej materii. On nie płakał ze smutku. On płakał z potwornego, czystego terroru. Ubijał to pytanie w ziemi, ponieważ wiedział, że samo dopuszczenie go do świadomości, sama zgoda na to, by wybrzmiało w świetle dnia, rozsadziłaby mu czaszkę i kazała spalić całe swoje dotychczasowe, bezpieczne i przewidywalne gniazdo. Grzebał je, ratując własny, żałosny porządek rzeczy.

Zapadł całkowity zmrok, a wraz z nim na cmentarzu zadziałała fizyka wyparcia. Kiedy ostatni żałobnicy wyszli przez żelazne bramy, nekropolia pozornie zamarła. Zostałem sam.

Stałem na środku skrzyżowania alejek i wtedy to usłyszałem. A raczej — poczułem.

Zaczęło się od podeszew moich butów. Słaba, głęboka vibracja przeniosła się na moje łydki, a potem uderzyła w kolana. To nie był pojedynczy wstrząs tektoniczny. Ziemia pode mną dosłownie pulsowała. Z początku przypominało to szum w rurach, ale z każdą sekundą stawało się coraz potężniejsze. Miliony pogrzebanych pod betonem, marmurem i granitem pytań zaczynały żyć.

Pytania nie są ciałami biologicznymi. Pytanie to byt niematerialny, składający się z wątpliwości i głodu prawdy. Grzebiąc je pod ziemią, obywatele tej krainy popełnili fundamentalny, ontologiczny błąd w sztuce: prawdy nie da się zabić brakiem tlenu.

Pod ciężarem płyt nagrobnych zasypane pytania fermentowały. Gniły w zamknięciu, nabierając ciśnienia i masy. „Czy to było moje życie?”, „Dlaczego nie odeszłam, kiedy bił po raz pierwszy?”, „Czy kocham mojego Boga, czy po prostu boję się pustki po śmierci?”, „Czy jestem z nią z litości?”, „Czy ten kredyt naprawdę uczynił mnie wolnym?”.

Ten potężny, stłumiony przez ziemię Chór Fermentacji wydobywał się na zewnątrz jako niski, buczący ryk miliona dławiących się ust. To był vibracyjny odgłos uwięzionej, wypartej prawdy. Dotarło do mnie z chirurgiczną ostrością, że ucieczka przed pytaniem absolutnie go nie anihiluje. Unikanie go nie sprawia, że znika. Brak konfrontacji czyni je jedynie radioaktywnym. Pogrzebane pytanie, zamiast zostać wypowiedzianym i przepracowanym, staje się obrzydliwym, gniącym urobkiem, który z czasem zatruwa wody gruntowe w całej biografii człowieka. Ludzie, którzy wychodzili z tego cmentarza, pozornie ocalali, tak naprawdę resztę życia spędzali nad pękającą od ciśnienia miną, którą sami pod sobą zakopali.

Ten cmentarz nie był miejscem odpoczynku. Był miejscem odroczonej detonacji.

Dźwięk vibracji rozsadzał mi bębunki. Ruszyłem w stronę najstarszej, najciemniejszej i najrzadziej odwiedzanej części parku. Chciałem znaleźć źródło tego dudnienia, ale natrafiłem na coś znacznie gorszego, coś, co czekało w mroku specjalnie na mnie.

Na końcu ślepej, wysypanej czarnym pyłem węglowym alejki, pod rozłożystym, martwym dębem, wiało chłodem ze świeżo wykopanego, podłużnego dołu. Ziemia wokół była wyrzucona w nieładzie, mokra i pachnąca torfem. Nad wykopem stała gładka, lśniąca z deszczu, hebanowa płyta nagrobna.

Nie było na niej żadnego napisu. Była całkowicie pusta.

Obok płyty, na prowizorycznym kamieniu, leżał ciężki, żelazny młotek i stalowe dłuto. Ostrze dłuta lśniło w bladym świetle księżyca, domagając się użycia.

Moje serce natychmiast, instynktownie wyrównało rytm z podziemnym pulsowaniem całego terytorium. Zrozumiałem mechanikę tego miejsca. To był mój dół. Mój prywatny przydział na tym cmentarzysku zgniłych kompromisów. Każdy człowiek na świecie posiadał tu swój pusty grób, który tylko czekał na moment, aż dorosły, złamany wędrowiec w końcu skapitułuje i przyjdzie zakopać w nim swoją najważniejszą, najtrudniejszą wątpliwość. Maszyna kusiła ostatecznym rozwiązaniem: weź dłuto. Wykuj na tej gładkiej płycie to, czego najbardziej boisz się dowiedzieć o sobie samym. Wyrzeźb to trudne zdanie, zamknij je w pudełku, wrzuć w czarny dół, zasyp gliną i idź sobie spokojnie w świat. Zapomnij o tym. Bądź

bezpieczny. Żyj tak, jakby ten dół nie istniał, a jedyną ceną będzie to, że czasem w nocy twoje serce zadrży z niepokoju.

Opadłem na kolana w mokre błoto przed hebanową płytą. Sięgnąłem dłonią po narzędzia. Żelazny młotek i stalowe dłuto były lodowate, ich ciężar obciążył moje przedramiona. Mogłem tu zostać. Mogłem wyrzucić jedno zdanie o swoim życiu i zasypać je na wieki.

Przyłożyłem ostre krawędzie dłuta do gładkiego, obiektywnego kamienia. Opuściłem młotek, przygotowując się do zadania pierwszego ciosu.

Ale vibracja cmentarza, dudniący ryk milionów zgniłych pod ziemią życiorysów, przeniknęła w górę, wibrując w moim kręgosłupie. Ten ryk był namacalnym, potwornym dowodem na to, że żadna forma milczenia nie jest darmowa.

Przez całe lata wmawialiśmy sobie w swoich domach, że najbardziej boimy się odpowiedzi. Myśleliśmy, że boimy się tego, co usłyszymy: że partner nas już nie kocha, że wybraliśmy zły zawód, że zmarnowaliśmy swój talent na ołtarzu wygody, że nie potrafimy wybaczyć. Ale tutaj obnażyła się cała naga, obrzydliwa prawda o gatunku ludzkim: my wcale nie baliśmy się odpowiedzi. My panicznie, zwierzęco baliśmy się faktu, że to pytanie w ogóle uzyskało prawo do istnienia i rezonansu w naszej czaszce. Samo wypowiedzenie go na głos burzyło status quo.

Spojrzałem na puste lustro hebanowej płyty, w którym odbijała się moja własna, szara ze zmęczenia twarz.

Jeśli teraz zasypię to pytanie, nie zyskam bezpieczeństwa. Stanę się jedynie kustoszem i właścicielem jeszcze jednego głuchego dołu na Cmentarzu Niezadanych Pytań. Do końca swoich dni będę chodził z dławiącym ciężarem gnijącej radiacji we własnych trzewiach, dbając, by to monstrum nigdy nie wydostało się na zewnątrz.

Ścisnąłem młotek tak mocno, że pobiełały mi knykcie. Nie. Nie zostawię tu po sobie ani jednego grobu milczenia.

Odrzuciłem młotek w gęste błoto. Dłuto wbiłem pionowo, z całą siłą, w ziemię tuż przy krawędzi wykopu. Nie zamierzałem rzeźbić niczego na kamieniu, by to zakopać. Podniosłem głowę w kierunku mroku. Wziąłem potężny, rwący w płucach wdech, nasycony zapachem zgnilizny, i bez uciekania wzrokiem od faktu własnej śmiertelności, po prostu wykrzychałem to najtrudniejsze, dręczące mnie pytanie głośno, prosto w lodowate niebo:

— Czy ja naprawdę szukam prawdy, czy tylko buduję w głowie coraz piękniejsze terytoria, żeby nie musieć zapytać, czego sam się boję?!

Bez znieczulenia godziłem się na każdą odpowiedź, jaka mnie czeka — na zniszczenie i na utratę — byle tylko moja prawda nie zgniła obok mnie pod mokrą płytą w milczeniu.

Cmentarz wokół mnie natychmiast uległ absolutnej, obezwładniającej ciszy, bo w tej jednej, ułamkowej sekundzie przestałem należeć do jego zasobów. Zrobiłem krok w tył od pustego grobu i zacząłem wycofywać się ku żelaznej bramie, zostawiając hebanową płytę idealnie gładką i niezdobytą.

BANK POŻYCZONYCH DNI

Drzwi miały ciężar solidnego, bankowego sejf, a mosiężna klamka, zimna i wypolerowana przez miliony dłoni, kształtem do złudzenia przypominała wygięty w łuk ludzki kręgosłup. Kiedy pchnąłem je z trudem, dobiegający z ulicy zgiełk miasta został brutalnie odcięty za moimi plecami głośnym, hermetycznym trzaskiem.

Uderzyło mnie powietrze. Było lodowate, przefiltrowane, sterylne i pachniało bogactwem. Ale nie był to zapach szlachetnych perfum, tytoniu i lakierowanego drewna. To była woń rzeźni, z której precyzyjnie wymyto krew. Pachniało zbutwiałym papierem, luksusową klimatyzacją, dębowym fornirem i starzejącym się w panice mięsem. Każdy mój krok uderzał echem o posadzkę, wyłożoną naprzemiennie płytami czarnego marmuru i sprasowanymi, wypolerowanymi do lustrzanego błysku kośćmi tych, którzy nie spłacili tutaj swojego salda.

Znalazłem się wewnątrz Banku Pożyczonych Dni.

Hala operacyjna była gargantuiczna. Jej sufit tonął w mroku, a wzdłuż ścian ciągnęły się nieskończone rzędy opancerzonych, szklanych okienek kasowych. Nie było tu jednak pośpiechu ani krzyków. Panowała cicha, metodyczna uległość. Mieszkańcy tego terytorium stali w równych, zdezorientowanych kolejkach, ściskając w dłoniach małe, papierowe numerki, cierpliwie czekając na swoją kolej, by dokonać tutejszej ostatecznej, najświętszej transakcji.

W tym banku nie operowano papierowymi symbolami, monetami ani cyframi udającymi majątek. Nikogo nie interesowało złoto, miedź ani zakodowane na serwerach zera i jedynki. Walutą, rdzennym kapitałem tego terytorium, była czysta, tętniąca tkanka ludzkiego życia. Pieniądz w tym miejscu nie był środkiem płatniczym. Był precyzyjnym, zaawansowanym technologicznie urządzeniem służącym wyłącznie do jednego celu: do powolnego, maszynowego przerabiania przyszłości człowieka na jego teraźniejszą możliwość przetrwania.

Podniosłem wzrok. Nad głowami zgromadzonego, dyszącego cicho tłumu pulsowała potężna, ciągnąca się wzdłuż całego pomieszczenia elektroniczna tablica. Wydawała z siebie miarowy, terkotliwy dźwięk, łudząco podobny do cykania maszyny losującej na giełdach dawnego świata. Na jej czarnym tle przesuwały się krwistoczerwone, jarzące się cyfry i litery. To był tutejszy, uświęcony kodeks kursów walutowych.

1 rata kredytu = 22 poranki bez oddechu, spędzone na wpatrywaniu się w sufit. 1 awans na stanowisko kierownicze = 14 lat ciągłego, zgrzytającego napięcia szczęki podczas snu. 1 własne mieszkanie = 30 lat życia w pomieszczeniu, którego z lęku przed stratą nigdy naprawdę nie poczujesz jako swojego. 1 luksusowy, szwajcarski zegarek = 400 godzin ciała wynajętego i sprzedanego przy biurku. 1 prestiżowe auto = utrata zdolności do zachwytu nad ruchem chmur. 1 miesiąc bez katastrofy finansowej = oddanie siedmiu dni cierpliwości w stosunku do własnego dziecka.

Tłum wpatrywał się w te paski z tępą fascynacją, akceptując wycenę własnego bólu. Byli gotowi do transakcji.

Podszedłem bliżej do jednego z pancernych stanowisk operacyjnych. Za grubym, kuloodpornym szkłem siedział Urzędnik. Miał na sobie nienagannie skrojony garnitur, a jego twarz nie wyrażała żadnej wrogości. Był przerażająco uprzejmy. Urzędnicy tego banku nie musieli cię nienawidzić, żeby cię zniszczyć; byli obiektywnym przedłużeniem mechaniki systemu.

Do okienka podeszła młoda, pełna żywotności para. Trzymali się za ręce, ich oczy błyszczały. Pachnieli młodością, śmiałością i autentycznym, wibrującym apetytem na zdobywanie wszechświata. Przyszli po to, po co przychodzi tutaj większość: pragnęli kupić swój pierwszy azyl.

Mężczyzna pchnął pod szybą plik dokumentów. Urzędnik rzucił okiem na papiery, wystukał coś na klawiaturze, uśmiechnął się łagodnie i wysunął w ich stronę ciężkie, złote pióro wieczne. — Proszę złożyć podpisy. W tym i w tym miejscu — powiedział, wskazując na papier gładkim, wypielegnowanym palcem.

W ułamku sekundy, w którym irydowa stalówka dotknęła pergaminu, na własne oczy zobaczyłem fizyczny, makabryczny proces zaciągnięcia długu.

To nie był przelew na ich konto. System zadziałał jak potężna pompa ssąca. Z twarzy mężczyzny w jednej chwili uszedł cały młodzieńczy blask, zastąpiony przez szarą, napiętą czujność. Ramiona kobiety opadły, jej brzuch drgnął, a z jej aury wessało właśnie całą beztroską gotowość do zabawy i niespiesznych poranków. Bank w akcie zawarcia umowy wcale nie dawał im pieniędzy na dom. Bank wyciągał z nich, chirurgicznie odcinał i deponował w swoim sejfie ich przyszły spokój, ich trzydziestoletni, nienarodzony jeszcze sen, gęstość ich włosów i dziką spontaniczność ich kolejnych lat. Oddali wszystko, na co mieli kiedykolwiek szansę, za stertę otynkowanych cegieł.

Urzędnik rutynowym ruchem wbił czerwoną pieczęć na dokumentach i wysunął przez szczelinę w szkle mały, lśniący kluczyk. Młodzi chwycili go drżącymi dłońmi, patrząc na niego z mieszaniną euforii i totalnego przerażenia, nie zdając sobie do końca sprawy, że wychodzą stąd już w zasadzie do połowy martwi.

Zdałem sobie wtedy sprawę, że dług nie polega wcale na matematycznym rachunku zobowiązań. Dług nie opiera się na tym, że jesteś komuś winien pieniądze. Dług w swojej rdzennej istocie polega na tym, że twoja przyszłość ostatecznie i brutalnie przestaje należeć do ciebie, na całe dekady zanim jeszcze w ogóle zdążyła się wydarzyć. Zrzekasz się na papierze własnego prawa do niepewności i buntu. Stajesz się psem uwiązany na tak potężnym łańcuchu, że zapominasz o fakcie posiadania nóg.

Z każdym kolejnym krokiem w głąb banku obserwowałem inne, równie rzeźnicze okienka. Zanim jednak dotarłem na sam koniec hali, mój wzrok przykuły potężne, rozwarte na oścież wrota z grubego tytanu. Prowadziły do Skarbca Zdeponowanych Godzin. Zbliżyłem się do krawędzi pancernego progu i zajrzałem w mrok. Nie było tam sztabek złota ani skrytek na biżuterię. Bank przechowywał tu swój prawdziwy, wydarty obywatelom kapitał. W nieskończonych, rdzewiejących słojach, szklanych tubach i sterylnych kadziach pływały odcięte kawałki ludzkiego czasu. Widziałem naczynia pełne gęstych, spokojnych niedzielnych poranków, które nigdy się nie wydarzyły. Widziałem pulsujące cicho, zatopione w formalinie pokłady cierpliwości do płaczących dzieci. W zamrażarkach leżały bryły niewyśnionego, głębokiego snu i sprasowane, dzikie pomysły, na których realizację zabrakło sił po powrocie z biura. W najciemniejszym kącie skarbcza, na stalowych hakach, wisały zwiedłe, szare pęki bezproduktywnych, słonecznych popołudni i wyrwane z piersi zdolności do

spontanicznego zachwytu. Cały ten organiczny majątek gnił tu w ciszy, odebrany właścicielom, by stanowić twarde zabezpieczenie dla systemu.

Odwrociłem wzrok z dławiącymi nudnościami. Szedłem dalej, mijając ludzi, którzy podsuwali pod szyby swoje żołądki i wrzody stresowe, prosząc o jeszcze jeden miesiąc opłaconych rachunków. Aż w końcu natknąłem się na okienko numer zero. Okienko Finalizacji.

Stało na podwyższeniu, obite czarnym granitem. W kolejce nie stał do niego nikt. Podeszedł do niego właśnie tylko jeden, starszy mężczyzna.

Był potwornie zgarbiony. Jego dłonie były pokryte siecią fioletowych żył i brunatnymi plamami starczymi. Włosy dawno opuściły jego czaszkę, a głębokie bruzdy na twarzy opowiadały historię setek tysięcy godzin przeżutych na twardych krzesłach. Szedł jednak z wyprostowaną klatką piersiową. W jego kroku była duma. Myślał, że wygrał z systemem. Że w końcu, po trzydziestu latach morderczego cyklu harówki i lęku, jest wolny.

Stanął przed szybą. Drżącą ręką wysunął przed oblicze urzędnika ostatni, pomięty dowód wpłaty.

Urzędnik spojrzął na papier. Kliknął kilka klawiszy, po czym na jego ustach zakwitł idealnie chłodny, instytucjonalny uśmiech, z rodzaju tych, którymi karczmarze żegnają klienta wychodzącego właśnie w sam środek wilczej zameci.

— Zgadza się. Zaksięgowano ostatnią wpłatę. Gratuluję, proszę pana — powiedział bez namietności głos z interkomu. — Umowa wygasła. Nieruchomość jest w pełni pańską własnością. Żadnych zaległości.

Wysunął pod szybą ciężki, papierowy akt, pieczołowicie oprawiony w skórę.

Mężczyzna odetchnął. Zamknął oczy, a z jego ust wyrwał się dźwięk potężnej ulgi. Uważał, że doznał do wymarzonej wyspy ocalenia. Wyciągnął rękę po akt.

W tym samym ułamku sekundy urzędnik, nie przestając się uśmiechać, wcisnął mały, czarny przycisk pod swoim biurkiem.

Powierzchnia grubego, opancerzonego szkła w oknie kasowym natychmiast zmatowiała i pokryła się lustrzaną warstwą amalgamatu. Szyba zmieniła się w absolutnie obiektywne, sterylne, nieubłagane lustro.

Starszy mężczyzna spojrzął w nie. Spodziewał się ujrzeć odbicie wolnego boga, pana swojego losu. Odbicie dumnego właściciela nieruchomości i człowieka niezależnego.

Zamiast tego zobaczył starca, który zapłacił cenę zbrodni.

Lustro Instytucji nie kłamało. Ukazało mu fizycznie i z morderczą dokładnością to, co oddał. Zrozumiał, widząc swoje pożółkłe zęby i zapadnięte, matowe oczy,

przerażający paradoks całej tej rzekomo zwycięskiej transakcji. Bank wcale nie zabrał mu na przestrzeni tych trzydziestu lat jakichś wygenerowanych na koncie zer czy banknotów. To by było zbyt proste.

Bank zabrał mu młodość. Zabrał mu gniew, który kiedyś potrafił wyrzucić go na ulicę. Zabrał mu przyjaciół, z którymi nie spotykał się, byle tylko móc wziąć nadgodziny. Zabrał mu witalność w łądzwiach i setki niespędzonych na beztroskiej wędrówce popołudni. Wyrwał z niego te wszystkie lata z dzieckiem, które upłynęły mu na gorączkowym patrzeniu w wykresy stóp procentowych. Zabrał miliony niewypitych w spokoju porannych kaw, zastępując je zrzutami z adrenaliny pompy. Pozbawił go spontaniczności i wyobraźni. I teraz, o ironio losu, kiedy mężczyzna miał w rękach swój upragniony akt własności, gdy teoretycznie mógł wreszcie zacząć dysponować własnym czasem — ten czas nie nadawał się już do niczego.

Otrzymał absolutną wolność na etapie, na którym był już wyłącznie organicznym wrakiem, urobkiem przeżutym przez wielką niszczarkę, całkowicie niezdolnym, by z tej ufundowanej krwią wolności skorzystać. Został mu pusty dom i biologia wyprana z zachwyty.

Mężczyzna wypuścił akt własności z dłoni. Skórzana oprawa uderzyła z głuchym plaśnięciem w podłogę z polerowanych kości. Nogi ugięły się pod nim, a z jego gardła wyrwał się zduszony, bezgłośny dźwięk ostatecznej przegranej — szloch człowieka, który całe życie wierzył, że kupuje bezpieczeństwo, podczas gdy kupował jedynie gwarancję wolnego gnicia. Urzędnik w milczeniu zresetował lustro, gotowy na przyjęcie kolejnego klienta, dla którego trzydzieści lat bezdechu będzie równie atrakcyjną ofertą.

Odwrociłem wzrok z potwornym ciężarem w klatce piersiowej. Oddychałem płytko, unikając zapachu strachu, który dławił tę halę. Ruszyłem w stronę mosiężnych drzwi frontowych.

Wielki, podświetlany dozownik wydawał klientom papierowe numerki z cichym, usypiającym szumem. Mijałem go, idąc pod prąd gęstej, potulnej kolejki zapatrzonych w świetlną tablicę ludzi, którzy odliczali sekundy, by własnoręcznie położyć swoje mięso i swoje poranki na kowadle giełdy. Na widok tej transakcji poczułem w ustach smak metalu i żółci.

Zrozumiałem to najważniejsze, fundamentalne prawo. Obywatele Banku Pożyczonych Dni nie posiadali absolutnie żadnych pieniędzy. Byliśmy jako gatunek potężnie, narcystycznie okłamani, wierząc w swój stan konta. Prawda polegała na tym, że nikt z nas niczego tu nie posiadał. Byliśmy wynajęci. Wynajmowaliśmy i

sprzedawaliśmy samych siebie wielkiemu, chłodnemu systemowi cywilizacji, który — jako jedyną zapłatę — oddawał nam z powrotem nasz własny, przeżuty, zmasakrowany i okrojony z pasji czas, z łaskawym pozwoleniem na to, byśmy nie umarli tego konkretnego poranka. Płacono nam naszą własną krwią, a my byliśmy dumni z wypłaty.

Pchnąłem ciężką klamkę w kształcie wygiętego kręgosłupa i wyszedłem z powrotem na mroźną, spowitą szarym światłem ulicę terytorium. Wiatr uderzył mnie prosto w twarz, przypominając o pustym portfelu i dławiącej niepewności, która miała mi odtąd towarzyszyć. Odrzucenie biletu z kolejki nie było aktem triumfu. Nie zostałem w żaden sposób ocalony ani uwolniony od głodu. Na zewnątrz byłem tak samo śmiertelny i narażony na roztrzaskanie przez przypadek. Ale idąc przed siebie i chowając zgrabiące, puste dłonie głęboko w kieszenie płaszcza, wiedziałem jedno. Wolałem marznąć w tym obiektywnym chłodzie, czując, że mróz kąsa moje własne, nieodsprzedane kości, niż złożyć podpis i pozwolić, by to lodowate okienko odcięło mi chociaż jedną, dziką, bezproduktywną godzinę mojego własnego życia.

DEKLARACJA WYJŚCIA

Cisza w tym pokoju miała zupełnie inną gęstość niż wszystko, z czym zderzyłem się do tej pory. Nie była to rzeźnicka cisza Prowincji Białych Ścian ani stłumiona próżnia Kapsuł Samowystarczalnych. To była obiektywna, ciężka, fizyczna cisza ostatecznie wykonanego zadania.

Za oknem panowała głęboka, atramentowa noc. Na dębowym blacie biurka, oświetlonym tylko słabym, drżącym światłem biurkowej lampy, piętrzyły się sterty zapisanych kartek. Leżały tu wszystkie zwoje, brudnopisy, szkice i wykresy. Powietrze pachniało wysychającym papierem, grafitem i zimną, nietkniętą od wielu godzin czarną kawą, której powierzchnia przypominała martwe, okrągłe lustro.

Atlas został ukończony.

Zanotowałem każdą szerokość geograficzną ludzkiego obłądu. Opisałem narcystyczny neon Doliny Oślepiionych, rdzewiejące pancerze Stalowego Miasta, betonowe trybuny Wielkiego Stadionu Ofiar i duszne powietrze Komory Grzecznych Ludzi. Zmierzyłem puls zakopanych pytań na Cmentarzu Niezadanych Pytań i policzyłem przepalone żarówki na wybrzeżach wygasłych sensów. Zrobiłem to, co do mnie należało. Kartograf dopełnił dzieła. Każda choroba, każda instytucja, każda rzeźnicka iluzja naszej cywilizacji otrzymała wreszcie swoją precyzyjną, kliniczną nazwę i swoje koordynaty.

I to właśnie tutaj, wpatrując się w ostateczny kształt tego tytanicznego archiwum, spodziewałem się poczuć ulgę. Wierzyłem w wielki mit intelektualistów: że nazwanie demona pozbawia go władzy nad człowiekiem. Sądziłem, że jeśli rozetnę mechanizmy świata jak skalpelem, jeśli obnażę tryby predykcji, kłamstw i kompromisów, to prawda wreszcie wypuści mnie na wolność. Myślałem, że jeśli narysuję mapę więzienia, przestanę być więźniem.

Ale wpatrując się w zaschnięty atrament, poczułem jedynie lodowaty, wibrujący w kręgosłupie terror.

Moje palce były umazane tuszem, ale mój umysł wciąż tkwił dokładnie w tym samym, dusznym punkcie wyjścia. Poznanie topografii piekła w żaden sposób nie obniżyło jego temperatury. Zrozumienie klatki nie jest jeszcze wyjściem z klatki. Jest zaledwie zmianą statusu z więźnia ślepego na więźnia absolutnie świadomego grubości własnych krat.

Odsunąłem krzesło. Dźwięk drewna trącego o podłogę wydał mi się potwornie głośny, niemal wulgarny. Podeszedłem do okna i przycisnąłem czoło do zimnej szyby.

W tym chłódzie uderzyło mnie wreszcie najcięższe, ostateczne zdemaskowanie samego siebie. Atlas, który miał być moim wielkim aktem odwagi, moim manifestem prawdy i buntu, był w rzeczywistości najdoskonalszą, najbardziej wyrafinowaną i elegancką formą ucieczki, jaką mogłem wygenerować. Oszukałem samego siebie.

Zamiast żyć, rzucać się w chaos i zderzać z materią — ja ją tylko mapowałem. Zamiast cierpieć prosto, zwierzęco i wprost, jak każdy inny człowiek na ulicy — ja uciekałem w skomplikowane metafory i intelektualne analizy. Zamiast mieć odwagę zadać jedno własne, krwawiące pytanie i ponieść jego konsekwencje, wolałem z bezpiecznego dystansu opisywać cudze cmentarze i cudze piekła. Obserwowanie świata przez szkło powiększające zwolniło mnie z obowiązku brania w nim fizycznego udziału. Ten gruby, zapisany plik papieru leżący na moim biurku nie był dowodem mojego wyzwolenia. Był twardym dowodem mojego permanentnego, dożywotniego alibi.

Odwrociłem się od okna. Spojrzałem na puste miejsce na końcu ostatniej strony manuskryptu.

Nie było już innych krain do odkrycia. Nie było kolejnych iluzji do zdemaskowania, ponieważ sam intelekt dotarł do ściany, za którą znajdowało się już tylko obiektywne, głuche nic. Skoro wykreśliłem wszystkie drogi wewnątrz systemu, a żadna z nich nie prowadziła do ocalenia, jedynym logicznym, matematycznym krokiem pozostawało sprawdzenie tego, co znajduje się poza pergaminem.

Nie czułem w sobie patosu buntu ani hysterii rozpacz. Czułem wyłącznie chłodną, ostateczną konieczność. To była desperacka hipoteza kartografa, który po zmierzeniu całej dostępnej mu przestrzeni postanowił sprawdzić, czy poza marginesem istnieje jeszcze jakakolwiek, nienazwana geometria.

Nie miałem pojęcia, czy gest, do którego właśnie przygotowywało się moje ciało, był ostatecznym aktem suwerennej odwagi, czy też po prostu ostatnią, najbardziej elitarną formą tchórzostwa. Granica między jednym a drugim uległa całkowitemu zatarciu. Nawet teraz, w tym ostatecznym pokoju, mój zepsuty przez analizę umysł nie potrafił zamilknąć. Przyszła do mnie podstępna, jadowita myśl: a co, jeśli nawet to moje lodowate pragnienie końca, ten pociąg do nicości, to tylko kolejna przepalająca się żarówka na wybrzeżu? Kolejna latarnia sensu? Co, jeśli po prostu uczyniłem z własnego końca swoją ostatnią, prywatną religię, byle tylko mieć powód do wykonania jeszcze jednego kroku?

Zamknąłem dłoń, gasząc lampę na biurku. Pokój zatonął w całkowitej, absolutnej czerni.

Dźwięki miasta za oknem ucichły, a bicie mojego własnego serca zaczęło miarowo i bezlitośnie zwalniać, ustępując miejsca narastającej grawitacji. Ciemność pochłaniała mnie komórka po komórce, rozpuszczając nazwy, kontury, lęki i definicje. Czekałem na wielką, obiecaną pustkę. Na ostateczne rozerwanie pętli. Na moment, w którym biologia i metafora ostatecznie znikną, oddając mnie w obiektywny niebyt.

W aktach nazwą to samobójstwem. Ja nazwałem to próbą opuszczenia mapy.